

JAVIER SIERRA

BRAMY TEMPLARIUSZY

PILNIE STRZEŻONA ZAGADKA SPRZED WIEKÓW



JAVIER SIERRA

BRAMY TEMPLARIUSZY

Z języka hiszpańskiego przełożyła
Agnieszka Mazuś



PODZIĘKOWANIA

Dziewięć, podobnie jak dziewięciu tajemniczych rycerzy założycieli zakonu templariuszy, było osób, które w decydujący sposób przyczyniły się do powstania tej książki.

Robert Bauval, Louis Charpentier i Graham Hancock wstrzyknęli mi niezbędną dawkę pasji badawczej. Roser Castelli już wiele lat temu posiał w moim umyśle ziarno tej historii, kiedy staliśmy razem u stóp ruin zamku templariuszy w Tarragonie. Juan G. Atienza nawet nie zdaje sobie sprawy, jak życzliwie potraktował mnie podczas redagowania tego dzieła, Ester Torres, Geni Martin i Enrique de Heente bardziej niż ktokolwiek ucierpieli zaś z powodu moich częstych nieobecności podczas tyłu miesięcy żeglowania po morzach tychże stronic.

Oprócz nich, nieoceniony był Jose Maria Calvin, przyjaciel, który dbał o to, bym nigdy nie zboczył ze ścieżki wiodącej do Graala.

Wszystkim Wam winny jestem doznogoną wdzięczność.

Si secretum tibi sit, tege illud, vel revela. (Jeśli masz tajemnicę, ukryj ją lub wyjaw), przysłowie arabskie, przyswojone przez krzyżowców.

Czym jest Bóg? To długość, szerokość, wysokość i głębia. – święty Bernard z Clairvaux

Zadbaj o to, byś nie upowszechniał niczym świętokradca najświętszych tajemnic spośród wszystkich tajemnic (...). Wyjawiaj święte prawdy tylko w święty sposób, ludziom uświęconym tchnieniem świętym. pseudo-Dionizy Areopagita.

WSTĘP

Po raz pierwszy wybrałem się do Egiptu w sierpniu 1995 roku.

Jak każdego, kto przybywa do ziemi faraonów z otwartym sercem, oczarowało mnie pierwsze spotkanie z nieskończonymi pustyniami i żyznymi brzegami Nilu. W grudniu wróciłem do Hiszpanii, w marcu następnego roku zaś znów byłem w Egipcie, a potem jeszcze raz w sierpniu... I tak dziewięć razy w ciągu ostatnich czterech lat. Powody? Znalazłoby się ich wiele, zarówno osobistych, jak i zawodowych, ale za każdym razem, kiedy kończyłem wycieczkę i wsiadałem do samolotu w Kairze czy Luksorze, wiedziałem, że wracam do domu tylko po to, by rozpocząć przygotowania do następnej nieuniknionej wyprawy. Co ciekawe, nigdy wcześniej, w żadnym z dwudziestu krajów, które poznałem, nie odczuwałem tej nagłej potrzeby, by znaleźć się tam raz jeszcze.

Podczas ostatniej z moich podróży jakiś wewnętrzny głos kazał mi na chwilę oddalić się od piramid i świątyń i zapuścić do starej koptyjskiej dzielnicy w Kairze. W muzeum będącym swoistym cudem architektury, którego dwa piętra łączy olśniewający łańcuch filigranowych ośmiokątnych świetlików, odkryłem, że w jednej z gablot wystawiony jest fragment pergaminu z Ewangelią św. Tomasza. Objasnienie do tego apokryficznego tekstu mówiło, że należy on do zbioru tekstów chrześcijańskich, odkrytych w 1945 roku nieopodal miasteczka Nag Hammadi, w okolicach Luksoru.

Byłem pod ogromnym wrażeniem. Te kawałki papirusu zostały zapisane przez jednego z pierwszych chrześcijańskich pisarzy w historii, anonimowego skrybę, który wierzył, że Tomasz był bratem bliźniakiem Jezusa i jednym ze świadków Jego zmartwychwstania. Moją uwagę przykuł

fakt, że z powodu paradoksów historii, tekst ten miał ostatecznie trafić do Egiptu, gdzie doktryna o zmartwychwstaniu utrwaliła się na długo przed nastaniem chrześcijaństwa, dzięki mitowi o Ozyrysie.

Po powrocie do Hiszpanii przypomniałem sobie, że kilka miesięcy przed tym „spotkaniem” kupiłem w Londynie tłumaczenie rękopisów z Nag Hammadi, sporządzone przez mało znany odłam gnostyków, działający między III i IV wiekiem naszej ery.

Przestudiowawszy je uważnie, z zaskoczeniem odkryłem na ich stronach wiele aluzji do pewnej wspólnoty mędrców, zwanej związkami, której misją było zbudowanie pomników mających odtworzyć na ziemi miejsca duchowe w niebie. Odniosłem wrażenie, że chodzi o swego rodzaju anioły na wygnaniu, dążące do tego, by odbudować swoje porozumienie z niebiosami. Nękała je swoista obsesja, którą pokrótce można przedstawić jako dążenie, by powstrzymać na ziemi niepohamowany postęp sił ciemności.

Niestety, rękopisy koptyjskie z Nag Hammadi nie opisują dokładnie, co to za siły.

Niemniej gnostycy, którzy byli autorami pergaminu starzejącego się w muzealnej gablocie, wierzyli w istnienie odwiecznej walki między światłem i ciemnością. Była to nieprzerwana wojna bez zawieszenia broni, która boleśnie dotknęła mieszkańców naszej planety, a w której pewne rodziny – jak np. rodzina Dawida, z której wywodził się Jezus – miały odegrać wyjątkową rolę, dzięki swoim szczególnym powiązaniom z pewnymi nieuchwytnymi istotami przybyłymi z niebios. Kontynuatorami tego, czym zajmowali się ci ludzie pustyni, byli w pewnym sensie średniowieczni alchemicy i budowniczości katedr. Szczególny udział w przekazywaniu ich wiedzy – jak wywnioskowałem, poszperawszy w bibliotekach Francji, Włoch i Hiszpanii – mieli templariusze. Tak też, choć wcale tego nie planowałem, oddałem się zgłębianiu życiorysów mężów, którzy kontynuowali swe dzieło przez ponad trzysta lat, troszcząc się o przetrwanie niektórych miejsc kultu i planując stworzenie kolejnych.

Z czasem szczęście zaczęło mi dopisywać i dotarłem do dzieł takich współczesnych badaczy, jak chociażby Piotr Demianowicz Uspienski, Rosjanin, czy jego nie mniej intrygujący mistrz, Ormianin Georgij L. Gurdzijew, który w 1931 roku sformułował fascynujący wniosek, że

budownicowie Notre Dame, katedry Panny Marii w Paryżu, byli spadkobiercami wiedzy... budowniczych egipskich piramid! Oznaczałoby to, że od czasów starożytnych Egipcjan aż do czasów średniowiecznych kamieniarzy musiał istnieć sposób przekazywania umiejętności, który uszedł uwagi historyków i badaczy. Co więcej, jeśli tezy Ormianina były trafne, mistrzowie posiadający tę wiedzę musieli zostawić ślad swojej ręki nie tylko w określonym stylu architektonicznym – co byłoby zbyt trywialne i powierzchowne – lecz w identycznym jak egipskie podejściu do podporządkowywania projektów budowli konstelacjom gwiazd. A przecież dzieliły ich tysiąclecia.

Nie muszę wyjaśniać, że wyzwanie, jakim było odnalezienie spadkobierców owych mistrzów czy też aniołów, pochłonęło mnie bez reszty. Gdzie są dziś strażnicy dawnej wiedzy? Czy uda się namówić któregoś z nich na wywiad? Z takim nastawieniem zbierałem materiały do tej powieści.

Żeby ją napisać, przemierzyłem pół świata w poszukiwaniu znaków pozostawionych przez Związek Cieśli – Charpentiers, jak sami siebie nazywali i jak ja nazywam ich w tej książce.

Wydaje mi się, że zdołałem odnaleźć ich ślad w grupach pozornie tak z nimi niezwiązanych jak templariusze i w dziełach uderzających tak doskonałą harmonią jak gotyckie katedry. Pewne zwiastuny postaci tych „aniołów” – które postrzegam jako istoty z krwi i kości, podszywające się pod śmiertelników – wprowadziłem już w książce *La dama azul* (Błękitna dama). Na stronach tej książki zbliżyłem się do nich jeszcze bardziej.

Czytaj uważnie, Drogi Czytelniku.

Napisane w La Navata, pod słońcem w znaku Panny, wrzesień 1999 r.

UWAGA OD AUTORA

Z konieczności zawarłem w tej książce tylko niewielką część faktów, które niepostrzeżenie zmieniły oblicze świata. Wiele opisanych tu zdarzeń jest fikcją, jednak równie dobrze mogły się wydarzyć. Pewnego dnia, jeśli zgodnie z oczekiwaniami otworzą się bramy, a opatrność mi na to pozwoli, napiszę tę historię do końca.

OMEN JEROZOLIMA, R 1125

Pocziwy Jan de Avallon, młody i pełen zapału, ani przez chwilę nie wyobrażał sobie, że walka w zbroi z wiary [Wiele lat później Bernard z Clairvaux, pisząc swą Pochwałę nowego rycerstwa (*De laude novae militiae*), a tym samym formułując regułę dla swojego zakonu, użyje dokładnie tych samych słów, kiedy opíše prawdziwe cele założenia *Ordo Pauperum Commilitonum Christi Templique Salomonici*, czyli zakonu ubogich rycerzy Chrystusa świątyni Salomona (przyp. aut.)] może stać się dla niego doświadczeniem tak realnym i tak niebezpiecznym zarazem.

Oszołomiony niespodziewanym obrotem wydarzeń, rycerz udawał obojętność i uśmiechał się do hrabiego, kiedy ten, pochylając się do jego ucha, by nikt nie usłyszał, co mówi, instruował go, dokąd powinien jak najszybciej się udać. Powiedział zaledwie trzy zdania w języku romańskim, krótkie i suche, które jednak wierny poddany zapamiętał tak łatwo jak rymowaną trubadurę. Ostatnie zdanie odcisnęło się w jego głowie niczym znak wypalony gorącym żelazem: „Ja sam posłużę ci za przewodnika”.

Jan, pod wrażeniem tych słów, skwapliwie przyjął rozkaz, wyprostował się, po czym usiłował wraz z innymi zaintonować hymn *Te Deum laudamus*, jakby żadne nadzwyczajne wydarzenie nie zaburzyło zwykłego biegu spraw.

Nie było to jednak łatwe.

Był tak przejęty rozkazem, jaki otrzymał, że poddawszy się nastrojowi chwili, w nieskalanie białej opończy padł na kolana przed swym mentorem, pocałował herb hrabstwa Szampanii odbity w złocie na jego imponującym sygnecie i głośno wypowiedział słowa przysięgi tak, by wszyscy je słyszeli:

– Przyjmuję z dobrej woli wasze rozkazy, p-panie. – Z pośpiechu aż się zająknął. – I będę je wypełniał, nawet gdybym miał poświęcić na to całe życie. Teraz, kiedy poznałem prawdę, niech Najświętsza Panienka weźmie w opiekę tę świętą misję. Amen.

Nikt nie był zaskoczony tym, co się stało. Ostatecznie szlachcic Hugon de Payens, seneszał i zaufany księcia, postawił sprawy jasno już pierwszego dnia, kiedy zwerbował Jana w Troyes w szeregi swego nowego wojska. Od tamtej pory upłynęło już trochę czasu, lecz chłopak miał żywo w pamięci to, co usłyszał.

– Wojsko, które zbieramy – powiedział mu Hugon de Payens w drodze do kaplicy, gdzie miała się odbyć jego ceremonia dopuszczająca – będzie się biło na dwóch frontach: z jednej strony walcząc bez wytchnienia i nie wypuszczając miecza z dłoni, przeciwko tym, którzy zamykają nam drogę do Świętego Grobu, z drugiej zaś ma zetrzeć się z siłami zła, zagrażającymi światu.

Ciebie, szlachetny Janie de Avallon, los może rzucić na każde z tych bitewnych pól, dlatego powinienes być przygotowany na to, by stanąć odważnie do walki.

Te prorocze słowa usłyszał Jan latem 1118 roku. To wtedy włożył biały habit, który z dumą nosił. W lipcu miał skończyć dziewiętnaście wiosen, jego dumna zaś i mężna postawa, zdecydowany charakter, złote włosy i szmaragdowe oczy zrobiły wrażenie na pozostałych rycerzach, którzy natychmiast zaczęli przewidywać dla niego przyszłość wypełnioną odpowiedzialnymi zadaniami.

Oczywiście nie uszedł ich uwagi pewien szczególny znak: data jego urodzin zbiegała się z dniem, w którym Gotfryd de Bouillon odbił Jerozolimę z rąk tureckich.

Przytłaczający triumf pierwszej krucjaty miał okazać się decydujący. Nawet bardziej decydujący, niż przewidywał to papież czy europejscy królowie.

Tak czy inaczej tylko Jan i jeszcze ośmiu mężów o wiele od niego starszych otrzymało jasne płaszcze, które w przyszłości miały ich wyróżniać jako pierwszych wojowników najosobliwszej armii, jaką widziała historia: ubogich rycerzy Chrystusa.

W Troyes Jan poznał Gotfryda de Saint Omer, olbrzyma z białą brodą, o płomiennych oczach, który, przyjmując błogosławieństwo hrabiego,

pokornie opuszczał wzrok, a także Andrzeja de Montbard – wuja innego młodzieńca, który wkrótce wsławić się miał zagorzałą i nieprzejednaną religijnością, a którego świat zapamięta jako świętego Bernarda z Clairvaux. Poznał też Fulka d'Angers – staruszka przypominającego worek kości, lecz z niegasnącym żarem w oczach – i wielu innych wojowników, których odwaga przeszła zwycięsko niejedną próbę.

Tam też, w tej samej kaplicy w Troyes, młody Jan po raz pierwszy zetknął się z niezrównanym oddziałem żołnierzy, w większości krzyżowców, mających to szczęście, że mogli uklęknąć przed grobem Jezusa. Tego też dnia odebrali oni czarne płaszcze, na znak, że przynależą do nowej formacji wielkiego mistrza Hugona de Payens.

Jak szybko płynie czas! I jak bardzo, po siedmiu latach służby, Jan zazdrościł beztroski ludziom wolnym od wszelkich zobowiązań, nie mających pojęcia o tym, jak doniosłe wydarzenia dzieją się pod ich nosem!

Warto w tym miejscu przypomnieć, iż upłynęło już siedem długich lat od skromnej i cichej ceremonii dopuszczenia. Ówczesny kapelan, jeden z braci rycerza Hugona, pobłogosławił rynsztunek Jana de Avallon i uczynił na jego czole znak krzyża. Następnie przykazał mu, by oddał się bez reszty świętej misji, która wcześniej czy później będzie mu powierzona. Młody rycerz nie do końca rozumiał, na czym ma polegać owa „święta misja”, i trwał w tej nieświadomości do dnia, w którym rozpoczęła się siódma zima jerozolimskiej kampanii i odbijano sanktuarium na Haram as-Sharif, jak nazywali Arabowie przybytki na Wzgórzu Świątynnym. Wtedy to wszystkich uczestników wyprawy zaskoczyło pewne wydarzenie, zapowiadające wielkie zmiany.

Wiadomość dotarła do Jana w chwili, gdy z zapałem wydobywał z ziemi ogromną kamienną skrzynię. Miało to miejsce nieopodal Kopuły Łańcucha, kilkanaście metrów na wschód od wspaniałej budowli znanej jako Kopuła na Skale. Pracował tam jak szalony od wielu miesięcy, odkopując pomieszczenia świątyni króla Salomona. Wyciągnięcie na powierzchnię owego ciężkiego kufra zabrało Janowi trzy tygodnie.

Wstawał świt. Jeden z jego sierżantów, aptekarz, niejaki Renard, zszedł do tunelu, by przekazać mu nowiny.

– Panie – wycharczał, krztusząc się kurzem, jaki wzbijały jego buty – nasz wielki mistrz Hugon otrzymał list z Francji. Prosi, byś jak najszybciej udał się do kapitulacza.

- Czy wiesz, co było w liście? – zapytał rycerz.
– Nie, ale na pewno stało się coś ważnego. Ruszaj bez zwłoki, panie.
W głowie Jana wirowały wspomnienia...

Rzeczywiście, tego samego dnia, o dziewiątej rano, Hugon de Payens zwołał nadzwyczajne zebranie kapituły w starym meczecie Al-Aksa, gdzie Jego Cesarska Wysokość Baldwin II ulokował się nie tak dawno ze swym skromnym dworem. Wielki mistrz Hugon był przewidującym człowiekiem, a niepewność nauczył się maskować powolnym cedzeniem słów. Był też ojcem licznej rodziny, niezwykle lojalnym wobec zwierzchników. We wnętrzach Al-Aksy, między kolumnami z marmuru wysokimi na prawie sześć metrów, gdzie echo odbijało się od nagich ścian, oznajmił bez żadnych wstępów, że hrabia Szampanii, inny Hugon ze świetnego rodu, który finansował początki nowego zakonu ubogich rycerzy Chrystusa, wkrótce zawita do Jerozolimy, by przyłączyć się do ich „tajemnej krucjaty”.

– Cień zła podszedł do nas bliżej niż kiedykolwiek – mówił Hugon de Payens. Był niezwykle poważny. Odczytał na głos wiadomość, jaką przynieśli posłańcy. – Nasz ukochany hrabia – ciągnął – jest niespokojny, od paru miesięcy prawie nie śpi ani nie przyjmuje komunii. Podjął bolesną decyzję, że opuści swe dobra, małżonkę i dzieci, by towarzyszyć nam w naszej pierwszej prawdziwej batalii, tej, którą lada chwila rozpętamy przeciwko najpotężniejszemu z wrogów, jaki istnieje na tej ziemi.

Słowa rycerza z Payens już wkrótce miały się wypełnić co do joty, wyzwalając całą serię nieprzewidzianych wydarzeń.

Templum Domini [Templum Domini (łac.) – świątynia Pana.

Uczestnicy wypraw krzyżowych określali tą nazwą Kopułę na Skale, mieszczącą się w kompleksie dawnej świątyni Salomona w Jerozolimie (przyp. aut.)]

Bestia wyrwała się z okowów o świcie, 23 grudnia roku Pańskiego 1125. Na szczęście jej gniew nie trwał długo.

Zacznijmy jednak od początku.

Przed brzaskiem, postępując według dokładnych instrukcji Hugona de Payens, dziewięć białych płaszczy wkroczyło w obręb świątyni przez Bramę Bawełniarzy, wykutą pośrodku zachodniego muru. Nie widać było ani śladu straży, toteż rycerzy nikt nie zauważył.

O tej porze w Jerozolimie panowała cisza i spokój. Po ulicach nie kręcili się jeszcze kupcy, woziwody, piekarze ani żołnierze.

Nawet świątynie i miejsca wotywnie zamknięte były na cztery spusty, by nocą nie zakradali się do nich żebracy i złodzieje.

Miasto wydawało się równie wyludnione, jak Dolina Jozafata przy Wzgórzu Świątynnym.

Mężczyźni pomaszerowali ku schodom wiodącym do Kopuły na Skale. Nie zatrzymali się nawet, by nacieszyć oczy pierwszymi promieniami słońca, odbijającymi się od podstawy kopuły. Rozpoczęli mozolną wspinaczkę.

– Słyszałeś arabską legendę związaną z tym miejscem, młodzieńcze?

Andrzej de Montbard, krzepki burgundzki rycerz, urodzony nad brzegiem rzeki Armancon, wyszeptał swoje pytanie do ucha Jana, kiedy zbliżali się do Bramy Rajskiej w północnym skrzydle świątyni. Zaskoczony rycerz pokręcił głową.

– Niech Bóg ci wybaczy! – ryknął de Montbard, zbyt późno zdając sobie sprawę, jak niestosownie się zachował. – Przez cały ten czas ani na chwilę nie wychynałeś z tej swojej nory? Kopanie i kopanie, tylko tym się zajmujesz?

– Nie, ale...

– Tylko bez wymówek! – zbeształ go Andrzej, zniżając głos. – Powinieneś wiedzieć, że hrabia Hugon osobiście, podczas pierwszej wyprawy do Jerozolimy w tysiąc dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, był jedynym chrześcijaninem, który zadbał o to, by sprawdzić, ile prawdy kryje się w legendzie mówiącej, iż prorok Mahomet dotarł do tego właśnie miejsca zaledwie w jedną noc. O Mahomecie z pewnością słyszałeś, nieprawdaż?

Jan przytaknął.

Zwalisty Burgundczyk zdał się Janowi ucieleśnieniem szalonego fauna. Wspinając się po schodach na czworakach, sycząc jak wąż do ucha młodzieńca, opowiedział mu, że Saraceni wierzą, iż prorok przyfrunął do Jerozolimy na grzbiecie zaczarowanego wierzchowca, ni to oślicy, ni muła, wabiącego się Al-Arak, co znaczy „błyskawica”. Był to wspaniały i niestrudzony rumak, z płonąca grzywą, o ślepiach, z których sypały się iskry, zesłany przez samego Allaha.

– Błyskawica? – Oczy młodzieńca zaokrągliły się jak spodki.

– No cóż... – De Montbard odchrząknął, co podpatrzył u francuskich trubadurów, którzy w ten sposób oczyszczali gardła. – Wiem tylko tyle, ile podśluchałem u krzyżowców: Mahomet był wówczas bardzo przygnębiony, gdyż dopiero co pochował swą żonę Chadidzę. Zmarł również jego wuj Abu Taleb. Pograżonemu w bólu mężowi pewnej nocy objawił się archanioł Gabriel, ubrany w gwiazdzistą szatę, i zaprosił go w to miejsce. Jego skóra świeciła jak słońce i nie można było spojrzeć mu w twarz, by nie oślepnąć.

– A powiedział mu, po co chce go zabrać do Mekki?

– Pragnął pokazać mu coś, co go pocieszy i doda sił, by mógł wypełnić swą misję. Chciał go przekonać, że jego żona i wuj są szczęśliwi w raju. Mówi się nawet, że sam Gabriel podsadził go na grzbiet Al-Baraka i towarzyszył mu na tym cudownym wierzchowcu aż do samej świątyni, tej, do której zmierzamy.

– Do tej? – wysapał Jan, nie mogąc się nadziwić opowieści rycerza.

– W rzeczy samej, młody przyjacielu. Tu już czekali na niego Abraham i Mojżesz z Jezusem, by oznajmić mu, że on, wybrany syn z rodu Haszymidów, jest również potomkiem starego i liczego rodu proroków.

– Zdaje się, że uwierzyłeś w tę historię jak w pacierz, Andrzeju de Montbard...

Burgundczyk, który nadal mówił szeptem, jakby bał się, że usłyszą go pozostali, przystanął, by złapać oddech. Był zbyt tęgi, by jednocześnie mówić, skakać, odgrywać sceny i maszerować pod górę.

– O zgrozo! – dyszał. – Ty nic nie wiesz! Nie masz pojęcia o historii tego miejsca, nie jesteś godny, by tu z nami być. Kto pozwolił, byś się do nas zaciągnął?!

Nim Jan zdążył odpowiedzieć, de Montbard wykrzyknął:

– Nic nie mów! Ja sam wszystko ci wyłożę. To, czy Mahomet naprawdę widział w tej świątyni biblijnych patriarchów i samego Boga, w gruncie rzeczy nas nie dotyczy. W tej chwili ważne jest tylko to, co zainteresowało naszego hrabiego, czyli dalsze koleje losu proroka.

– Dalsze? To znaczy, że później wydarzyło się coś jeszcze?

– Naturalnie! O tym też nie słyszałeś?! – zagrzemiał Burgundczyk.

Jan czuł się jak skończony głupiec. Dlaczego nikt nie wtajemniczył go w historię, którymi tak popisywał się ten grubas? Czyżby miało to coś wspólnego z dyskrecją, jaka cechowała rycerzy o najdłuższym stażu? Czy

tym należy tłumaczyć zakaz wchodzenia do Kopyły na Skale bez zgody Hugona de Payens?

– Posłuchaj uważnie – ciągnął de Montbard konfidencyjnym tonem.
– Mówią, że ktoś zrzucił z nieba na Skalę, którą wkrótce ujrzysz na własne oczy, drabinę zrobioną ze światła, ta zaś wbiła się w kamień, w miejscu, które tutaj nazywają Yaqub. To po tej drabinie Mahomet wspiął się aż do nieba i przemierzył je wzdłuż i wszerz, dziwiąc się, jak wielkie i doskonałe jest dzieło Boga.

– I mówisz, że z tego właśnie miejsca wyruszył?

– Tak było.

– A wrócił?

– Tak, i przyniósł ogromną wiedzę. I musiałbym się bardzo mylić, gdyby to nie z powodu jakiejś historii związanej z tymi schodami zwołał nas tu nasz pan hrabia. Po krucjacie powrócił on do Francji, lecz zlecił Hugonowi de Payens, by nadal badał wszystko, co wiąże się z tą legendą, i odnalazł przejście do innego świata.

Jan de Avallon wbiegał bez tchu po schodach z podcieniami, które Arabowie nazywali mawazen, przeskakując po trzy, cztery stopnie, aż w końcu znalazł się przy Bramie Rajskiej. Pod imponującym turkusowo-czarnym nadprożem jeden z sierzantów zakonu włożył mu do ręki płonącą pochodnię. Następną dostał de Montbard. Obaj dotarli tam jako ostatni.

– Widzisz? – Burgundczyk wskazywał coś po lewej stronie ośmiokątnego pomieszczenia.

– O czym mówisz?

– O Skale, a niby o czym? Patrz tam. Ten korytarz z kolumnami to tylko deambulatorium [Deambulatorium – ambit, obejście; przejście obiegające prezbiterium, charakterystyczne dla kościołów romańskich i gotyckich (przyp. wyd. pol.)], które okala jedyny fragment wzgórza Moria, jaki pozostał odkryty. Dla Żydów to najważniejsza skała na świecie, bo wokół niej Bóg stworzył świat. Na niej Abraham gotów był złożyć ofiarę ze swego syna Izaaka i w tym samym miejscu jego wnuk Jakub miał swoją wizję drabiny, Scala Dei, i widział miriady aniołów wchodzących po niej i schodzących.

Jan nie potrafił ukryć zdumienia.

– Nie wiem tylko – zawahał się de Montbard – dlaczego od tak wielu lat miejsce to jest zamknięte dla naszych rycerzy...

– Jest tu piękniej, niż sobie wyobrażałem.

– Święta racja.

Kiedy pogłos jego ostatnich słów rozpraszał się, niknąc wśród załamania marmurów, Hugon de Payens wskazał, gdzie znajduje się cel ich drogi. Był nim otwór w ziemi, umiejscowiony po południowo-wschodniej stronie, w głębi którego ledwie można było dostrzec kilka stopni. Ginęły one w ciemności, jeszcze dalej zaś, na końcu niezbyt długiego wąskiego korytarza, znajdowało się miejsce, które rycerze mieli zobaczyć po raz pierwszy w życiu: niewielka sala oświetlona pomarańczowym blaskiem pochodni.

Jeden po drugim bez wahania zstępowali do podziemia.

Na końcu korytarza czekał już na nich lekko zniecierpliwiony hrabia Szampanii. Miał ponad pięćdziesiąt lat, surowe rysy twarzy, ciemne oczy i duży nos, zakrzywiony niczym ptasi dziób nad siwym zarostem. Ubrany był w kaftan i pludry, wszystko nieskazitelnie białe.

– Wejdźcie, wejdźcie bracia do wnętrza tej pierwotnej jaskini, do axis mundi [Axis mundi (łac.) – oś świata (przyp. wyd. pol.)] chrześcijaństwa – zachęcał. – Pozostawcie za sobą uprzedzenia i pozwólcie, by przeniknął was duch prawdy.

Pod ścianą stał mnich, trzymając Biblię. Był to młody chłopak, z czupryną przyciętą na modłę cysterską. Żaden z rycerzy nigdy go wcześniej nie widział w domu zakonnym ani na żadnej z kapituł.

– Są tu wszyscy – oznajmił hrabia. – Mądry, Zmyślny, Przebiegły, Śmiały, Bogobojny, Szalony, Szczodry, Mag i Nieuświadomiony. Przystąpmy więc do otwierania drogi do Najwyższego.

Wymówiwszy te słowa, skinął palcem wskazującym prawej ręki, dając klerykowi znak, by rozpoczął ceremonię.

– Czytanie ze świętej Księgi Rodzaju, rozdział dwudziesty ósmy – zaczął młodzieniec. Rycerze nakreślili w powietrzu znak krzyża. – Kiedy Jakub wyszedłszy z Beer-Szeby wędrował do Charanu, trafił na jakieś miejsce i tam zatrzymał się na nocleg, gdyż słońce już zaszło. Wziął więc z tego miejsca kamień i podłożył go sobie pod głowę, układając się do snu na tym właśnie miejscu. We śnie ujrzał drabinę opartą na ziemi, sięgającą swym wierzchołkiem nieba, oraz aniołów Bożych, którzy wchodzili w górę i schodzili na dół. [Wszystkie cytaty pochodzą z Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu, Biblia Tysiąclecia, Wyd. IV, Wydawnictwo

Pallotinum, 1990 (przyp. wyd. pol.).]

Andrzej de Montbard puścił oko do Jana, który stał dokładnie naprzeciwko niego. Rudzielec od razu domyślił się dlaczego akurat tam.

– Przystępuj, ojczy – polecił hrabia.

– Napisano tu jeszcze, że Pan stanął na szczycie drabiny i przemówił: Ja jestem Pan, Bóg Abrahama i Bóg Izaaka. Ziemię, na której leżysz oddaję tobie i twojemu potomstwu. A potomstwo twe będzie tak liczne jak proch ziemi, ty zaś rozprzestrzenisz się na zachód i na wschód, na północ i na południe; wszystkie plemiona ziemi otrzymają błogosławieństwo przez ciebie i przez twych potomków. Ja jestem z tobą i będę cię strzegł, gdziekolwiek się udasz; a potem sprowadzę cię do tego kraju. Bo nie opuszczę cię, dopóki nie spełnię tego, co ci obiecuję. A gdy Jakub zbudził się ze snu, pomyślał: Prawdziwie Pan jest na tym miejscu, a ja nie wiedziałem. I zdjęty trwogą rzekł: O, jakże miejsce to przejmuje grozą! Prawdziwie jest to dom Boga i brama do nieba! Oto Słowo Boże.

– Chwała tobie Panie! – odpowiedzieli chórem rycerze.

Kiedy mnich zamykał księgę i zawijał ją w lnianą tkaninę, pan Szampanii zrobił krok do przodu, stając pośrodku sali. Pocałował srebrny krzyż, zawieszony na szyi mnicha, i zgiął kolano przed tabernakulum ze świętą eucharystią, które kazał wnieść do podziemnej komnaty, popatrzył na twarz rycerzy.

– Widzicie tę marmurową płytę na ziemi? – zapytał.

U jego stóp można było dostrzec zarysy gładkiej płyty o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia centymetrów.

– W tym miejscu, zgodnie z Pismem Świętym, oparła się drabina, która ukazała się Jakubowi – wyjaśnił. – Dokładnie w tym samym miejscu, gdzie król Dawid wznosił pierwszy ołtarz na cześć Boga, po tym, jak dopuścił się wobec Najwyższego ciężkiego grzechu pychy. Tenże sam monarcha nakazał Joabowi i swemu wojsku, by dokonali spisu powszechnego ludności Izraela, nie ufając obietnicy, jaką Jahwe złożył Jakubowi, kiedy przyrzekał mu, że jego potomstwo będzie tak liczne jak proch ziemi.

Hugon, hrabia Szampanii, spojrzął znacząco na stojących w milczeniu mężczyzn, po czym podjął:

– Najpierw Jakub, a potem Dawid modlili się dokładnie w tym miejscu. Tu również ojcu mędrca Salomona ukazały się niebieskie zastępy, które zeszyły po innej świetlnej drabinie i pouczyły go, jak powinna wyglądać

budowla, mająca osłaniać bramę do nieba.

Stoicie koło tej bramy! U progu nieba! W umbilicus mundi [Umbilicus mundi (lac.) – pępek świata (przyp. wyd. pol).], który łączy ten świat z innym!

– Mahometowi również ukazała się drabina, panie... – To Jan de Avallon, którego nie było widać zza szerokich pleców Flamandczyka Payena de Montdidier, odważył się przerwać hrabiemu.

– Tak jest, młodzieńcze. I właśnie z tego powodu tu się znajdujecie. Kiedy przed czterystu laty Saraceni zajęli tę ziemię i wzniesli na wzgórzu Moria meczet, wiedzieli, że zamykają w jego kamiennych ścianach tajemnicę drabiny. Ja sam odkryłem tę straszną prawdę podczas oblężenia Antiochii, w drodze do Syrii, to wówczas...

– Straszną prawdę? O czym mówicie, panie?

Hrabia Hugon odwrócił się, wbijając wzrok w skupione, spalone słońcem oblicze Gotfryda de Saint Omer. Olbrzym patrzył na niego wyczekująco, skrzyżowawszy ramiona na piersi, niczym posąg Chrystusa Pantokratora, który za chwilę uniesie do góry palec.

– Byłeś tam ze mną, nie pamiętasz?

– Oczywiście, mój panie, ale nie chodziłem za tobą krok w krok, gdyż przez dziewięć miesięcy oblężenia dowodziłem jednym ze szwadronów, patrolujących wschodnią część miasta.

– Więc nie było cię na naradzie, jaką odbyłem z jednym z saraceńskich sejków, którzy przybyli, by negocjować pokój.

Nazywał się on Abdul Al-Makrisi i przyszedł do mego namiotu w towarzystwie tłumacza, starego Turka. Uprzedził mnie i księcia Boemunda, jak niebezpiecznie jest nadal oblegać miasto.

– Śmiał grozić wam na waszej własnej ziemi?

– Nie, mój wierny Gotfrydzie. Ów muzułmański mędrzec przybył, by ostrzec nas, iż Antiochia to jedna z fortec broniących szlaku do przeklętego miejsca, którego my, krzyżowcy, powinniśmy za wszelką cenę unikać. Znajduje się tam jedna z siedmiu wież, jakie sam szatan kazał zbudować między Azją i Afryką, wznosząc je w miejscach tak odległych, jak Mezopotamia czy Niniwa. Al-Makrisi wyjaśnił nam, że tamte wieże są w rękach jezydów, naśladowców pewnego kalifa, zwanego Jezydem, wroga jego sułtana, którzy głoszą, że Lucyfer był niewinny i pełen dobrej woli.

– Bronili Lucyfera?!

– Choć wydaje się to nieprawdopodobne, tak właśnie było.

Jezydzi wierzą, że był to jedyny anioł, który miał dość odwagi, by sprzeciwić się porywczemu Bogu-sędziemu, jakim był Bóg Żydów i proroka.

– A ta straszna prawda, o której mówiłeś?

– Al-Makrisi wyjawił nam, że jedna z wież prowadzących do piekła została wzniesiona w Jerozolimie, dokładnie w tym miejscu. Przysięgał na wszystkie świętości, że Turcy zajęli miasto z ukrytym zamiarem zamknięcia raz na zawsze wejścia. Zapewnił, że jeśli ich stąd wygnamy, jak się to w końcu stało, będziemy musieli znaleźć strażników bram. W przeciwnym razie zło znów przez nie przeniknie. Powiedział ponadto, że na zachodzie otworzy się przynajmniej siedem innych wrót i że to my będziemy odpowiedzialni za zamknięcie ich raz na zawsze.

– I co się stało? – zapytał Jan, który słuchał tego wszystkiego z rozpalonymi policzkami.

– Nie usłuchaliśmy go. Po długich naradach zajęliśmy Antiochię dzięki zdrajcy, który rzucił nam sznury i drabiny z jednej z blanek na murze, a kiedy już znaleźliśmy się w środku, zabiliśmy wszystkich mieszkańców. Boska sprawiedliwość została wymierzona w ciągu jednej doby, bez odpoczynku ni litości. Nasze miecze powalały starców, kobiety, dzieci i żołnierzy, i pod koniec drugiego dnia ulicami Antiochii płynęła krew. Z nią zaś popłynęła wiedza o wieżach diabła. Udało nam się ustalić tylko to, że ich rozmieszczenie jest odzwierciedleniem gwiazdozbioru Wielkiego Wozu.

– A potem?

– Potem przybyliśmy do Jerozolimy i przekonaliśmy się, że przepowiednia Al-Makrisiego miała się spełnić. Ta straszna prawda była żywa. Żywa! Rozumiecie?

Hrabia zamknął oczy, zanim znów zaczął mówić.

– To wtedy, gdy dotarliśmy do tego miejsca, zrozumiałem, jak wielka spoczywa na mnie odpowiedzialność. Działo się to również dwudziestego trzeciego grudnia, podobnie jak dzisiaj, kiedy tu, na dole, postanowiłem założyć zakon, do którego należycie. Oznaczało to, iż godzę się przyjąć na siebie ciężar odpowiedzialności, gdyż zlekceważyłem słowa mądrego szejka.

– W takim razie nasza misja nie polega na tym, by strzec pielgrzymów. Mamy jedynie chronić bramy, które znajdują się u kresu ich drogi –

stwierdził Gotfryd.

– Tak, Gotfrydzie. Mamy strzec bram.

SCALA DEI

Ani Jan, ani ośmiu mężczyzn, którzy towarzyszyli hrabiemu Szampanii tego ranka w wyprawie na Skałę, nigdy do końca nie zrozumiało tego, co potem nastąpiło. Ich doznania były tak dziwne, że kiedy w drodze powrotnej z Jerozolimy zastanawiali się, jak wytłumaczyć to, co przeżyli, nie znajdując innego wyjaśnienia, uznali, że wszystko to zostało starannie obmyślane przez ich pana.

A było tak. Wyjaśniwszy, gdzie umiejscowione są wieże diabła, pan Szampanii przezornie rozkazał mnichowi, by wezwał kilku służących i postawił ich na straży nieopodal świętej sali. Udzielił im dokładnych wskazówek, jak mają postąpić, kiedy da im znak, by zbliżyli się do rycerzy.

Tak też, gdy rycerze zaintonowali *Spiritus Domini replevit orbem terrarum* (Duch Pański wypełnia ziemię), pół tuzina młodzieńców ubranych w jaskrawe stroje postawiło przed każdym z rycerzy kamienne kielichy. Nalali do nich aromatycznego wina, a następnie dyskretnie wycofali się na górę.

– Wypijcie Krew Chrystusa, bracia, i sprzymierzcie się przeciwko złu, oddając wasze miecze służbie drabinie boskiej – powiedział hrabia, wznosząc kamienny puchar i dotykając nim niskiego stropu jaskini.

Wszyscy rycerze uczynili to samo. Kamień zetknął się z kamieniem, każdy z mężów upił kilka łyków słodkiego trunku, czując przyjemne ciepło rozchodzące się po ciele.

Gondemar pierwszy poczuł uderzenie gorąca, a stało się to, gdy wspiął się na poziom Skały. Nie potrafiłby opisać słowami, co się z nim dzieje, ale czuł się tak, jakby język ognia, jeden z tych, o których mówią ewangeliści

opisujący wydarzenia Pięćdziesiątnicy, zapłonął mu nad głową. Jego włosy zwinęły się w pierścienie, opadł z sił, a myśli straciły jasność.

Nagle ostrość widzenia wróciła. Wszystko stało się realne i nieznośnie wyraźne, a myśli odzyskały precyzję. Rozumiał nawet treść arabskich napisów, jakie pokrywały zdobione klejnotami ściany meczetu. W kilka sekund każde słowo, każde zdanie z Koranu wyryte w kamieniu, w tajemniczy sposób odciskało się w jego umyśle.

Czy to cud?

Na kolanach, ze wzrokiem utkwionym w kopule, w przypiływie niezmiernie wdzięczności wobec stworzenia, Gondemar zaczął recytować:

– O Maryjo! Bóg ogłasza tobie słowo swoje, nazywać się będzie Jezus Mesjasz Syn Maryi, w tym i przyszłym świecie, wielki powiernik Najwyższego [Koran, tłum. Jan Murza Tarak Buczacki, nakładem Aleksandra Nowoleckiego, Warszawa, 1858 (przyp. wyd. pol).]

– Przecież to słowa z trzeciej sury! – wyszeptał zadziwiony Hugon de Payens.

– Sura? – zdziwił się ktoś.

– Trzeci rozdział Koranu, werset czterdziesty, bracie... – wyszeptał hrabia Szampanii, również padając na kolana.

Jeden za drugim rycerze uświadamiali sobie, że na ich oczach dokonuje się cud, więc porwani mistycznym uniesieniem, klękali wokół Gondemara. Ten jednak nie był w transie, lecz naprawdę czytał wersety Koranu wyryte na suficie! Hugon ze łzami w oczach mamrotał ledwie słyszalnym głosem te same wersety, wodząc wzrokiem po sklepieniu.

Jako ostatni padł na kolana hrabia.

Najtrudniej jednak było uwierzyć w to, co nastąpiło potem.

Skała zadrżała, a towarzyszyło temu buczenie, jakie mógł wydawać tylko rój stu tysięcy pszczół, tańczących wokół swej królowej. Nie pochodziło z jednego źródła, dobiegało ze wszystkich stron naraz, poruszało powietrzem, czyniąc je niemal namacalnym.

Rycerze czuli, jak włosy jeżą im się na głowach, coś łaskotało ich po całym ciele.

Stracili panowanie nad swoimi ruchami.

Słudzy odczuwali to samo. Stali jak zakłęci w kamień, przy nich zaś drżeli z trwogi sierżanci, którzy nie zdążyli nawet wstać z klęczek.

Wtem rozbłysło światło. Silny płomień wystrzelił dokładnie pod najwyższym punktem sklepienia. Wcześniej jednak buczenie tak się nasiliło, że wszyscy poczuli nieznośny ból w uszach i padli na ziemię, trzymając się za głowy.

Trwało to krótko. Najwyżej tyle, ile potrzebowali, by doliczyć do dziesięciu. A potem, kiedy wstrząsy ustały, jak gdyby wszystko rozplynęło się w powietrzu, zapadła cisza.

– Widzieliście...? – wyjąkał hrabia.

– To była drabina – wymamrotał jeden z rycerzy.

– Nie, to siła złego. Tylko ten, kto przywdzieje zbroję wiary, oprze się jej... i zwycięży. Teraz, kiedy już poznaliście prawdę, czy nadal chcecie pozostać w szeregach naszego zgromadzenia?

Jan, który rozcierał obolałe mięśnie, kuląc się z bólu parę kroków od wejścia do podziemi, przytaknął jako pierwszy.

Poruszony tym pan Szampanii podszedł do niego i pochylając się, wyszeptał mu do ucha:

– W takim razie, mój wierny Janie de Avallon, będziesz szukał wszystkich bram zachodu, a kiedy je odnajdziesz, zamkniesz każdą z nich świątynią. Będą to tak piękne, okazałe i doskonałe budowle, że nikt nigdy nie zobaczy, co kryją. I nie martw się, że nie wiesz, jak tego dokonać, ja posłużę ci za przewodnika.

Jan załzawionymi i zaczerwienionymi oczami wpatrywał się w Skagę, teraz ciemną i zimną, i powiedział głośno, by usłyszeli go wszyscy:

– Przyjmuję z dobrej woli wasze rozkazy, panie. I będę je wypełniał, nawet gdybym miał poświęcić na to całe życie. Teraz, kiedy poznałem prawdę, niech Najświętsza Paniienka weźmie w opiekę tę świętą misję. Amen.

– Amen – powtórzyli templariusze.

SATELITA

Tuluza, czasy współczesne. Znów tu jest.

ERS-1 [European Remote Sensing – dosł. Europejska Teledetekcja (przyp. wyd. pol).] zakołysał się łagodnie na lewym boku, ponownie kierując srebrzyste panele ku spokojnej powierzchni błękitnej planety. Wykonywał ostatnie polecenie wysłane z Ziemi zaledwie parę dziesiątych części sekundy wcześniej.

Złota obudowa połyskiwała w niepokojącej ciszy, takiej samej, jaką opisują kosmonauci po powrocie ze spacerów w przestrzeni.

Komputerowy zapis tamtej chwili nie pozostawiał wątpliwości: z zazdrości godnym majestatem, posłuszny satelita pochylił o dwadzieścia stopni oś skrzynki, w której mieściły się wszystkie instrumenty pomiarowe. Tylko gładkie ceramiczne panele, na których wytłoczone było logo Europejskiej Agencji Kosmicznej, zdrząły, przenosząc lekki wstrząs na całe urządzenie.

Punktualnie o 13.55 czasu GMT wszyscy w instytucie gotowi byli do powtórzenia tego kosmicznego tańca.

Kto tylko miał wolne ręce, trzymał kciuki za powodzenie operacji.

Mimo że wszystko szło zgodnie z planem opracowanym przez zespół profesora Monneriego, inżynierowie wiedzieli, że zbliża się najbardziej krytyczna chwila. O napięciu panującym w sali świadczyła gęsta chmura papierosowego dymu, spowijająca monitory komputerów.

Wydawało się, że za oknami zapadła już noc. Amfiteatr składający się z trzech rzędów krzeseł, ustawionych naprzeciwko olbrzymiego ekranu umożliwiającego kontrolę ruchu pozostałych satelitów agencji, wypełniony

był bardziej niż zwykle o tej porze.

Przygaszone światła, włączone monitory i tysiące kolorowych guzików i klawiszy migocących w ciemności kazały sądzić, że miejsce to lada chwila zacznie wrzeć, jakby w kosmosie miała nastąpić eksplozja.

To wszystko zobaczył Michel Temoin, gdy przekroczył próg sali. Był to mężczyzna w średnim wieku, ze starannie przyciętymi wąsami i w okularach w grubych czarnych oprawkach.

– Jesteśmy gotowi, proszę pana – rozległ się metaliczny głos z głośnika.

Uwielbiał to. Już od trzech lat nie widywał innego pejzażu, tylko konstelacje kontrolnych lampek i zimny blask monitorów.

Nie wiedział, czy na dworze pada deszcz, czy świeci słońce, czy zostawił za drzwiami zimę, czy lato. Niezależnie od pory roku, zawsze opuszczał tę salę po zapadnięciu zmroku, a ponieważ projekt, za który był odpowiedzialny, nieraz odbierał mu sen, po powrocie do domu nigdy nie odmawiał sobie wieczornej lektury.

Nauczył się tego od Letycji... Wolał jednak nie zaprzętać sobie teraz głowy przykrymi wspomnieniami.

– Możemy zacząć odliczanie wsteczne, proszę pana.

Pracownik odpowiedzialny za komunikację z satelitą, klon Andy'ego Warhola, który siedział za centralnym panelem sterowania, zdążył dać zielone światło manewrowi ERS-1.

– Dziękuję, Laplace – odpowiedział ktoś stojący za jego plecami. – Czy antena już znalazła się we właściwej pozycji?

– Gotowa do wysunięcia, proszę pana.

Temoin zbladł. Głos, który rozległ się w sali, wzmocniony wewnętrznym systemem głośników, był ostatnim, jaki główny inżynier spodziewał się usłyszeć. Pomyłka była jednak wykluczona: Jacques Monnerie osobiście zszedł do piekieł i wydawał rozkazy satelicie, stojąc przy panelu sterowania. Ale co, u licha, robi tu szef stacji, ramię w ramię ze „śmiertelnikami”, zwykłymi operatorami CNES? [Centre National d'Etudes Spatiales przyp. wyd. pol). Krajowe Centrum Badań Kosmicznych] Czyżby wybrał się na niezapowiedzianą kontrolę?

Temoin pokręcił głową i zrobił krok do tyłu. Oburzony brakiem zaufania przełożonego, który pojawił się tak nagle, jakby podejrzewał go o jakieś machlojki, chciał wrócić tą samą drogą, którą przyszedł. Nie zdążył. Meteor Man – odpowiedni przydomek dla tego chodzącego kłębka

nerwów, jakim był Monnerie – zatrzymał go w miejscu okrzykiem. Zerwał z głowy słuchawki i już biegł w stronę Michela, żywo gestykulując.

– Michel! Gdzie, do cholery, pan się podziewał? Od dwudziestu minut próbuję pana namierzyć!

– Dwadzieścia minut? – Michel usiłował uśmiechnąć się niewinnie i przekonująco. Czuł się jak uczeń przyłapany na ściąganiu. – Przykro mi, proszę pana. Byłem w sali komunikacji, sprawdzałem systemy nawigacyjne satelity. Nikt mnie nie uprzedził, że pan osobiście zechce kontrolować tę operację...

– Dobra, niech się pan nie tłumaczy – uciał Meteor Man bez przekonania, patrząc na niego spod oka. – Rozumiem, że na górze wszystko w porządku, urządzenia są gotowe do bezbłędnego zapisu obrazów. Czy może się mylę?

Dreszcz przebiegł Temoinowi po plecach.

– ERS jest przygotowany do pracy, profesorze. Zapewniam, że moim ludziom nie umyka żaden szczegół.

– Mam nadzieję, Michel. Dla pańskiego dobra. Wy, naukowcy, nie macie najmniejszego pojęcia, jak wiele każde wasze zaniedbanie kosztuje budżet państwa. Nie muszę panu przypominać, że wczorajsze wyniki próby to niezrozumiały bełkot – oznajmił na zakończenie, wypuszczając prosto w twarz Michela chmurę papierosowego dymu. – Kartograficzna klęska Napoleona pod Moskwą! A pan mnie zapewniał, że wszystkie systemy zadziałają doskonale!

– Tak też sądziłem, proszę pana. Ale takie błędy się zdarzają. Sam pan wie, temperatura w górnych warstwach atmosfery, wiązka z radaru wojskowego...

– Bzdury. Po stokroć bzdury.

Mimo zmęczenia, postępującego artretyzmu i sześćdziesiątki na karku, Meteor Man przybrał agresywną pozę i przyglądał się inżynierowi niczym kobra kołyszająca się nad upatrzoną ofiarą.

– Satelita był w doskonałym stanie, profesorze – zapewnił drżącym głosem Temoin. – Sprawdziłem osobiście wszystkie układy, od góry do dołu. Wczoraj wszystko działało bez zarzutu.

– A jednak coś nawaliło, Temoin.

– Tylko co?

– Pana praca polega właśnie na tym, by temu zapobiec. Tak czy nie?

Jacques Monnerie odwrócił się plecami do Michela, skupiając całą swoją uwagę na szlaku orbitalnym ERS-1, który w tej właśnie chwili zarysował się na olbrzymim monitorze z ciekłego kryształu.

Tam, na górze, 800 kilometrów nad ich głowami, mniej więcej nad Dijon, dziesięciometrowa antena satelity miała za chwilę rozłożyć się na cztery części, by wypuścić swoją pierwszą wiązkę mikrofal w kierunku Francji.

Na sali powoli cichł gwar. Jeśli to się uda, pozostała część manewru będzie prosta.

– Trzy... Dwa... Jeden...

– Otworzyć „parasol”!

Synthetic Aperture Radar [Synthetic Aperture Radar – Syntetyczny System Wybierania (przyp. wyd. pol).], wśród pracowników Europejskiej Agencji Kosmicznej lepiej znany pod nazwą SAR, był aparatem fascynującym precyzją. Zaprojektowany przez zespół ekspertów z dziedziny telekomunikacji, wśród których znajdował się sam Temoin, SAR pozwalał na uzyskiwanie „map radarowych” obszarów ziemi, poczynając od wycinków wielkości zaledwie dwudziestu pięciu metrów kwadratowych, bez względu na panujące warunki atmosferyczne. Przenikał bez większego trudu chmury burzowe i uzyskiwał czyste obrazy cyfrowe powierzchni Ziemi.

Potem, korzystając z jego zapisów, zespół analityków mógł łatwo określić położenie budynków, dróg, lasów i jezior, i obliczyć ich powierzchnię z zaledwie kilkucentymetrowym marginesem błędu. Każdy z takich fragmentów o powierzchni dwudziestu pięciu metrów kwadratowych był następnie przemodelowany na piksel, czyli najmniejszy element wyświetlany na ekranie monitora.

Michel Temoin zajął miejsce przy panelu sterowania, rzucił okiem na wskaźniki z orbity, zaglądając przez ramię operatorom, i upewnił się, że ERS znajduje się już w wybranym miejscu.

Następnie, wymieniwszy parę uwag z klonem Andy’ego Warhola, sam wystukał na klawiaturze komputera odpowiednią komendę.

Była godzina 13.43 czasu GMT. Upłynęło dokładnie sto minut, odkąd ERS-1 zakończył ostatnie okrążenie. „Oko, które widzi wszystko” szykowało się do wykonania swojego pierwszego zdjęcia.

W lewym górnym rogu monitora, na który patrzył Monnerie, rozbłysło

słowo scanning.

– Czy wysyła już informacje? – zapytał.

– Tak. Zanim upłyną dwie minuty, dane będą już zarejestrowane na dole. Potem wystarczy tylko przekonwertować je na obraz – wyjaśnił Temoin.

Taka odpowiedź zadowolila profesora.

– Ufam panu, Temoin – skłamał.

– Dziękuję, szefie.

O 15.23, po kolejnym okrążeniu Ziemi, ERS-1 „wystrzelił” drugą salwę mikrofal w stronę nieistniejącej linii łączącej miasta Bayeaux, Evreux i Chartres. Meteor Man już sobie poszedł, nie czekając, by się przekonać, czy satelita pracuje bez zakłóceń.

Ograniczył się tylko do uprzedzenia podwładnych, że życzy sobie jak najszybciej zobaczyć wyniki na swoim biurku.

O 17.03, podczas trzeciego okrążenia, przyszła kolej na Amiens i Reims. O 18.43 – na Paryż.

Z takiej wysokości Miasto Światła wyglądało jak wielka jasna plama, otoczona ciemnymi chmurami. SAR działał w następujący sposób: przypisywał jasne kolory gładkim twardym powierzchniom – zwykle były to obiekty stworzone przez człowieka, na przykład zabudowania, od których odbijały się jednolicie fale o dużej częstotliwości – kontrastującą barwę zaś nadawał obiektom „miękkim” i nieregularnym.

Czysty, cichy i niewykrywalny ERS-1 był jedną z najlepszych inwestycji rządu byłego prezydenta Mitterranda. NATO z zazdrością podglądało, jak dobrze radzi sobie to urządzenie. Rosyjska mafia usiłowała ukraść informacje, jakie przechowywało, by wykorzystać je do własnych celów podczas pierwszego konfliktu w Czeczenii. Nawet Irakijczycy z regularną częstotliwością starali się przejąć bezcenną bazę danych kartograficznych.

Zanim wybiła 19.00, część orbitalna „Operacji Charpentier” była zakończona. Teraz pozostawało jedynie poczekać na zdekodowanie zebranych informacji i przekształcenie ich w obrazy. Przebiega to podobnie jak proces pozyskiwania danych stosowany w NASA podczas ostatnich misji kosmicznych wysłanych na Marsa.

Zaden poważny umysł pracujący dla ośrodka w Tuluzie nie śmiał sobie nawet wyobrazić, że coś może się nie udać po raz drugi w ciągu mniej niż dwudziestu czterech godzin.

ZEUS

Wszystko było kwestią minut.

Po zakończeniu ostatniego lotu „sztucznego oka”, kiedy nad południową Francją zapadła już noc, potężny Zeus zaczął wypływać pierwsze wyniki „Operacji Charpentier”. Komputer ten, będący imiennikiem wszechmocnego boga z Olimpu, jest w stanie przeprowadzać wiele milionów operacji na sekundę i przypada mu honor bycia jedynym europejskim urządzeniem, potrafiącym przekształcić na czytelne obrazy elektroniczne impulsy wysłane przez satelity geostacjonarne.

Tak też, jedno po drugim, ujęcia uzyskane z siatki Dijon, Bayeaux, Evreux, Chartres, Amiens, Reims i Paryża, w takim właśnie porządku, powoli rysowały się na jego monitorach, układając się w mapę z pikseli, powiększonych do prawie pół metra.

Michel Temoin czekał w napięciu, drapiąc się po brodzie.

Ujrawszy pierwsze wydrukowane zdjęcie, jęknął, jakby wydawał z siebie ostatnie tchnienie, i spojrzał przez lupę. Nie ulegało wątpliwości: to ujęcie z Dijon. I znów zawiera błąd, którego tak się obawiali.

W wielu miejscach obrazu widniały białe plamy. Nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego nie widać budynków, które znajdują się w tych miejscach. Cokolwiek było w punktach o znanych współrzędnych, zapadło się pod ziemię.

Temoin obawiał się najgorszego i jego złe przeczucia się potwierdziły: jedna po drugiej, ta sama anomalia systematycznie powtarzała się na kolejnych obrazach o innych parametrach ujęć i o różnym zasięgu. Inżynier nie potrafił wytłumaczyć, skąd biorą się te białe plamy. Wyglądało to tak,

jakby szwadron czarnych dziur z kosmosu połknął wszystko, co znajdowało się na obszarach, które w każdym przypadku odpowiadały połaciom terenu o powierzchni większej niż tysiąc metrów kwadratowych.

Zeus zamruczał.

Na zdjęciach każdego fotografowanego miasta po raz drugi pojawiło się siedem dziwnych białosiwawych plam.

Właściwie „plamy” nie było najtrafniejszym określeniem. To raczej skupiska poziomych kresek, bardzo cienkich, położonych jedna przy drugiej, które zakrywały obiekt znajdujący się pod spodem. Analizując na chłodno, można było wywnioskować, że jakaś kontremisja wysyłana z Ziemi blokowała źrenicę elektronicznego oka ERS-1, zaburzając ostrość soczewek w taki sposób, że gubił się dokładnie ten, a nie inny fragment powierzchni.

Wyjaśnienie to nie było jednak zbyt naukowe, ponadto nie miało sensu ze ściśle technicznego punktu widzenia. Najgorsze, że Temoin o tym wiedział.

Terribilis est locus iste [O, jakże miejsce to przejmuje grozą!
Księga Rodzaju 28,17 (przyp. wyd. pol).]

Chartres, 1128, trzy lata po wydarzeniach w Jerozolimie Wszystko wyglądało tak, jak mu to opisali. Eure, leniwa rzeka o krystalicznych wodach, prześlizgiwała się przez skalne koryto, którym odbijała od głównego nurtu, obojętna na ożywienie panujące wśród pielgrzymów, zapelniających niezliczone gospody i szynki podające miejscowe specjały. Na wschodzie, zaraz za Bramą Guillaume, łagodne wody uchodzące do morza naprzeciwko dwupiętrowej gospody U'Hopitot spinał imponujący most. Gospodę tę wznieśli benedyktyni, by udzielić schronienia i strawy braciom z ich zgromadzenia, którzy przybywają w te strony. Obrazu miasta dopełniała majestatyczna góra, oblepiona niezliczoną ilością niewielkich domków, zbudowanych na obwodzie skrupulatnie odmierzonych okręgów, jeden zacieśniający się pod drugim, a wszystko to zwieńczał przysadzisty budynek sanktuarium, w którym spoczywały relikwie świętego Lubina.

Przybysze nie musieli o nic pytać. Jedyne wybrukowana ulica w mieście powinna doprowadzić ich prosto do celu.

Na wtorkowy jarmark przybyli chłopci z całego Beauce, którzy zaopatrywali się tu we wszystko, czego potrzebowali na zimę.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Kozy, owce, jedna czy dwie krowy, a poza tym kilkadziesiąt osłów i prosiąt tłoczyło się w zagrodach z palików, prowizorycznie skleconych na bruku miejskiego placu. Panowała wrzawa, a serce osady zalewał kwaśny odór ekskrementów.

Jan de Avallon nie zwracał uwagi na tłok. Z nieodstępującym go Filipem, młodym giermkim, dźwigającym przyłbicę, kolczugę, napierśnik i żelazne nagolenniki pana, torował sobie drogę wśród ciżby. Za nim szło pięciu ubranych na biało mnichów, którzy opuścili opactwo Clairvaux dokładnie przed tygodniem i których schludny wygląd sprawiał dziwne wrażenie na tle otaczającego ich brudu i bałaganu.

Jako pierwszy kroczył chudy zakonnik o przezroczyście bladej cerze, ostrych rysach, rzadkiej brodzie i wyłupiastych oczach.

Paroma susami wysunął się na czoło pochodni i odezwał się do Jana, nie kryjąc podziwu:

– Znakomicie wywiązałeś się ze swojego zadania, panie. Oby spłynęła na

ciebie nieskończona łaska naszego Pana, Jezusa Chrystusa.

– Nie dokonałem niczego wielkiego, dotrzymałem tylko moich ślubów posłuszeństwa, ojcze Bernardzie – odpowiedział Jan, zerkając na kłębiący się wokół tłum. – Zdradźcież mi, jakąż to misję chcecie mi powierzyć, a ja z radością w duszy jej się oddam.

– Wystarczy, jeśli będziemy ufali ochronie, jaką zapewnia twój miecz – odparł mnich. – Chartres to miejsce wiary, w którym twa broń nie przyda się tak, jak przyda się twój rozum.

Tym samym Bernard, urodzony w Fontaine, opat zasobnego klasztoru cystersów w Clairvaux, przypomniał rycerzowi, jaki jest prawdziwy cel tej wyprawy. Nie wyruszyli wszak uciążliwym szlakiem wiodącym do Auxerre i Orleanu tylko po to, by złożyć kurtuazyjną wizytę biskupowi Bertrandowi. Opat, mężczyzna bystry, rozumny oraz niezwykle pobożny, chciał się przekonać, czy wzgórze to jest miejscem, którego poszukiwał od tylu miesięcy.

Odkąd do klasztoru przybył rycerz z Avallonu, Bernard nie przestawał myśleć o przedziwnych przygodach hrabiego Hugona i jego ludzi ani o tym, jak mógłby zapanować nad tym niezmiernym źródłem mocy, jakie udało im się znaleźć w Ziemi Świętej. Czy to dzieło szatana? Być może to rzeczywiście szatańskie sztuczki.

Człowiek, którego mottem życiowym było słynne *Regnum Dei intra nos est* – Królestwo Boże jest w nas – wierzył, że i szatan znajduje się w tym królestwie i dlatego to, co wydarzyło się w Jerozolimie, musi mieć jakieś wytłumaczenie.

Było jednak coś, co martwiło go bardziej: świadomość, iż nieubłagane upływa czas wyznaczony na to, by sprowadzić z Jerozolimy klucz do Scala Dei, która, o ile Jan de Avallon nie pomylił się w opisie, niedawno ukazała się w podziemiach Kopuły na Skale. I, co było jeszcze trudniejsze, musi wyznaczyć miejsce, w którym ów cenny klucz spocznie. Czy to właśnie Chartres okaże się tym miejscem?

Tak jak się spodziewali, na słynnego Bernarda czekała niewielka grupa powitalna z miejscowego opactwa. Na jej czele stał biskup Bertrand. Był to mężczyzna o potężnym, przez lata hodowanym brzuchu i starannie przyciętych włosach. Na ramionach miał czerwoną aksamitną pelerynkę. Wraz z nim czekali czarni mnisi (jak nazywano benedyktynów) z Cluny, wszyscy cieszący się zdrowym wyglądem, nieufnie przyglądający się tej

gromadce wymizerowanych mistyków.

Prezentacja trwała dokładnie tyle, ile zaleca etykieta w podobnych okolicznościach. Pod północnym portykiem kościoła, ozdobionym surowymi podobiznami dwunastu apostołów, pokrytym jaskrawymi malowidłami, dwaj kościelni dostojnicy wymienili pocałunki w policzek i oddalili się do mrocznej świątyni. Żaden z nich nie zamierzał w tej chwili rozpoczynać odwiecznej dyskusji o wyższości Kościoła ubogiego nad Kościołem zasobnym i na odwrót.

– Dziękuję Bogu, że cię do nas przysłał, bracie Bernardzie – odezwał się Bertrand, gdy otoczył ich półmrok świątyni. – Zaprawdę pomyślałem, że moje modlitwy zostały wysłuchane, kiedy wasz emisariusz powiedział nam wczoraj, że przybywacie do miasta.

Zakonnik Bernard uniósł brwi, nie kryjąc zdziwienia.

– Widzę, że jesteś zaniepokojony, Ekscelencjo. Nie sądziłem, że tak szybko skapitulujesz przed cysterskim ideałem.

– Ależ nie, skądże – pospiesznie zapewnił biskup. – Jednakże, chociaż nie podzielam waszych ascetycznych ideałów, przyznaję, że wasi mnisi mają wielkie doświadczenie w sprawach duchowych, teraz zaś niepokoi mnie właśnie jedna z takich spraw.

– Nastawiam ucha, albowiem mniemam, że podzielisz się ze mną tym, co wzbudza twe obawy.

– W ubiegłym tygodniu – zaczął Bertrand – zniknął z krypty Najświętszej Panny mistrz budowlany, którego zatrudniliśmy, by dokonał w świątyni pewnych poprawek. Początkowo podejrzewaliśmy porwanie, jednakże dwa dni temu nieszczęśnik ten pojawił się w tym samym miejscu, z którego tak nagle zniknął, chociaż przez cały ten czas świątynia była zamknięta na cztery spusty! Sądzymy, że to sprawka szatana. Bo jeśli nie, to jak to wytłumaczyć? Nie rozumiem, w jaki sposób majster mógłby wślizgnąć się do krypty, nawet nie dotknąwszy klamki! Zresztą drzwi były zamknięte na klucz, a zamek nie został naruszony! Najgorsze, że po powrocie postradał zmysły, nie udało nam się wydusić z niego niczego, co miałoby jakiś sens. Nie dowiedzieliśmy się ani gdzie był, ani w jaki sposób powrócił.

– Popadł w obłąd?

Biskup spojrzał na sklepienie kościoła, jakby tam szukał mocniejszych dowodów na prawdziwość swej historii.

– Cóż... – podjął – mamrotał jakieś niedorzeczności na temat anioła, który wyniósł go na wysokości, ukazując mu mnogość sfer niebieskich. Twierdził z całym przekonaniem, że Bóg tak zadysponował niebiańskim oświetleniem, że wszystkie gwiazdy są ze sobą powiązane, a cały mechanizm porusza się jak należy dzięki nieskończonej mądrości boskiej. I przebąkiwał coś o woli boskiej, że niby Stwórcy chce, by wszystko, co jest w niebie, naśladowali ludzie na ziemi. Rozumiecie coś z tego?

– Naprawdę tak powiedział? – oczy Bernarda zabłysły z podniecenia. – Dodał coś jeszcze?

– Prawdę mówiąc, nie. Silne fale gorąca, których nie potrafilismy w porę ostudzić, zawładnęły jego ciałem i zmarł wczoraj wieczorem, bredząc w malignie. Szczęśliwie niedługo potem dotarł goniec, który zapowiedział wasze przybycie, podziękowaliśmy więc Bogu, iż posłał do nas tak odpowiedniego człowieka, by rozwikłał tę tajemnicę.

– Tak...

– Powiedz ojczu, czy widzisz jakikolwiek sens w tym, co opowiedział nam nasz kamieniarz?

– Kto wie, Ekscelencjo... – Bernard splótł ręce i przybliżył je do ust w typowym dla siebie geście. – Zaprowadź mnie do krypty, w której miały miejsce te przedziwne zdarzenia. Jeśli ich sprawcą jest diabeł, bądź któryś z jego popleczników, z całą pewnością zostawił tu cuchnące siarką ślady.

– Chodź za mną.

Biskup Bertrand uniósł lekko habit, by nie przeszkadzał mu w marszu, i obszedłszy główny ołtarz, odsunął drewnianą klapę skrywającą wąskie schody. Krypta, w której niknęły, stanowiła podpiwniczenie połowy głównej nawy. Pomieszczenie było ciemne jak dno studni i dość rozległe, lecz strop miało niski. W głębi, nieopodal studni i skrzyni ze szczątkami świętego Lubina, gdyż było to jego sanktuarium, stała figura Matki Boskiej z dzieciątkiem, królując nad całym tym miejscem. Wnętrze oświetlało łagodne światło z olbrzymiej lampy oliwnej.

– Jakie roboty murarskie chcieliście tu przeprowadzić, Ekscelencjo?

– Tylko obniżyć posadzkę, żeby wygodniej było wchodzić do krypty. Potem należałoby umieścić parę rzędów ławek i już można by tu odprawiać chrzty i pogrzeby... Majster przekonywał naszą kapitułę, by zburzyć cały kościół i wznieść na jego miejscu nową budowlę, w bardziej nowoczesnym stylu, choć, po prawdzie, nieco dziwną.

– Rozumiem – kiwał głową Bernard. – A gdzie dokładnie zniknął wasz mistrz budowlany?

– Tuż obok figury Najświętszej Pani, ojciec.

– Tak też podejrzewałem.

– Doprawdy?

Opat zatrzymał się obok kolumny z reliefem na kapitelu, przedstawiającym scenę modlitwy w ogrodzie oliwnym. Wbił uważne spojrzenie w swego gospodarza i stanąwszy z rękami opartymi na biodrach, powiedział:

– Biskupie Bertrandzie, zadziwia mnie twój brak przenikliwości. Do tej pory nawet nie zapytałeś, co naprawdę sprowadza mnie do waszego grodu. Ledwie przybyłem, już każesz mi rozwiązywać jakieś zagadki, nie pytając o prawdziwą przyczynę moich odwiedzin. Jeśli postępujesz podobnie wobec wszystkich osób, nigdy nie nauczysz się dochodzić prawdy...

Biskup zarumienił się, zakłopotany.

– Masz rację, ojciec. Winien ci jestem przeprosiny.

– Nic nie szkodzi – udobruchał się szybko zakonnik. – Sam ci powiem: pragnąłem zobaczyć właśnie to miejsce, ni mniej, ni więcej. Słyszałeś zapewne, że od lat twierdzę, iż kult Najświętszej Pani zasługuje na sanktuarium. Nasza Pani, jako matka Boga w ludzkiej postaci, jest pośredniczką między nami a Królestwem Niebieskim, między Ziemią a Panem. Ten, kto chce spotkać się z Bogiem, łatwiej tego dokona za pośrednictwem Jego miłosiernej matki, niż idąc własnymi ścieżkami. Dawni mieszkańcy tego miejsca, dalecy przodkowie pierwszych chrześcijan, wiedzieli o tym i zanosili swe modlitwy do jego matki, nawet zanim Bóg zesłał ją na świat!

Biskup odczekał chwilę, po czym odpowiedział:

– Trafiłeś w samo sedno, bracie Bernardzie. Wiedziałeś, że mój poprzednik, biskup Fulbert, przyodział w atrybuty Matki Boskiej pogańską boginię, trzymającą syna, adorowaną przez Karnetów [Karnutowie – lud celtycki kultywujący tradycje druidów, zamieszkujący okolice Chartres, zanim zostały one schryścianizowane (przyp. aut.)] i zakazał czczenia dolmenu, który ci przy dźwigali aż do tego miejsca?

– W lesie nieopodal Clairvaux druidzi również czcili tego rodzaju bóstwa – przypomniał Bernard. – Sądzieli, że to święte matki, które zapładniały swe boskie pędy bez potrzeby bliskości cielesnej, a których

sanktuaria służyły za naturalny pomost do spotkania z Najwyższym. Czy nie jest to może cudownym przedstawieniem tego, czym powinna stać się Najświętsza Panienka w tych czasach światła? Czy nie stoimy wobec proroczego znaku, który zapowiada nadejście Matki Boskiej?

– Być może – mruknął Bertrand, kwitując wzruszeniem ramion to krasomówcze wystąpienie opata Clairvaux. – To jednak ani o krok nie przybliży nas do rozwikłania tajemnicy dziwnych przygód naszego budowniczego.

– Kto wie? Jeśli dobrze się temu przyjrzeć – ciągnął Bernard – czy nie powiedział on, że jakiś anioł zabrał go do nieba i oprowadził po niebiańskich domenach? Już całe lata zgłębiam tego rodzaju relacje w manuskryptach, jakie przechowujemy w naszym klasztorze. Zwłaszcza jeden z nich, ocalony przez ludzi hrabiego Szampanii, mojego pana, podczas wyprawy krzyżowej Urbana Drugiego, opisuje przypadek podobny do przygody waszego murarza.

– Opowiedz mi o tym, jeśli to nie tajemnica. Czy wydarzenia te również miały związek z jakąś budowlą?

– Tak, na swój sposób. Zgodnie z Biblią tylko trzech prorocy weszli z ciałem i duszą do nieba, oczywiście nie licząc wniebowstąpienia Najświętszej Panienki. Byli to Henoch, Elias i Ezechiel. Pierwszy z nich szczegółowo opisał pewien rodzaj rasy aniołów, które nazwał stróżami. Anioły te dwa razy porwały go od jego ludu. Za pierwszym razem nie było go przez trzydzieści dni i trzydzieści nocy. Opowiadał, iż szybował w towarzystwie anioła, którego nazywał Prawuil. Anioł ten wręczył mu rylce i tablice, na których prorok pisał bez ustanku, dopóki nie ukończył trzystu sześćdziesięciu tekstów. Henoch przyniósł ze sobą owe cenne tablice i posłużył się nimi, by przekazać ludziom boskie tajemnice.

– Ale pisma o tym nie wspominają... – wymamrotał biskup.

– Oczywiście, że nie. Księga ta zaginęła, gdyż opisuje zaskakujące i straszne rzeczy. Wola boska była taka, by wiedza ta pozostała niedostępna dla chrześcijan, by ich nie przestraszyć.

– Przestraszyć?

– Tak, Ekscelencjo. Na przykład historiami takimi jak bunt Lucyfera, którego Henoch nazywa oczywiście Szemihazą. W piśmie, o którym mówię, twierdzi on, że ów Szemihaza wraz z dwustoma aniołami zbuntował się przeciwko Bogu i dopuścił się kopulacji z naszymi kobietami,

poczynając w ten sposób rasę tytanów o piekielnym wyglądzie, które przeżyły nawet potop. Te diabły w ludzkim ciele przemierzyły całą ziemię, rozmnażając się i dając początek rodom, które mogły przetrwać nawet do dzisiejszych czasów. W dodatku budowały one wieże, by pokazać swym pobratymcom, gdzie mogą spotkać podobnych sobie.

– Niech Bóg broni! – wykrzyknął Bertrand.

– O gigantach, które przetrwały, wspomina również Księga Liczb, w rozdziale trzynastym, wiersz trzydziesty trzeci. Albo Księga Powtórzonego Prawa, w rozdziale drugim, wiersz jedenasty. Zresztą również Księga Jozuego, w dwunastym rozdziale, wiersz czwarty...

– Cóż jeszcze mówi ten rękopis?

– Niewiele więcej. Niestety, mamy tylko kilka stron, w dodatku są one bardzo zniszczone. Chociaż, Ekscelencjo, by zaspokoić waszą ciekawość, muszę powiedzieć, że Arabowie, którzy wręczyli je hrabiemu Szampanii, wyjaśnili mu, iż Henoch był wielkim budowniczym i że przywiózł z tamtej podróży plany doskonałej świątyni, które pozostawił wyryte w kamieniu.

– Pierre de Blanchefort przed śmiercią nie wspomniał słowem o żadnych planach – odrzekł z namysłem biskup.

– Żaden mistrz budowlany tego nie robi. Tacy ludzie zazdrośnie strzegą swych tajemnic.

– Żaden? To znaczy, że poza Henochem było ich więcej? – zdziwił się Bertrand.

– Cóż... Według tradycji o projektach tych usłyszał sam król Dawid, który następnie zapisał je w testamencie Salomonowi. Powinny one stanowić początek potężnego boskiego planu, który każe odwzorowywać w świecie śmiertelników świat niebiański. Skoro więc nasz budowniczy widział te projekty, może oznaczać to tylko jedno, Ekscelencjo.

Biskup Bertrand ujął przezroczyście dłonie Bernarda. Były zimne, jak w chwilach, gdy mnich dawał się unieść ekstazie, co zdarzało mu się wcale nierzadko.

– Co? – zapytał. – Co to może oznaczać?

– Ni mniej, ni więcej, tylko to, że majster rzeczywiście był w niebie i widział plany Henocha. My zaś przybywamy tu dokładnie w takim celu: szukamy osoby, która widziała te plany, Ekscelencjo.

LOUIS CHARPENTIER

Tuluza. Nawet niezbyt spostrzegawczy obserwator domyśliłby się, że Monnerie nie jest w dobrym humorze. Kiedy tak się działo, w jego pokoju nie można było oddychać z powodu gęstego dymu z cygara.

Światło ledwo przedzierało się przez przyciemnione szyby, stół zaś, na którym zwykle panował porządek, wypełniały góry papierów i strużyny z ołówków.

Taki widok – jak gdyby przez gabinet przeszło trzęsienie ziemi – ukazał się Michelowi Temoinowi, kiedy stanął w progu.

– Niemożliwe! – wykrzyknął profesor, przeglądając wydruki zdjęć z ERS-1. – Niemożliwe! To niemożliwe! – powtarzał. – System nie mógł zawieść nas po raz kolejny, zwłaszcza w tych samych miejscach co wczoraj! Nie rozumie pan, że jest to statystycznie nie do przyjęcia?

Inżynier, któremu nie zaproponowano, żeby usiadł, stał z drżącymi kolanami. Wiedział, że szef jest cholerykiem, natomiast nigdy wcześniej nie widział, by ogarnęła go taka konsternująca mieszanka przygnębienia i wściekłości. Najgorsze, że obrazy, jakie przetworzył nieomylny Zeus, nie pozostawiały miejsca na wątpliwości: zdjęcia z satelity miały poważne braki w ściśle określonych punktach.

– Jeśli pan pozwoli – odezwał się, by przerwać ciszę – może warto po prostu powiedzieć klientowi, który zlecił nam tę usługę, na jakie problemy natrafiliśmy. Ostatecznie, profesoro, czy to nie dziwne, że akurat miejsca, które najbardziej go interesowały, nie dają się dobrze sfotografować?

– Pan nic nie rozumie, prawda?

– Nie rozumiem?

Meteor Man podniósł lewą rękę do twarzy, jak gdyby chciał otrzeć pot, który jeszcze nie pojawił się na jego czole.

– Klientem jest pewne stowarzyszenie dobroczynne – wyjaśnił. – W ostatnim tylko roku dało ono naszej instytucji prawie trzydzieści milionów dolarów po to, byśmy dobrze wykonywali pracę. Te braki – mówił, pokazując jedno ze zdjęć – jasno dowodzą, że nie jesteśmy w stanie tego zrobić. Porażka doprowadzi nas do klęski budżetowej, o jakiej nie słyszano w historii. To pan rozumie, prawda?

Jego zacięta twarz o ostrych rysach poczerwieniała ze złości.

– Nie wierzę, że błąd powstał z naszej winy. To raczej coś z zewnątrz, coś niezależnego od ERS – wybąkał Temoin.

– Coś z zewnątrz? Co ma pan na myśli?

Michel wiedział, że ma tylko jedną niepowtarzalną okazję, by przekonać Meteor Mana do swojej teorii, postanowił więc postawić wszystko na jedną kartę.

– Proszę pomyśleć: dokonaliśmy drugiej próby, a białe plamy znalazły się, jak sam pan zauważył, w miejscach o dokładnie tych samych współrzędnych co wczoraj. Nie wydaje się to panu znaczące?

Monnerie po raz drugi pochylił się nad jednym ze zdjęć.

– Czyżby wada anteny? – mruknął.

Inżynier pokręcił głową. Wybrane ujęcie – CAE992610 – odzwierciedlało prostą linię, nie do pomylenia z jakąkolwiek inną, biegnącą wzdłuż ulicy Libergier aż do samego serca Reims. Powinna ona kończyć się naprzeciwko głównego portyku gotyckiej katedry. Jednakże jedyne, czego można się było dopatrzeć na zdjęciu w miejscu katedry, to rozmazana plama.

Profesor skubał brodę, analizując ten zaskakujący widok. Jeszcze raz wnikliwie przestudiował każdy z obrazów z ERS-u i z desperacją uderzył pięścią w stół. Wydrukowanym na papierze fotograficznym zdjęciom towarzyszył szereg cyfr określających współrzędne i wysokość, z jakiej zostały zrobione. Białawe plamy były bez wątpienia najdziwniejszą rzeczą, jaką oglądał w ciągu swojej trzydziestopięcioletniej kariery.

– Proszę mi wyświadczyć przysługę, panie Temoin – odezwał się w końcu, kiedy odłożył fotografie. – Niech pan sprawdzi, co za diabeł kryje się za tymi anomaliami. Jeśli ma pan rację, być może mieliśmy pecha i nasze badania pokryły się z działaniami innego instytutu naukowego, który

pracował dokładnie o tej samej porze co my. Jeśli tak było, moglibyśmy wręczyć zdjęcia naszemu klientowi z jakimś przekonującym wytłumaczeniem.

– Nie, nie. – Z twarzy inżyniera nareszcie zniknął grymas strachu. – To nie będzie potrzebne.

– Ach, nie?

Monnerie pochylił się w obrotowym fotelu, czekając na wyjaśnienie.

– Problem jest łatwy do przedstawienia.

– Zatem słucham.

– Jeśli ułożymy te obrazy na dużej mapie kraju i zaznaczymy na niej miejsca, w których pojawiają się plamy, to okaże się, że zaznaczone obszary pasują jak ulał do miejsc usytuowania znanych katedr.

Monnerie uniósł z niedowierzaniem brwi, tymczasem inżynier starał się wypaść jak najbardziej przekonująco.

– Widzi pan? – mówił, stukając palcem w mapę. – W Chartres to dokładnie plac katedralny zastępuje rozmazana plama, w Paryżu, Ile-de-France, w Amiens...

– To wszystko kościoły? – przerwał mu Meteor Man.

– Co do jednego. Porównajmy mapy.

– Ale jak niby mam rozumieć pana teorię, Temoin?

– Tego jeszcze nie wiem. Jak już powiedziałem, problem łatwiej sformułować, niż rozwiązać.

– Ma pan jednak jakiś pomysł, prawda?

Monnerie przyglądał się, jak Temoin siada po drugiej stronie biurka, ścierając z twarzy pot chusteczką w kolorze ecru i gładząc się po zadbanych wąsach. Inżynier nie wiedział, od czego zacząć swój wywód.

– Myślałem o tym, odkąd poznaliśmy wczorajsze wyniki, i nawet coś wymyśliłem, niestety, znalazłem jeden wyjątek, który trochę zbija mnie z tropu. – Michel zawiesił głos, by nadać głębi swoim słowom, i podjął z przekonaniem: – Dijon. Tam nasza anomalia, która wypada w nieco oddalonym punkcie na północny zachód od miasta, odpowiada, co ciekawe, innemu ośrodkowi religijnemu, Vezelay.

– Coś podobnego! Czy to coś panu mówi?

– Nie. A panu?

– Niestety nie... – Monnerie się zawahał. – Tylko tego brakowało, żeby kościelne dzwonnice oddziaływały na nasze satelity.

– Nie, nie, w żadnym wypadku. Ale wobec takich informacji wydaje mi się, że hipoteza, iż ktoś spowodował zakłócenia, musi zostać odrzucona. Przyczyna leży gdzie indziej, równie dobrze może być natury architektonicznej. Jakiś dziwny efekt pochłaniania mikrofal przez kamienie, nieprawidłowe odbicie fal, sam nie wiem co jeszcze!

– W takim razie nie ma niczego... jak by to powiedzieć... pewnego?

– Jeśli pozwoli mi pan na inną sugestię, może moglibyśmy porozmawiać z klientem i wy badać, czego spodziewał się po wynikach. Być może oczekiwał jakichś zmian w obrazach.

– A dlaczego uważa pan, że to mogłoby wniesć coś do sprawy?

– Tak tylko się zastanawiam... Na razie nie możemy zrobić nic więcej. Wiemy, iż żadne naturalne pole magnetyczne nie może spowodować takiego efektu i że to, co pojawia się na zdjęciach satelitarnych, zostało odkryte tylko dlatego, że pewien klient zwrócił się do nas z prośbą o dane dotyczące dokładnie tych miast.

Monnerie przygryzł dolną wargę. Coś zaświtało mu w głowie, ale wiedział, że jeśli zdradzi swój pomysł, tylko skomplikuje sprawę. Opadł na oparcie fotela i kołysząc się lekko, utkwiał spojrzenie w inżynierze.

– Jeszcze jedno, Temoin, zna pan międzynarodową fundację o nazwie Charpentiers?

– Nie, a powinienem?

– Tydzień temu jej prezes zlecił nam to zadanie. Fundacja ma szczytne cele: czuwa nad zachowaniem dziedzictwa historycznego i artystycznego Francji, zwłaszcza naszego odcinka drogi do Santiago de Compostela, a szczególną troską otacza budowle gotyckie. Zbierają fundusze, poszukują mecenasów w całej Europie i inwestują w projekty, które, jak wierzą, mogą rzucić więcej światła na interesujące ich kwestie historyczne.

– Proszę, proszę, brzmi to rozsądnie...

– Tak, wkładają w to dużo wysiłku. Mówię panu o tym, bo kiedy powiedział mi pan o katedrach, przypomniała mi się nazwa tej fundacji.

– Naturalnie – uśmiechnął się Temoin. – Charpentiers, czyli cieśle, odgrywali istotną rolę przy budowie gotyckich świątyń. To oni wznosili rusztowania, na których wspierały się łuki podczas budowy. Potem je rozbierali.

Monnerie skinął głową.

– Właśnie dlatego o tym wspominam. Nie sądzę, że oznacza to coś

więcej niż tylko zbieg okoliczności, ale skoro ma już pan tak interesujące pomysły, to może coś nam to nasunie.

– Zbieg okoliczności? Czy należy pan do osób, które wierzą, że Bóg gra w kości, profesorze? – zirytował się Monnerie, a jego twarz stężała.

Temoin pospieszył z wyjaśnieniami:

– Proszę posłuchać, panie Monnerie, nie zamierzałem panu o tym mówić, ale właśnie dał mi pan ku temu świetny powód. Wczoraj wieczorem, kiedy wróciłem do domu, cały czas zastanawiając się, co kryje się za zaburzeniami zarejestrowanymi przez nasze „oko”, zebrałem wszystkie dokumenty w jakiś sposób nawiązujące do gotyckich katedr, jakie miałem pod ręką. Zasnąłem po drugiej. Nie znalazłem co prawda niczego konkretnego, ale jest wiele książek, tanich wydań w miękkiej oprawie, którym warto poświęcić nieco uwagi. Zwłaszcza jedna z nich...

– A mianowicie?

– Nosi tytuł Tajemnice katedry w Chartres i została napisana, niech się pan przytrzyma stołu, przez niejakiego Louisa Charpentiera. – Temoin nabrał powietrza. – Rozumie pan, prawda? „Ludwik Cieśla”, to bez wątpienia pseudonim średniowiecznego mistrza budowlanego.

– Naturalnie to tylko kolejny zbieg okoliczności.

– A może nie? Otóż autor dowodzi, że jeśli nakreśli się linię, która połączy wszystkie miejscowości, w których wzniesiono katedry, dokładnie te miejsca, które mieliśmy za zadanie sfotografować, uzyskamy na mapie Francji figurę podobną do schematu konstelacji Panny. Czy nie wydaje się to panu fascynujące?

Monnerie rozparł się w fotelu, ściągając brwi. Obserwował, nie powiedziawszy ani słowa, jak inżynier wyjmuje kartkę i rysuje na niej romboidalny kształt, na którego wierzchołkach usytuował numery niektórych gwiazd z konstelacji Panny.

– Wyobraźmy sobie, że to gwiazdozbiór Panny... Jeśli połączymy Reims z Amiens na północy i z Chartres na południu, tę zaś z Evreux i Bayeaux, zaś Bayeaux z Amiens, uzyskamy figurę geometryczną o takim samym kształcie, jak właśnie ów gwiazdozbiór. Widzi pan?

Jacques Monnerie podniósł wzrok znad szkicu i przyjrzał się uważnie inżynierowi.

– Jest pan naukowcem, drogi przyjacielu – powiedział – niech więc pan powie jako naukowiec, dokąd zaprowadzi nas taka teoria?

– Na razie donikąd – przyznał Michel. – Wie pan jednak, co jest w tym wszystkim najciekawsze? W swojej książce ów Charpentier tłumaczy, że wszystkie te miejsca religijne, które na naszych zdjęciach zasnuwa nieprzenikniona mgła, poświęcone są Matce Boskiej i zostały zbudowane mniej więcej w tym samym czasie, w dwunastym wieku.

– Nie rozumiem, jakie znaczenie mogą mieć...

– To proste: jeśli wszystkie zostały wzniesione w następujących po sobie latach, to znaczy, że stanowiły część gigantycznego projektu przygotowanego przez mistrzów, którzy wyrosli chyba spod ziemi, bo brak na ich temat informacji, a którzy dysponowali zaskakująco znacznymi środkami w epoce głębokiego kryzysu gospodarczego. – I dodał, puszczając oko: – Wydaje mi się, że tu kryje się niezwykła tajemnica. Wczoraj miałem tylko podejrzenia, dziś zaś jestem co do tego całkowicie przekonany. Co więcej, jeśli się nie mylę, powinien pan umówić się na spotkanie z prezesem tej fundacji i zadać mu parę pytań.

Monnerie miał dość. Przy jego ścisłym umyśle i surowym wychowaniu religijnym, jakie odebrał, dywagacje inżyniera wyprowadzały go z równowagi. Dwunastowieczne budowle emitujące mikrofałe zaburzające odczyt z satelity? Niejaki Charpentier, rozprawiający o rysunku konstelacji Panny wytyczonym na połowie powierzchni Francji, i jacyś cieśle, którzy dofinansowują agencję kosmiczną, by robiła zdjęcia miejsc stanowiących punkty tego rysunku? Profesor splótł dłonie pod brodą. Zacisnął je tak mocno, że skóra na kostkach palców zrobiła się biała. Następnie, starając się nie stracić nad sobą panowania, rzekł:

– To szaleństwo, Temoin. Nie ulega wątpliwości, że ERS ma jakiś problem, jest to jednak zagadnienie natury czysto technicznej i nie ma związku z naszym zleceniodawcą. Pozostałe czynniki, jakie pan wymienia, tylko potwierdzają interesujący ciąg przypadków i zbiegów okoliczności zasugerowanych lekturami, których, nawiasem mówiąc, ktoś na pańskim poziomie powinien się wystrzegać. Proszę mi wierzyć.

– Skoro pan tak mówi... Nalegałbym jednak na...

– Dość tego, Temoin – uciał profesor. – Pańskie spekulacje zaszły za daleko. Jeśli w ciągu najbliższych godzin nie znajdzie się na moim stole racjonalne wyjaśnienie tych błędów, poczuję się w obowiązku pociągnąć kogoś do odpowiedzialności. Zrozumiał pan, prawda?

– Oczywiście, proszę pana.

ZAWIESZENIE

Mijało południe, kiedy na biurku Michela Temoina rozdzwonił się telefon. Inżynier obojętnie słuchał sygnału, zaszyty w swoim gabinecie za górą papierów, fotografii i książek porzucanych po całym biurku. Pozwolił, by telefon zadzwonił jeszcze parę razy, zanim niechętnie podniósł słuchawkę. Zdał sobie sprawę, że spędził całą przeklętą noc i rano, pracując nad fotografiami z ERS-1.

– Halo? – mruknął niezbyt zachęcająco. Było oczywiste, że kimkolwiek jest osoba na drugim końcu linii, pomyśli dwa razy, zanim odważy się przemówić.

– Czy mam przyjemność z panem Temoinem? – odezwał się w końcu męski głos.

– Tak, to ja. Kto mówi?

– Z panem Michelelem Temoinem Graffinem? – upewnił się anonimowy rozmówca.

– Tak.

Rozległo się chrząknięcie, jakby mężczyzna chciał oczyścić sobie gardło, by przekazać coś ważnego.

– Dzwonię z polecenia profesora Jacques’a Monneriego – powiedział. – Nazywam się Pierre D’Orcet, jestem prawnikiem, specjalistą od prawa pracy, a zarazem przedstawicielem prawnym instytucji, dla której pan pracuje. Mam na stole pismo, jakie dyrektor CNES wystosował w pańskiej sprawie dziś rano. Wie pan, o czym mówię?

Temoin przełknął ślinę.

– Nie, nie mam najmniejszego pojęcia.

– Dobrze, wyjaśnię więc panu. Według pisma, ciąży na panu odpowiedzialność za szereg poważnych zaniedbań popełnionych podczas nadzorowania programu European Remote Satellite. Poza tym pana dziwne wyjaśnienia przyczyn popełnionych błędów uniemożliwiły zespołowi technicznemu projektu rozwiązanie ich odpowiednio szybko. Pozwoliłem sobie więc do pana zatelefonować, by poinformować, że zostanie pan wkrótce poproszony o złożenie ustnego oświadczenia przed zarządem CNES. Będzie pan musiał udzielić przekonujących wyjaśnień co do przebiegu swojej pracy. Odmowa może oznaczać, że znajdzie się pan w poważnych tarapatach.

A niech to! Wiadomość ta, wysłuchana na bezdechu, była jak uderzenie ciężkim przedmiotem. Inżynier zerwał się na równe nogi. Miał w uszach rozmowę z przełożonym i wszystkie elementy układanki natychmiast wskoczyły na swoje miejsce: Meteor Man rzucił go na pożarcie lwom, by ratować własną skórę. Chce z niego zrobić kozła ofiarnego! Co za...

– Mam też obowiązek przekazać panu – ciągnął D’Orcet, recytując z nienaganną dykcją wyuczone prawnicze formułki – że musi pan opuścić swój gabinet w ciągu najbliższych godzin i nie przychodzić do pracy, dopóki nie zostanie pan wezwany. Jeszcze dzisiaj otrzyma pan potwierdzenie na piśmie wszystkiego, co panu zakomunikowałem, wraz z dokładnymi instrukcjami, w jaki sposób wypełniać polecenia służbowe.

– Więc jeszcze dzisiaj mam odejść z pracy?

– Tak będzie dla pana najlepiej, panie Temoin. Proszę mi wierzyć.

Z trudem zachowując zimną krew, Temoin zapytał prawnika, kiedy przybędzie goniec z pismem, i odłożył słuchawkę. Przez Parę chwil siedział nieruchomo, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Paralizowała go sama myśl, że zostanie bez pracy, że to na nim spoczywa ciężar odpowiedzialności za niepowodzenie projektu.

I jeszcze ten D’Orcet. Temoin, jak wszyscy pracownicy CNES, dobrze znał to nazwisko. Nie było tajemnicą, że jest bezlitosny wobec przeciwnika, czyli pracownika, co do którego przełożony ma jakieś zarzuty (teczki wszystkich osób zatrudnionych w ośrodku stały w równym rzędzie w jego gabinecie). Miał pełną świadomość, że ten kauzyperda tak zgrabnie pomanewruje jego sprawą, że zajączek, czyli on sam, będzie miał szczęście, jeśli uda mu się uciec, ocalając uszy. D’Orcet był mistrzem w żonglowaniu paragrafami i ustawami. Był przebiegły, bystry i bezlitosny niby tresowany

chart, a stawienie czoła takiej prawniczej bestii oznaczało tyle, co skazanie się na przegraną.

Złożyć wyjaśnienia... Jakże ja mogę złożyć wyjaśnienia?, zastanawiał się Temoin. Ukrył twarz w pulchnych dłoniach, by zebrać myśli.

Pierwsze, co przyszło mu do głowy, gdy się już nieco uspokoił, to zadzwonić do Monneriego. Coś jednak kazało mu z tym poczekać. Po pierwsze, było bardzo prawdopodobne, że ten podstępny robał nie siedzi rano za swoim mahoniowym biurkiem – jego tchórzostwo było powszechnie znane. Po drugie, zdał sobie sprawę, że stawienie mu czoła dostarczy tylko nowych argumentów na jego niekorzyść. Temoin rozmyślał, jak długo i pod jakim pretekstem może bezpiecznie okopywać się w swoim gabinecie, wbrew nakazowi eksmisji, który nadejdzie lada moment. Zastanowiwszy się jednak nad tym głębiej, odrzucił ten pomysł. Kiedy już dostał zarządzenie D'Orceta, wyznaczające mu termin dziesięciu dni na przedstawienie swojego stanowiska zarządowi, doszedł do wniosku, że najlepiej będzie wziąć głęboki oddech i jak najlepiej wykorzystać ten czas na zastanowienie się, w jaki sposób przekonać zwierzchników, że on nie ma nic wspólnego z „usterkami” satelity.

W ten oto sposób, o trzeciej po południu, zanim większość jego kolegów zdążyła wrócić z przerwy obiadowej, Michel Temoin opuścił budynek „C” Centrum Badań Kosmicznych w Tuluzie, kierując się... donikąd. Zabrał ze sobą tylko tekturowe pudełko z prywatnymi dokumentami, terminarz i korespondencję z ostatnich dni.

Oschła wiadomość dla sekretarki wystarczyła za wszystkie wyjaśnienia: „Zaraz wracam” – napisał na samoprzylepnej żółtej kartce, którą przykleił do monitora swojego komputera.

Zostawił teczki z zaległymi sprawami ułożone w porządnym stosiku na drucianej podstawce, zebrał nieliczne drobiazgi z biurka – wśród nich zdjęcia z ERS – i uporządkowawszy z grubsza swoją aktówkę i pudełko z dokumentami, zszedł na parking. Zapalił silnik i skierował się w stronę bramy.

Nie zdawał sobie sprawy, że jego śladem natychmiast ruszył opalizujący szary samochód z tablicami rejestracyjnymi Barcelony.

Tabulae [Tabulae (łac.) – tablice (przyp. wyd. pol.)]

OKOLICE ORLEANU 1128

Obóz wydawał się pogrążony w głębokim śnie.

Rodrigo, przykucnąwszy w gęstym sitowiu nad brzegiem Loary, rozglądał się uważnie, wypatrując pozostałości ognisk. Dokonując sporego wysiłku umysłowego, obliczył, ile czasu zajmie mu przepłynięcie rzeki i dotarcie do środka obozu.

Nie pójdzie łatwo, stwierdził. Najbliższy most znajdował się ponad trzy kilometry stąd. Poza tym było wielce prawdopodobne, że nawet pod osłoną nocy, której nie rozświetlała ani jedna gwiazda, schwytają go uzbrojeni po zęby wartownicy strzegący obozu. Na pewno o tej porze robią rutynowy obchód. Miasto obiegły pogłoski, które nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości: to rycerski orszak, przybyły wprost z Ziemi Świętej, przewożący z pewnością jakąś cenną relikwię, własność nieznanego wielmoży, który zapewnił ochronę konwojowi, posyłając z nim pięciu dzielnych rycerzy i cały zastęp dobrze odżywionej i uzbrojonej świty.

Nie od dziś wiadomo, że strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Przemarsz konwoju nie schodził z ust gawiedzi, ludzie oddaliby wszystko, żeby dowiedzieć się, co też takiego wiezie. Od dwóch dni, na polecenie rachmistrza księcia, zostały podwyższone opłaty za wjazd za rogatki. Rycerze, choć niechętnie, sięgali do sakiewek i ku zdziwieniu rachmistrza i samego feudała, płacili bez słowa sprzeciwu. Opłaty za każdy most, jaki przekraczali, pobierane były w złocie, a mimo to zdobyli się na hojny gest i złożyli dodatkową obfitą ofiarę na budowaną w grodzie katedrę. Cóż to za skarb przewożą, że jego bezpieczeństwo zasługuje na taką rozrzutność?

Biskup miasta, Rajmund de Penafort, nie lubił tajemnic.

To wyjaśniało obecność Rodriga w sitowiu. Miał za zadanie przedrzeć się aż do serca obozu, na własne oczy przekonać, co przewożą ci ludzie, a następnie opowiedzieć Penafortowi o tym, co udało mu się podsłuchać i podejrzeć. Biskup, ma się rozumieć, nie życzył sobie żadnych utarczek z udziałem żołnierzy, wybrał więc do tego zadania najędzniejszego, najbardziej żalostnego ze swych ludzi. Było to bardzo przebiegłe: nawet jeśli zwiadowca zostanie schwytany i wyzna prawdę, kto uwierzy takiemu łachmycie, że jest na służbie u samego biskupa?

Zanim Rodrigo znalazł się w Orleanie, uciekł z wyżyn Aragonii przed panem na zamku Manzón i przeszedł przez Pireneje, by stać się wolnym człowiekiem. Teraz zaś przewrotny los zaczął grać mu na nosie: ma narażać życie, by zaspokoić ciekawość skorego do intryg biskupa!

Nie miał jednak czasu, by się nad tym zastanawiać. Po omacku rozwiązał troczki wełnianej opończy, z ulgą pozbywszy się okrycia.

Został w samej koszuli, zrzucił ciżmy i zanurzył stopy w rzece. Starał się to czynić bezszelestnie.

– Jezusie – jęknął, kiedy lodowata woda sięgnęła mu krocza.

Popłynął jak pies myśliwski, kierując się nikłym blaskiem świeczek, płonących w jednym z namiotów. Poruszał się szybko, by się rozgrzać, starając się przy tym nie otwierać ust, aby nikt nie usłyszał, jak dzwonią mu zęby. Okazało się, że wyjście na brzeg jest jeszcze trudniejsze niż zanurzenie się w lodowatym nurcie.

Mokry i dygocący z zimna, Rodrigo przez parę minut tarzał się jak opętany przez złe duchy w piasku plaży. Zrobił, co było w jego mocy, by się osuszyć, i bosy podszedł do pierwszego szeregu grebeleures [Grebeleures (franc.) (przyp. wyd. pol.).]

Stały w nim tylko trzy namioty, a nieco dalej, trzy inne. W głębi, na samym końcu niebezpiecznego szpaleru utworzonego przez liny mocujące płótna do ziemi, delikatny odblask zdradzał, że pali się ognisko i że ktoś je podsyca.

Do tej pory wszystko szło gładko. Nie zauważył ani zwierząt, które mogłyby wyczuć jego obecność, ani przeszkód na drodze, o które mógłby się potknąć. Rodrigo w czterech dużych susach znalazł się przy pierwszym namiocie. Przywarował jak lis, rozejrzał, a następnie dużymi susami zaczął przemieszczać się od namiotu do namiotu.

Gdy minął namioty, przystanął zdumiony.

W odległości około dziesięciu metrów przed nim rysowały się ciężkie masywne koła pół tuzina dużych wozów. Stały wokół siódmego wozu, blisko siebie, pozostawiając wąski odstęp, przez który mężczyzna mógł precyzyjnie się do serca kręgu.

U stóp wozu stojącego pośrodku strzelał płomień ogniska, przy którym grzali się dwaj wartownicy. Obydwaj mieli u pasa lśniące miecze i zatknięte za pasek na prawym udzie dwa sztylety. Gawędzili spokojnie o planach kapitana na następny dzień i piekli mięso na ognisku.

Rozejrzawszy się, Rodrigo stwierdził, że nie ma innego wyjścia: musi przeczołgać się pod wozami, by znaleźć się dokładnie naprzeciwko żołnierzy. Stamtąd, jeśli mu się poszczęści, podpełźnie niezauważony do środka i wdrapie się na wóz, by sprawdzić, jaki ładunek przywiózł. Jeśli wszystko pójdzie tak, jak sobie wyobrażał, wystarczy mu parę minut, by przekonać się, co jest w środku, i uciec tą samą drogą.

Serce waliło mu niczym młot.

Wciąż przemoknięty do suchej nitki, zostawiając za sobą mokre płócienne namioty używane przez francuskich krzyżowców ślady, przeczołgał się pod wozem i leżał przez chwilę nieruchomo, by wyrównać oddech. Już słyszał wyraźnie rozmowę żołnierzy, mógł rozróżnić ich głosy.

– Już prawie dziesięć lat czekamy na rozkazy i nic się nie dzieje – skarżył się jeden z nich.

– Nie narzekaj. Przynajmniej udało nam się wrócić do Francji – odpowiedział drugi. – Gdybyś zaciągnął się do gwardii książęcej, trzymałbyś teraz straż przy wieży Dawida.

– Nienawidzę Jerozolimy.

– Ja również.

Rodrigo widział czubek kija, którym jeden z wartowników grzebał w ognisku, by rozniecić żar. W jego głowie kłębiły się dziesiątki pytań: o czym rozmawiają? Dlaczego nienawidzą Jerozolimy? Czy to uczestnicy wypraw krzyżowych?

Odetchnął głęboko.

Kiedy jeden z mężczyzn dorzucił do ognia gałązek i w powietrze strzelił snop iskier, chłopak wykorzystał okazję, wdrapał się na wóz, wyjął parę gwoździ przytrzymujących płótno i z wysiłkiem podciągając się na obu rękach, wturlał do środka. Ładunek musiał być bardzo ciężki, bo wóz nawet nie drgnął podczas tego manewru.

Wzrok Aragończyka szybko przyzwyczaił się do ciemności, którą rozświetlały tylko odblaski ogniska. Szczęśliwie płótno okrywające wóz było na tyle cienkie, że przepuszczało blade światło z zewnątrz, co pozwalało obserwować cienie strażników.

Siedział w kucki, nasłuchując. Kiedy upewnił się, że pozostaje niezauważony, zaczął się rozglądać. Stwierdził, że znalazł się między dwoma dużymi przedmiotami, przypominającymi granitowe bloki. Twarde i zimne, przymocowane były grubymi sznurami do dna wozu i zabezpieczone drewnianymi klinami.

Rodrigo obmacał krawędzie jednego z bloków, usiłując znaleźć ślady jakiegoś spoiwa lub nitów. Najpierw szukał na rogach, nie natrafił jednak na żadną szczelinę na gładkiej powierzchni kamienia. Potem przesunął ręką wzdłuż przekątnej i krawędzi, jednakże nadal nie znalazł tego, czego szukał. Czy to właśnie stanowi ów cenny ładunek, tak dobrze strzeżony przez oddział rycerzy? Dwa kawałki kamienia? Jeśli rzeczywiście to tylko marmur czy granit, po co wystawiać wokół straże i otaczać je kordonem wozów?

Przekonawszy się, że drugi blok ma podobne wymiary, Aragończyk oparł się wygodnie plecami o jeden z nich, by zebrać myśli.

A jeśli jednak to coś więcej niż tylko zwyczajne kamienie?

Tylko co?

Nagle przypomniał sobie kamienne koryta do pojenia koni, jakie widział przy zamku Manzon. Kamieniarze wyciosywali je z odłamków skał, które zostawały po budowie murów obronnych i wymieniali na wędzone mięso lub chleb u chłopów dziedzica.

Były to naczynia z bloków skalnych, masywne z zewnątrz, lecz puste w środku. Gdy patrzyło się na nie z boku, niczym nie różniły się od zwykłego bloku z kamieniołomu. Były to bardzo praktyczne sprzęty, których w uboższych parafiach używano nawet jako chrzcielnic. A jeśli...

Tak! Oczywiście! Olbrzymie koryta do pojenia zwierząt! Kamienne kufry! Sarkofagi! Nawet jeśli istniało zagrożenie, że opiera się o trumnę jakiegoś nieszczęśnika, Rodrigo wiedział, że druga taka okazja, by przekonać się, z czym ma do czynienia, już się nie nadarzy. Stanąwszy na jednym z drewnianych klinów, które zabezpieczały bloki, i wyciągnąwszy rękę, by przekonać się, czy na górze natrafi na pełny gładki kamień, zauważył, że ręka wpada w pustkę, nie natrafiwszy na żadną przeszkodę. Znow mocniej zabiło mu serce. Zanurzając dłoń w próżni, poruszał nią w środku bloku,

starając się zbadać wymiary tego gigantycznego kamiennego zbiornika. Zaskoczyło go, że wewnętrzne ściany tej ogromnej szkatułki wydają się jeszcze gładze niż te na zewnątrz, w środku zaś zmieściłby się nie tylko mężczyzna, ale nawet cały wół! Jego ręka ześlizgiwała się po ścianach jak po powierzchni lustra.

Coś jednak musi być w środku.

Stojąc na drewnianych klinach, uczepiony rękami kamiennej krawędzi, Rodrigo podciągnął się najwyżej, jak mógł. Zajrzał do środka, z wysiłkiem wyciągając szyję i wytrzeszczając oczy, i dostrzegł na dnie coś, co przypominało stertę szklanych cegieł.

Były to ciemnozielone płytki, grube najwyżej na dwa palce, które delikatnie świeciły. A może tylko odbijały światło wpadające przez płótno? Policzył je szybko: około stu osiemdziesięciu płytek w każdej skrzyni. Razem będzie ich ponad trzysta.

Kiedy już uporał się z rachunkami, bez namysłu wziął do ręki jedną z płytek i umieścił za paskiem, między pępkiem a kaftanem.

Choć kiszki z głodu grały mu marsza, cierpliwie doczekał zmiany straży, zanim zszedł z wozu i pozostawił za sobą obóz tonący w cieniach nocy. Jeszcze zdąży najeść się do syta przy obficie zastawionym kościelnym stole.

Biskup będzie zadowolony, pomyślał.

PANNA

Droga A-68 w kierunku Montastruc la-Conseillere była przejezdna jak rzadko o tej porze. Temoin, przyzwyczajony do codziennych popołudniowych korków utworzonych przez auta urzędników i biznesmenów, wracających z Tuluzy do otaczających ją małych miasteczek, teraz miał wrażenie, że znalazł się w innym świecie.

Prowadził swojego małego suzuki swift z rozsądną prędkością, jadąc w kierunku wyjazdu z miasta, a następnie, objeżdżając rondo w rytm muzyki z ostatniej płyty Loreeny McKennit, zdecydowanie skręcił w stronę wjazdu na osiedle apartamentowców, gdzie mieszkał. Zaparkował auto między dwoma żółtymi samochodami z logo Poczty Francuskiej i przeskakując po dwa stopnie, wbiegł po schodach prowadzących do wejścia do mieszkania numer 2 Bi.

Odkąd Letycja odeszła rok temu z fachowcem, który naprawiał im telewizor, otwieranie drzwi z zabezpieczeniem antywłamaniowym, kupionym za pierwsze wspólne oszczędności, stało się nie do zniesienia. Letycja była czterdziestoletnią blondynką o jędrnym powabnym ciele, z którą, jak sam mówił, spędził najlepsze lata swojego życia. Pochodziła ze starej pruskiej rodziny i miała silny charakter. Toteż swe ślady pozostawiła w całym domu: w kuchni wykończonej sosnowym drewnem, w łazience, gdzie na ażurowej żardinierze pięły się rośliny, a nawet w sypialni z baldachimem w geometryczne greckie motywy. Wydawało się, że nic, żaden szczegół nie umykał jej pracowitym rękom i surowemu germańskiemu stylowi. Co więcej, nawet domowa biblioteczka wypełniona była przez nią tytułami, których Temoin nigdy sam by nie kupił, a już na

pewno nie przeczytał, a wśród nich pozycjami takimi jak Tajemnice katedry w Chartres.

Nie był to jednak najlepszy moment na rozczulanie się nad sobą.

Cisnął pęk kluczy obok okropnego wspólnego portretu, jaki kazali sobie namalować przy murach Montsegur tuż przed zerwaniem. Nie lubił pić w samotności, lecz chwila zasługiwała na alkohol. Pochylając się nad zlewem, otworzył ostatnią butelkę, jaka została w stojaku, po czym zdjął buty i okulary i opadł na rozkładany skórzany fotel z kieliszkiem beaujolais.

– Śmierć skurczybykom! – wykrzyknął.

Wypił duszkiem pół kieliszka, nie zwracając uwagi ani na bukiet, ani na kolor wina, wpatrując się w grube szklane denko butelki.

Trunek był kwaśny, swój najlepszy czas przeleżał na półce w spiżarni. Michel skrzywił się i pozwolił, by jego wzrok spoczął na grzbiecie książki Louisa Charpentiera, opartej o laptopa. Chociaż kontury książki rozmazywały mu się przed oczami, natychmiast przypomniał sobie, co w niej przeczytał.

– To twoja wina, to wszystko, co się dzisiaj stało – wymruczał niewyraźnie. – I Letycji też, ma się rozumieć.

Tajemnice wyróżniały się nędzną miękką oprawą. Temoin jeszcze raz napełnił kieliszek i przytrzymał go na wysokości warg, jak gdyby trzymane w tej pozycji wino miało dar rozwiewania wątpliwości. Po kiego diabła wdał się w tę ryzykowną dyskusję, gadając bzdury o rzekomych powiązaniach zabytkowych katedr z konstelacją Panny? Czy uda się wszystko odkręcić, jeśli przeprosi Monneriego i przyzna się, że to on jest winny błędów w pracy satelity?

– Wątpię – wybełkotał między jednym a drugim łykiem. Już od dawna wiedział, że Meteor Man ma na niego oko. Zwłaszcza odkąd został dyrektorem ośrodka i dostrzegł w sobie moc decydowania o życiu swoich dawnych kolegów. Ten łobuz był tyranem; i to tyranem u szczytu możliwości. Był rekinem ludojadem. Co teraz robi? Temoin, który już nie pamiętał, kiedy ostatni raz był chociażby podchmielony, teraz wychylił kolejny kieliszek.

Jeszcze dwa łyki i nie będzie w stanie uwierzyć, że został wyrzucony z pracy. Co robi? Ucieknie, czy raczej zacznie się bronić, wykorzystując absurdalny pomysł nieznanego pisarza, który ukrywa się pod co najmniej podejrzanym pseudonimem? Salon zaczął wirować. Dlaczego ten

Charpentier pisze pod pseudonimem?

Czy to nie wystarczający argument, by nabrać podejrzeń co do treści książki?

Michel zatoczył się lekko i podszedł do stołu w jadalni, który, tak się składa, również kupiła Letycja od pewnego projektanta wnętrz w Nimes. Roześmiał się. Jakby mało miał kłopotów, to jeszcze każdy zakątek domu, do ostatniego mebla i bibelotu, przywołuje wspomnienia, wszystko na każdym kroku przypomina, że całe jego życie – dotychczas tylko życie uczuciowe – było porażką. Potrząsając głową i odstawiając kieliszek, oparł się na łokciach, wpatrując się w książkę Charpentiera.

– A ty co się śmiejesz? Ciebie też porzucili, głupku – wymamrotał.

Jak można się było spodziewać, egzemplarz milczał jak zakłęty.

Ten niewielki tom w białej okładce, z tytułem wytłoczonym na ciemnym tle wyraźną złoconą czcionką, z czarno-białym obrazkiem, przedstawiającym katedrę w Chartres, leżał nieporuszony.

– Nie odpowiesz? Tchórz!

Wypowiedziawszy te słowa, Michel złapał książkę za okładkę i zabrał się do wertowania jej pożółkłych stronic. Przewracał ostrożnie kartkę po kartce, jakby oczekiwał, że z szelestu papieru wyłoni się antidotum na wszystkie jego kłopoty. I tak się stało.

Trafił na stronę, której róg zagiął poprzedniego wieczoru. Niemal na samym końcu rozdziału zatytułowanego „Tajemnica góry” figurowały dane, które doprowadziły do oskarżenia go o „ekstrawaganckie pomysły”. W dodatku towarzyszył im interesujący diagram, na który wcześniej nie zwrócił uwagi. Był to schemat najważniejszych gwiazd z konstelacji Panny, porównujący ich rozmieszczenie do rozmieszczenia gotyckich katedr na północy Francji. Rysunek miał kształt romboidalny i zgodnie z tym, co sugerował autor, obie mapy – gwiazdna i katedralna – były właściwie identyczne. Schemat konstelacji Panny i rozmieszczenia francuskich katedr pod wezwaniem Panny Marii według Louisa Charpentiera. Towarzyszący mu tekst nie mógł być bardziej dosłowny. Temoin przeczytał:

Na obszarze, który dawniej wchodził w skład belgijskiej Galii, w dawnych prowincjach Szampanii, Pikardii, Ile-de-France i Neustrii istnieje zespół katedr pod wezwaniem Panny Marii, pochodzących z XII i XIII wieku. Otóż kościoły te wyznaczają na ziemi najważniejsze punkty gwiazdozbioru Panny, niemal dokładnie odzwierciedlając położenie gwiazd

na niebie. Jeśli nałożymy na gwiazdy nazwy miast, w których znajdują się owe katedry, przekonamy się szybko, że Spica, czyli Kłos Panny, przypada na Reims; Gamma na Chartres; Zeta na Amiens, Epsilon zaś na Bayeawe... Pomniejsze gwiazdy odnajdziemy w Evreux, Etampes i Laon, przy czym są to miasta, w których znajduje się kościół poświęcony Pannie Marii. Znajdujemy również, w pozycji pewnej pomniejszej gwiazdy nieopodal Spicy, kościół Panny Marii w Espina, zbudowany znacznie później, ale którego konstrukcja również stanowi pewną tajemnicę...

Temoin przeczytał ten fragment kilka razy, naprawdę zafascynowany (być może wrażenie było spotęgowane działaniem beaujolais), choć musiał dokonywać sporego wysiłku, by cokolwiek zrozumieć.

W końcu, mimo zawrotów głowy, wyprostował się i włożywszy okulary, zebrał resztki sił, by poszukać mapy Michelina i dokonać porównania. Jeśli chce się obronić przed zarzutami zarządu agencji, musi wyjaśnić, skąd wzięły się te jego „ekstrawaganckie pomysły”.

Nie oczekiwał nawet, że w stanie, w jakim się znajduje, dokona wielkich odkryć, ale zanim alkohol ukołysze go do snu, może uda mu się skupić uwagę choć na tyle, by umieścić na miejscu jeszcze parę elementów tej układanki.

Poczuł się wyraźnie ożywiony.

Idąc do komody w jadalni, w której przechowywał mapy, zaopatrzył się w niewielki notatnik, plastikową linijkę i flamaster z cienką końcówką.

– Pióro może więcej niż komputer – wybełkotał – i ja tego dowiodę!

Wrócił do kuchni, umył twarz, wytarł ją kuchenną ścierką w zielone koniki i usiadł przy stole, by sprawdzić, czy dane Charpentiera dadzą się potwierdzić obliczeniami astronomicznymi.

Chciał się upewnić, że cała ta sprawa ma jakiś kontekst historyczny i że związek między katedrami a gwiazdami nie jest przypadkowy.

Czy położenie każdej gotyckiej katedry odpowiada jakiejś gwiazdzie z gwiazdozbioru Panny?

A jeśli tak, to czy wystarczy to, by wyjaśnić anomalie wykryte przez satelitę?

Wspomagał się małym podręcznikiem astronomii, kolejną książką z kolekcji, którą Letycja zapomniała ze sobą zabrać. Uznał, że ma dość siły, by teraz nie spać, i że ma wystarczająco dużo czasu, by sporządzić dwie tablice, które w jego notatniku przedstawiały się następująco:

ZALEŻNOŚĆ MIĘDZY POŁOŻENIEM KATEDR A NAJWIĘKSZYCH GWIAZD Z GWIAZDOZBIORU PANNY (według Louisa Charpentiera)

Gwiazda, której odpowiada Gamma virginis (Porrima)

Alfa virginis (Spica)

Epsilon virginis (Vendimiatrix)

Zeta virginis ZALEŻNOŚĆ MIĘDZY POŁOŻENIEM KATEDR A NAJMNIEJSZYCH GWIAZD Z GWIAZDOZBIORU PANNY (według Louisa Charpentiera)

Data budowy Gwiazda, której odpowiada

1160 Virginis 1355

1163 Virginis 1336 (?)

Virginis 490 (?)

1248 Virginis 484

???!> Virginis 1324

Katedra gotycka Data budowy

Chartres 1194

Reims 1211

Bayeaux 1206

Amiens 1220

Katedra gotycka Laon Paryż Evreux Etampes Notre Dame de @UEpine Abbeville Virginis 1348

Virginis 1351

Wysilek, jakiego wymagała próba wprowadzenia jakiegoś porządku do tego chaosu miejscowości i ciał niebieskich, wyczerpał go. Musiał kilka razy przestudiować listy, by dostrzec pewien znaczący szczegół: świątynie pozornie zbudowane po to, by położeniem odwzorować pozycję najważniejszych gwiazd z konstelacji Panny, zaczynały powstawać między latami 1160-1248. Przedział czasowy wynosił aż 88 lat, znacznie powyżej średniej życia człowieka w XII i XIII wieku. Co to oznacza? To proste. Jeśli kiedykolwiek istniał szeroko zakrojony plan budowy kościołów gotyckich oddanych w opiekę Matce Boskiej, których rozmieszczenie odpowiadać miało gwiazdom, budowa taka w żadnym wypadku nie była kierowana przez jedną osobę, a z pewnością przez całą rzeszę takich osób, dokładnie trzy lub cztery pokolenia mistrzów budowlanych. Kim byli? A przede wszystkim, czy mieli jakiegokolwiek pojęcie o geomagnetyzmie, mogącym usprawiedliwiać zakłócenia na zdjęciach z satelity?

Michel, którego myśli nie płynęły już swobodnie, lecz wirowały, nabazgrał obok dwóch prowizorycznych tablic ostatnią informację, uzyskaną na podstawie mapy Michelin: całkowity obszar figury geometrycznej wyznaczonej przez te cudowne świątynie, jeśli beaujolais nie zmało mu w głowie, mieści się w rombie o bokach 210 na 160 kilometrów. Oznacza to około 33 600 kilometrów kwadratowych powierzchni, mniej więcej tyle samo, co niewielka prowincja państwa.

Ogarnął go entuzjazm. Takie planowanie mogło być dziełem jedynie intelektualnych gigantów, mających nadzorować budowy oddalone od siebie o dziesiątki kilometrów. Jeśli zgromadzi wystarczająco dużo dowodów, Monnerie go zrozumie i przyzna mu rację.

– Postanowione. Jeszcze jutro pojedę do Vezelay, by zebrać wszelkie informacje umożliwiające wyjaśnienie, co mogło zaszwankować w satelicie.

– Dobrze się pan czuje, szefie? – zapytała Helene, jego sekretarka, słysząc bełkotliwą mowę po drugiej stronie słuchawki.

– Doskonale... Proszę zapisywać wszystkie ważne telefony i odwołać wszystkie spotkania zaplanowane na ten tydzień. Zadzwoń do pani.

– Tak też zrobię, proszę się nie martwić. A co, jeśli profesor Monnerie będzie o pana pytał?

– Powiedz cokolwiek.

Michel, wyczerpany tak dużym wysiłkiem, rzucił telefon bezprzewodowy za oparcie kanapy, sam zaś zapadł się w jej gęsty, ciepły pluszowy miąższ. Mieszanka pragnienia wiedzy i zemsty, jaka do tej pory powodowała jego działaniami, powoli ustępowała miejsca przyjemnej senności. Beaujolais, wiedzą o tym wszyscy Francuzi, jest bezlitosne.

Caput [Caput (łac.) – głowa (przyp. wyd. pol.).]

Chartres Słońce skłaniało się ku południu, gdy opat Clairvaux otworzył oczy. Długo trwał w letargu, w jaki zapadł w krypcie. Filip, oddany giermek Jana de Avallon, opiekował się nim i przyglądał się jego malignie. Był nieśmiały i rozmowa z biskupem Bertrandem wiele go kosztowała. Niemniej był on jedyną osobą, której Bertrand opisał szczegóły wydarzenia w krypcie i poprosił o opiekę nad opatem.

Przywilej ten wynikał ze zbiegu okoliczności – jego pan pilnował tego dnia wymiany wierzchowców, co miało potrwać do popołudnia, tak więc z braku rycerza jego sługa stał się człowiekiem odpowiedzialnym za bezpieczeństwo mnichów.

– Nie martwcie się, Ekscelencjo – mówił Filip – ścisły post naszego wielbnego ojca i surowa pokuta, jakiej się dzień w dzień oddaje, od czasu do czasu wywołują takie właśnie objawy. Nie pierwszy raz przydarza mu się coś podobnego. Zrozumcie, że nasza podróż była długa i wszyscy jesteśmy zmęczeni, ujrzenie zaś waszej świętej doliny musiało być dla niego ogromnym przeżyciem – zauważył roztropnie.

Bertrand z ulgą przyjął te wyjaśnienia, gdyż uznał, że zwalniamy go one z wszelkiej odpowiedzialności za gościa, i dopilnował, by braciszkanie jak najszybciej zakwaterowali się w wygodnej gospodzie nieopodal biskupiego pałacu. Okazał się sprawnym organizatorem: żadnych zbyteków, ale również żadnych niewygód. Następnie poprosił młodego Filipa, by powiadomił go, gdy tylko opat dojdzie do siebie, gdyż mają do omówienia wiele ważnych spraw.

Filip, zdyscyplinowany i czujny, pocałował biskupi pierścień i przekazał to, co usłyszał, białym mnichom, gdy dołączył do nich nad Eure.

Izba, która przypadła bratu Bernardowi, była czystym pomieszczeniem pod słomianą strzechą, z posadzką z terakoty, w której królowało łóżko z grubym siennikiem. Z jedyne go okna wychodzącego na wschód widać było każdą dachówkę grodzkiego kościoła i jego masywną wieżę z wapienia.

Kiedy opat odpoczął, z twarzą zaróżowioną od snu, kazał wezwać Jana de Avallon. Przyprosił go brat Leopold.

– Chcę, byś dowiedział się jak najwięcej o człowieku imieniem Pierre de Blanchefort – rozkazał łagodnie, nie wstając z łóżka.

– Czy wiemy już coś o nim, ojcze?

Młody rycerz, którego brat Leopold odnalazł w końcu w kuźni Jacka, oczekiwał na odpowiedź, drapiąc się po potylicy. Nigdy wcześniej nie widział, by mądry brat Bernard był czymś równie przejęty.

– Jedyne, co wiem, to to, że Blanchefort był majstrem na budowie u biskupa Bertranda – wyjaśnił. – Zmarł przed paroma dniami, zaraz po tym, jak w kaplicy opactwa ukazała mu się nadzwyczajna wizja. Tam i ja straciłem dzisiaj przytomność.

– Co takiego straciłeś, ojcze?

– Nieważne, mój drogi Janie. Teraz tylko proszę cię na wszystkie świętości, byś ustalił dokładne przyczyny śmierci tego nieszczęśnika. Chcę też wiedzieć, jakie sprawy łączyły go z biskupem i po co przybył do Chartres.

– Cóż, to może zająć trochę czasu, ojcze – bąknął strapiony Jan.

– Nic nie szkodzi. Oddaję do twojej dyspozycji wszelkie niezbędne środki, byś mógł wywiązać się z tego zadania.

Rycerz, z płaszczem przewieszonym przez lewe ramię, pokłonił się Bernardowi i nie chcąc odwracać się do niego plecami, tyłem dotarł do drzwi.

– A czego dokładnie mam szukać? – zapytał, zanim wyszedł.

– Dobrze byłoby sprawdzić, czy ten Pierre de Blanchefort przywiózł ze sobą jakieś plany czy rysunki. Jeśli tak, muszą nadal spoczywać w jego kufrach. Chcę wiedzieć wszystko o jego przedsięwzięciu: terminy, jakie sobie wyznaczył na wykonanie robót, kto miał je opłacać, na czym miały polegać... Wszystko!

– Zrobię, co w mojej mocy.

Jan założył hełm i ponowił swoje przyrzeczenie, że będzie wierny opatowi, powtarzając formułkę wyuczoną w Jerozolimie. Opuścił budynek przez nikogo niezauważony. Dowiedzenie się czegoś w mieście, którego nie znał, nie należało do prostych zadań. Nie miał tu zaufanych ludzi, a jako młodzieniec rozsądny wiedział, jak przydatna jest umiejętność odróżnienia uczciwych informatorów od takich, którzy za jedną monetę gotowi są gadać, co im ślina na język przyniesie. Dlatego też, rozważywszy wszystkie możliwości, zielonooki rycerz, Nieuświadomiony z Ziemi Świętej, postanowił na początek zrobić rzecz najłatwiejszą: jeśli niejaki Pierre de Blanchefort zmarł zaledwie parę dni temu, najrozsądniej będzie obejrzeć

jego grób.

Nawet Filip przyznał mu rację.

Ksiądz z kościoła pod wezwaniem Świętego Leopolda, garbaty starzec wyrwany z rąk heretyków zamieszkujących w owych czasach południe kraju, wyjaśnił mu, okraszając opowieść szczegółami, że nieszczęsnego majstra pochowano na przykościelnym cmentarzu zaledwie dwa dni temu.

– Sam możesz sprawdzić panie, mogiła jeszcze świeża – zapewnił. – Bez trudu znajdziesz ją na cmentarzu, niepotrzebny wam jestem do tego. Dzięki Bogu, ludzie nie umierają tu zbyt często.

Za to, czego Jan dowiedział się o samym Blanchefortcie, musiał zapłacić srebrną monetą. Ksiądz, z początku niekwapiący się do rozmowy, w końcu zgodził się opowiedzieć, że Pierre de Blanchefort rzeczywiście należał do bractwa budowniczych, założonego w Marsylii po chwalebnym powrocie pewnego oddziału świętych rycerzy z pierwszej wyprawy krzyżowej. Byli oni wyznawcami przedziwnej idei świętych matek pogrzebanych na ziemiach druidów. Poczciwy ksiądz opisał, jak mężowie ci rozpoczęli przemarsz przez całą Francję, oferując przebudowę wszystkich kaplic, domów modlitwy i kościołów, w jakich oddawano cześć Matce Boskiej.

Nie żądali zbyt wysokiej zapłaty, dlatego też wielu z nich szybko znalazło zajęcie przy budowie. Jak twierdzili, czerpali oni korzyści ze swej pracy, ale były to korzyści wyłącznie duchowej natury. Do pracy motywowała ich myśl, że dzięki nim ziemia coraz szybciej upodabnia się do nieba. Ich projekty przesycone były duchem cudu. Budowle miały konstrukcję znacznie lżejszą niż wcześniejsze kościoły, zaklinali się więc, że są one w stanie wywołać duchowe uniesienie nawet u najbardziej zatwardziałyłch grzeszników.

– A wiesz może, ojczcze, jak nazywało się owo bractwo, do którego należał Blanchefort?

Pytanie Jana zaskoczyło księdza. Zachęcony szczodrą zapłatą przyznał, że słyszał nieraz, jakim rodowodem szczyli się to stowarzyszenie, kiedy nieboszczyk chodził jeszcze żywy po Chartres, ale nie słuchał plotek i nie przypomina sobie dokładnie nazwy.

Przysłuchiwał się często jego rozmowom z biskupem, był nawet obecny, kiedy mistrz dyktował listy młodemu braciszkowi, służącemu biskupowi. Nazwa wiele razy obijała mu się o uszy, ale jej nie pamięta!

Drapiąc się po brodzie i mrużąc oczy, ksiądz starał się odnaleźć

w pamięci utracone słowo.

– Wiem, że używali jakiejś pospolitej nazwy, związek czy bractwo... – mamrotał. – Kowali? A może piekarzy albo kamieniarzy... Nie! Cieśle! Tak jest, kazali się nazywać cieśłami, charpentiers. Związek Cieśli.

– Związek Cieśli? – zdziwił się rycerz. – Czy to nie nazbyt pospolita nazwa dla tak znamienitego bractwa?

– Tak, mnie samego to zastanowiło, ale wiesz, panie, jacy dziwacy bywają wśród cudzoziemców!

– Cudzoziemców?

Na tę wiadomość Jan nastawił uszu.

– Naturalnie. Nie mówiłem ci jeszcze o tym? Pierre de Blanchefort nie pochodził z tych ziem. Jeśli mam być szczery – wyszeptał ksiądz z tajemniczą miną – wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że to jakiś przechrzta. Wiesz, panie, syn Mahometa pokropiony wodą Naszego Pana, który chciał dostąpić zbawienia, zapierając się swej wiary.

– A po czym to poznaliście?

– Skórę miał śniadą, zęby bardzo białe i jakie zdrowe! Tak, panie, nie wyglądają chrześcijanie. Ponadto, gdy był u naszego biskupa, cały czas robił obliczenia, kreśląc przy tym cyfry i obrazki, które wyglądały mi na dzieło diabelskie. Malował je wszędzie: na stołach, na piasku, na skrawkach pergaminu... Sam nie wiem, co o tym myśleć!

To, co Jan usłyszał od księdza z kościoła Świętego Leopolda, zasiało ziarenko podejrzliwości w jego umyśle. Wszystko to mogły być tylko bezwartościowe plotki, choć domniemanie, że zmarły mistrz miał saraceński rodowód, warte było rozważenia. Poza tym, po cóż ksiądz miałby wymyślać tak nieprawdopodobne historie?

Swoją drogą to, by jakiś Arab zawędrował w te strony, wydawało się nie tylko dziwne, ale wręcz niemożliwe. Kampanie prowadzone przeciwko Seldżukom z Anatolii i walki w rejonie śródziemnomorskim o kontrolę nad szlakami wiodącymi do Palestyny roznieciły wrogość między niewiernymi a chrześcijanami. Dawniej w jedną stronę płynął nieprzerwany strumień chrześcijańskich pielgrzymów, w przeciwną zaś podążali arabscy kupcy, jednak w wyniku krucjat w ciągu zaledwie pięciu lat szlaki te opustoszały.

Jan wiedział, że nie ma wyboru.

Gotów wyzbyć się obaw i zadowolić ciekawość opata Clairvaux, szybko zakończył rozmowę z księdzem i zaczął czekać na odpowiednią chwilę, by

obejrzyć ciało majstra. Jego grób, zgodnie z tym, co powiedział kapłan, łatwo można było odróżnić od pozostałych mogił. Kopiec ze świeżej ziemi nie zdążył jeszcze zarosnąć zielskiem, wschodnia ściana kościoła zaś, nieopodal której znajdowała się mogiła, dodatkowo osłaniała ją od wiatru.

Jednak wykopywanie zwłok było przestępstwem. Co gorsza, grzechem, jeśli robiło się to, nie przestrzegając surowych reguł, które uzasadniałyby takie działania. Tak też, przedyskutowawszy tę kwestię z opatem Clairvaux jeszcze tego samego popołudnia, Jan postanowił poczekać, aż zapadnie głęboka noc, i wtedy wrócić na cmentarz.

Krzyże, kamienne płyty i włócznie wbite w ziemię na znak wiecznego spoczynku zmarłych tworzyły w ciemności wrogą armię nieruchomych strażników, mogących przerazić nawet najbardziej trzeźwe i racjonalne umysły. Za dnia cmentarze są tylko miejscami pamięci dla żywych, w ciemności stają się domeną zmarłych.

Jan wybrał się na cmentarz w towarzystwie Filipa, któremu opowiedział o rozmowie z proboszczem. Rycerz i jego sługa z potężnymi łopatami w rękach posuwali się do przodu niczym cienie. Dwie sylwetki, biała i szara, prześlizgiwały się między grobami. Szybko znaleźli się przed drewnianą tabliczką, która mówiła, że ten, którego szukają, spoczywa właśnie w tym miejscu.

Napis zrobiony kredą, wielkimi literami, trudnymi do odczytania w łagodnej poświacie księżyca przebijającej przez chmury, brzmiał: P. de Blanchefort Magister comiciani [Magister comiciani (łac.) – mistrz kamieniarstwa (przyp. wyd. pol).]

– Tu jest – wyszeptał Jan, kiedy udało mu się odszyfrować napis. – Do roboty.

Łopata wbiła się w ziemię, pozostawiając ciemny ślad. Jeden za drugim, miarowo niby koła zębate w zwodzonym moście, żelazne ostrza rozkopywały grób Pierre'a de Blanchefort. Za szóstym czy siódmym razem łopata Filipa napotkała opór.

Zapachy wilgotnej ziemi i potu mieszały się w ich nozdrzach.

Przykłęknąwszy, obmacali kontury znaleziska. Strząsnęli z niego ziemię, po czym wstali, by lepiej się przyjrzeć.

Na ziemi rysował się kształt człowieka owiniętego w parciany worek. Ukucnęli, wsunęli ręce pod ciało, z całej siły podciągnęli i przerzucili je na płytszą stronę grobu.

Tobołek obwiązany był czterema sznurkami, które Filip bez zastanowienia przeciął nożem odpiętym od pasa. Następnie poszukał otworu worka i rozciął materiał.

– Co spodziewasz się znaleźć, panie? – zapytał giermek, zanim rozsunął tkaninę, ukazując jej makabryczną zawartość.

– Odpowiedź.

– Mam odsłonić?

Jan skinął głową.

Filip przeżegnał się, złapał brzegi rozciętej tkaniny i pociągnął z całej siły. W powietrzu rozszedł się mdlący odór, a oczom młodzieńców ukazał się przerażający widok. Z ramionami skrzyżowanymi na piersi i kapturem naciągniętym na twarz, ciało Pierre'a de Blanchefort wyglądało jak wyrzeźbione w marmurze.

Giermek pochylił się i zobaczył śnieżnobiałe ręce, zsiniałe paznokcie z obwódkami brudu...

Trup ubrany był w tunikę z brązowej wełny z kapturem, zapinaną na kościane guziki. Całości dopełniał piękny skórzany pas z błyszczącą klamrą. W woskowe dłonie Pierre'a de Blanchefort, skrzyżowane na piersi, włożono jakiś duży metalowy przedmiot.

– Co to? – wyszeptał Jan.

Filip dotknął jednej z krawędzi czegoś, co wyglądało na miedziany wisior.

– Podaj mi to – rozkazał Jan.

Filip pociągnął z całej siły. Zwłoki drgnęły. Giermek nie był strachliwy, lecz teraz z jego ust wydobył się nerwowy chichot.

Jan nigdy wcześniej nie widział niczego podobnego. Wyglądało to na amulet albo fragment mechanizmu z kołami zębatymi. Były to dwie gładkie miedziane obręcze połączone wspólną osią. Zewnętrzna, większa, o grubszej krawędzi, z wyrytymi symbolami, obracała się gładko w obie strony. Mniejsza, osadzona na większej, pozwalała obracać się po większym kole.

– Co to, panie?

Jan zawahał się, zanim odpowiedział.

– To chyba astrolabium.

– Astrolabium?

– To taki arabski wynalazek, po raz pierwszy widziałem go

w Jerozolimie. Miałem to w rękach tylko raz, wiem jednak, że używali tego astronomowie niewiernych, by określić położenie gwiazd w odniesieniu do powierzchni ziemi.

– A do czego mógł on służyć budowniczemu?

– Złe pytanie, Filipie – upomniał go Jan. – Poprawnie powinno ono brzmieć: do czego był potrzebny cieśli?

– A ty, panie, wiesz?

Jan, strząsając pył z habitu, uśmiechnął się. Zrobił to po raz pierwszy, odkąd znaleźli się na cmentarzu. Jego zęby błysnęły w mroku.

– Ach, chyba już pojąłem! – wykrzyknął. – Mamy to przed samym nosem: Jezus był synem cieśli i sam we wczesnej młodości pracował jako cieśla, urodził się zaś w jaskini, do której drogę wskazywała gwiazda!

– Mów jaśniej, panie.

– To proste: ci, którzy uważają się za spadkobierców jego wiedzy, ci nowi cieśle używają astrolabium do znakowania „jaskiń”, na których miejscu powstaną świątynie. Nie rozumiesz? Pierre de Blanchefort przybył do Chartres, by zbadać kryptę opactwa. Jaskinię! I posłużył się astrolabium, by kierując się gwiazdami, dotrzeć aż tutaj.

– Nie rozumiem – wyjąkał giermek.

– Wkrótce zrozumiesz – uciał jego pan. – Musimy opowiedzieć o tym opatowi. Im wcześniej, tym lepiej.

Z astrolabium w rękę, Jan de Avallon po raz ostatni rzucił okiem na ludzkie szczątki u swoich stóp. Przy zmarłym nie było żadnych innych przyborów. To dziwne. Ani sznurka, ani cyrkla, ani piły czy dłuta, żadnych narzędzi budowniczego. Odnosiło się wrażenie, że miejsce pochówku było tymczasowe, jak gdyby grabarze naprędce zasypali go ziemią, by przenieść szczątki gdzie indziej, gdy tylko stanie się to możliwe. Czy to inni cieśle się tym zajmą? A skoro tak, czy nie należy poczekać na ich powrót i zapytać, cóż to za wróg mógł sobie życzyć śmierci jednego z ich braci?

Poruszony bezwzględnością kostuchy i szybkością, z jaką ciało zamienia się w proch, Jan przeżegnał się, zanim ściągnął kaptur z twarzy zmarłego. Chciał zobaczyć człowieka, który stawiał sobie za cel przebudowę katedry w Chartres za pomocą tego szczególnego narzędzia.

– Boże święty! – wykrzyknął przestraszony Filip, odskakując do tyłu. – Popatrz, panie! Brakuje mu...

Rycerz przeżegnał się jeszcze raz. Tak się cieszył, że odkrył elementy

tajemniczej układanki, o której opowie Bernardowi. Nie wyobrażał sobie, że zobaczy coś takiego.

– Tak – wymamrotał. – Nie ma głowy. – I dokończył: – Ten człowiek nie umarł od gorączki. Został stracony.

HIRAM

Biskup Bertrand, stukając obcasami i nerwowo wymachując rękami, przechadzał się po komnacie, jakby w ten sposób mógł rozgonić ciemne chmury, zbierające się nad jego katedrą.

– Głowę mogli mu obciąć nawet po śmierci, nieprawdaż, bracie? – zwrócił się w końcu do Bernarda.

Surowa twarz Bernarda nawet nie drgnęła. Milczał.

Kiedy opat Clairvaux prosił biskupa o audiencję, jedyne, czego sobie życzył, to wyjaśnienie, czy to okaleczenie miało coś wspólnego z jego widzeniami w krypcie i z niewiarygodną historią o uprowadzeniu przez anioła. Jeśli tak było (a tego się właśnie obawiał), odkrycie Jana de Avallon mogło być tylko kolejnym „znakiem”, który zapowiadał, że zbliża się czas i że powinien się pośpieszyć ze sprowadzeniem „klucza” do Chartres.

– Wybacz mi, bracie Bernardzie – ciągnął Bertrand – ale choćby nawet ten, który odkrył okaleczone ciało Blancheforta, był waszym rycerzem, nas ta sprawa nie dotyczy. – I kaszląc sucho, jak gdyby za chwilę miał wydać ostatnie tchnienie, dodał: – W dodatku, dopóki nie znajdziemy głowy, nie będzie można nikogo oskarżyć o profanację.

– Przypominam ci, że to ty sam, Ekscelencjo, poprosiłeś mnie o pomoc, gdy tylko tu zawitałem – odpowiedział Bernard bez wahania.

– W rzeczy samej. Nie chodziło mi jednak o zaginioną głowę, tylko o pomoc w wyjaśnieniu powodów śmierci naszego majstra.

– Wydaje mi się, że obie te rzeczy są ściśle ze sobą powiązane – stwierdził Bernard. – Nie chcę, by zabrzmiało to niedorzecznie, ale fakt, iż jakieś rzezimieszki obcinają głowę człowiekowi, który zabiera się do

budowania nowej świątyni, nie wygląda na zbieg okoliczności.

– Co przez to rozumiesz?

– Pamiętasz, Eminencjo, co opowiadałem w krypcie o projektach świątyni doskonałej i jak zostały one potraktowane w czasach biblijnych?

Biskup skinął głową.

– Otóż plany architektoniczne, jakie patriarcha Henoch otrzymał od anioła Prawuila, i które wyrzył na tablicach, trafiły w czasach Salomona do rąk cudzoziemskiego architekta (dokładnie rzecz ujmując, wywodził się on z Tyru), zwanego Hiram. Tenże Hiram przestudiował plany, które zawierały boskie rozkazy, i kiedy ktoś chciał mu je ukraść, został zamordowany. Wiesz jak? Stracił głowę.

– Ale Pierre de Blanchefort nie...

– Nie wiem, czy jesteś świadom, że wasz architekt należał do grupy wtajemniczonych, którzy od jakiegoś już czasu budują świątynie w całej Francji. Pierre, podobnie jak jego towarzysze, posiadał pewną wyższą wiedzę, którą usiłował zastosować w tym właśnie miejscu, kierując się Bóg jeden wie jakimi przesłankami. Ktoś zaś, świadom jego zamiarów, postanowił mu przeszkodzić. Pytanie brzmi: kto?

Bernard zrobił kilka kroków w stronę stołu, wyciągając z fałd białego habitu płaski zielonkawy kamień, z wyrytymi na każdej stronie znakami geometrycznymi. Położył go na stole, a biskup bez słowa wziął kamień i ustawił go pod światło, wpatrując się w wyryte znaki, których nie rozumiał. Skierował pytające spojrzenie na opata.

– Tak jest, Ekscelencjo – odrzekł Bernard, nie kryjąc zadowolenia. – To, co trzymasz w ręku, stanowi część planów Fenicjanina Hiram. To jedna z ksiąg przekopiowanych przez Henocha podczas jego pobytu w niebie, z którą Pierre de Blanchefort zapoznał się, zanim do was przybył.

– A ty, skąd... – wymamrotał biskup.

– Skąd to mam? – dokończył za niego Bernard. – To proste, bracie. Ocaliliśmy tę tajemnicę z Ziemi Świętej. Czyżbyś nie wiedział, że w czasie jednej z wypraw krzyżowych odbyła się inna krucjata, której cel był jeszcze szczytniejszy niż odebranie niewiernym Świętego Grobu? Powinniśmy uratować ten fragment boskich nauk, które Bóg objawił Henochowi, a których niewierni strzegli zazdrośnie od dawnych czasów, choć wiedza ta do nich nie należała. Na długo przed narodzinami Mahometa, a nawet naszego Pana, Jezusa Chrystusa, egipcyscy bogowie pokazali te same tablice

nielicznym wybrańcom ze swojego ludu.

– Egipcscy bogowie? – zdumiał się biskup.

– Tak. Na ich ziemiach inny architekt, Imhotep, którego w Aleksandrii czcili jak boga aż do przybycia pierwszych chrześcijan, otrzymał te zielone tabliczki zawierające wiedzę niezbędną do wznoszenia piramid. Z upływem czasu legenda uczyni z tych tablic Tablicę Szmaragdową Hermesa, który z kolei był nikiem innym jak egipskim bogiem Totem, zwanym po trzykroć wielkim, by odróżnić go od Hermesa greckiego.

– Ależ to bałwochwalstwo, opacie, pogańskie wierzenia...

Biskup Bertrand z niedowierzaniem kręcił głową, gdyż nie potrafił pojąć tego wywodu tak sprzecznego z tym, czego uczył się i w co wierzył przez całe życie.

– A Blanchefort? Skąd on mógł...

– Pierre de Blanchefort – odparł Bernard – został dopuszczony do tej tajemnicy i był jednym z ostatnich czytelników tablic. Przybył tu, przeszedłszy wtajemniczenie w Vezelay, w naszej szkole kopistów, gdzie zdobył niezbędną wiedzę, by złożyć wam propozycję przebudowy świątyni według boskiego planu mistrzowskiego. Odrzuciwszy ją, bez wątpienia wzbudziliście pożądlivość jakiegoś wroga, który postanowił położyć kres jego żywotowi, dowiedziawszy się, że Kościół nie będzie strzec jego planu. Wyobrażasz sobie, ojcze, jak wielkie znaczenie ma dla mnie wiadomość o jego śmierci?

– A dlaczego wcześniej nie powiedziałeś mi, opacie, że znałeś mistrza Pierre'a?

– A do czego potrzebna ci ta wiedza? Ani moi mnisi, ani kawaler, który mi towarzyszy, o niczym nie mają pojęcia. Jeśli teraz dzielę się z tobą mym sekretem, to dlatego, że chcę, abyś uświadomił sobie, że bez zwłoki musimy przystąpić do przebudowy kościoła i położyć kres zapędom wroga, który nas osacza. Być może żaden z nas nie doczeka dnia rozpoczęcia robót, ale musimy zaplanować ich przebieg. A ten wróg, który sprawił, że de Blanchefort na wiele dni zniknął z krypty? Co o nim wiemy? Jeśli moje obawy są słuszne, Eminencjo, wróg ten nie jest z krwi i kości, ani nawet z tego świata. To zaś jest jego sposób, by powiedzieć nam, że nie życzy sobie, byśmy budowali na ziemi, nad którą on panuje.

– Czy możemy coś zrobić?

W wylupiastych rybach oczach biskupa widać było strach.

Wiedział, że kiedy mówi się o wrogu, który nie jest z tego świata, to może chodzić tylko o najgorszego z przeciwników: ucieleśnienie złego.

Brat Bernard, opanowany i łagodny, wiedział, co należy teraz zrobić: musi rozkazać, by boskie plany Henocha jak najszybciej znalazły się w Chartres, aby wprowadzić w życie jego zamysły. Plany te zaś, Bóg dobrze o tym wie, muszą dotrzeć do tego miejsca, nie wzbudziwszy podejrzeń jego potężnego przeciwnika.

Odkąd wyruszyli z Egiptu, tamten nie zdołał ani ich osiąść, ani zniszczyć, Bernard wiedział jednak, że ze wszystkich sił będzie starał się to uczynić.

ROGELIO

Klasztor Świętej Katarzyny (Egipt), czasy współczesne. Okienko „masz nową wiadomość” zamigotało na fosforyzującym monitorze brata Rogelia koło siódmej wieczorem. Odkąd ekipa techniczna IBM-u odbyła specjalną wyprawę do tego ustronia, gdzie według legendy ukazał się Mojżeszowi płonący krzak, i wspięła się objuczona komputerami po trzech tysiącach stopni wykutych w skale, prowadzących do Domu Bożego, najstarszy czynny klasztor świata stał się zarazem jednym z najlepiej poinformowanych na całej kuli ziemskiej.

Sprawcą tego cudu był Rogelio, młodzieniec o ciemnej cerze, brodzie przyciętej w szpic i haczykowatym nosie. W styczniu 1999 roku udało mu się zostać członkiem tej wspólnoty, a wraz z nim wstąpiło do niej jeszcze czterech „cyberbraciszków”. Niedługo potem uzyskał od Hiera Epistasia [Hiera Epistasia (gr.) – Komitet Wykonawczy (przyp. wyd. Pol.) swego rodzaju prawosławnego odpowiednika Watykanu, niezbędne fundusze na zakup komputerów. Teraz stały one wszędzie: w refektarzu, w kuchni i, ma się rozumieć, w przepięknej klasztornej bibliotece.

Chociaż obsługiwanie nadchodzącej poczty nie należało do jego obowiązków, Rogelio jednym kliknięciem myszy otworzył skrzynkę, by upewnić się, że nowa wiadomość przeznaczona jest dla jednego z czterdziestu mieszkających tu zakonników. Była to już dwudziesta wiadomość tego popołudnia, tak też, nie wczytując się w jej treść ani nawet nie zważając na nadawcę, najechał kursorem na ikonę drukarki, kliknął i czekał na efekt.

Urządzenie wydało znajomy pomruk.

Rogelio wziął dziewięć kartek, które wysunęły się z drukarki, wyrównał je na blacie biurka i najkrótszą drogą pomaszerował do zakrystii. Adresat wart był tego spaceru. O tej porze biskup Teodor powinien być w kościele Przemienienia, miejscowym katolikosie [Katolikon – główna cerkiew (przyp. wyd. pol).] gdzie kończy odprawiać ostatnią tego dnia mszę.

Młody zakonnik się nie pomylił. Biskup zbierał właśnie mszalne utensylia i układał je starannie w zakrystii po drugiej stronie fresków przedstawiających sceny z życia świętego Cypriana. Jak zwykle miał spokojną łagodną twarz, jak gdyby żył w świecie, w którym wszystko układa się dobrze i nic nie wymyka się mądrej boskiej władzy.

– Piękny mieliśmy dzień, prawda, bracie Rogelio?

Przyjazny uśmiech biskupa, ledwie widoczny przez gęstą białą brodę, przywitał zakonnika, który poczuł mdlący zapach sandałowego kadzidła.

– Byłeś na mszy?

Rogelio pokręcił głową.

– No proszę, już cię zmęczyła reguła naszego zgromadzenia? – Rogelio lubił bezpośredniość biskupa Teodora. Nawet kiedy karmił, robił to łagodnie i zartobliwie. Uwielbiał kpić sobie z nowicjuszy tak samo, jak z najbardziej zaprzyjaźnionych zakonników. Rogelio zaliczał się już do tych drugich.

– Wiem, wiem, u nas życie toczy się wolniejszym rytmem niż w Salonikach czy Paryżu, ale w końcu się przyzwyczaisz. Możliwe nawet, że odkryjesz, iż komputery to nie wszystko, nawet w dzisiejszych czasach. Z drugiej strony miałeś wielkie szczęście, że zanim się tu zamknąłeś, zdążyłeś zobaczyć taki kawał świata!

– Jestem tu dopiero od roku, ojcze. To za krótko, by narzekać.

– Pewnie, pewnie – uśmiechnął się biskup. – Pozwól, że zdejmę szaty liturgiczne, zanim się tobą zajmę.

Ornat wyszywany szlachetnymi kamieniami, w którym odprawiał mszę – dzieło o nieoszacowanej wartości pochodzące z XIV wieku – zawisał na oparciu rustykalnego fotela, który bardziej nawet niż komputery nie pasował do wnętrza ozdobionego kapiącymi od złota ikonami.

– Domyślam się, że przychodzisz do mnie z jakąś ważną sprawą.

Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie.

– Tak. Przed chwilą nadeszła ta wiadomość. Zaadresowana jest do ojca – odparł Rogelio, wyciągając w stronę biskupa plik kartek. – Po francusku. Jeśli wielebny ojciec sobie życzy, mogę...

– Ach, nie trzeba, sam przeczytam. Nauczyłem się francuskiego, tłumacząc listy z krucjat, przechowywane w naszych archiwach. Może to nieco przestarzała francuszczyzna, ale na pewno wystarczy, by zorientować się...

Rogelio oblał się rumieńcem.

Nie miał zamiaru kwestionować umiejętności językowych biskupa. Wręcz przeciwnie, imponowało mu, że Teodor, korpulentny sześćdziesięciolatek, ubrany w skromny habit, prawie cały czas spędzający w klasztornych murach, ma na wszystko tak nowoczesne poglądy. Góra z klasztorem Świętej Katarzyny była dla człowieka jego pokroju czymś w rodzaju axis mundi wiedzy, i naturalnie doskonałą szkołą obcych języków. Koptyjski, hebrajski, klasyczna greka, łacina, aramejski, turecki, arabski... Mnisi w tym klasztorze, tak samo jak dziesięć wieków temu, badali wszelkiego rodzaju manuskrypty i starodruki. Być może dlatego biskup każdy skrawek papieru, choćby nawet wypluty przez drukarkę, traktował z taką samą delikatnością i namaszczeniem jak stare rękopisy, jak gdyby był jedynym zachowanym egzemplarzem ważnego dzieła.

Ten e-mail nie stanowił pod tym względem wyjątku. Teodor wziął kartki w dwa palce i zaczął czytać, nie zwracając uwagi na brata Rogelia. Wystarczyło, by przeczytał pierwszą linijkę i spokój na jego twarzy ustąpił miejsca strapieniu.

– Ale, ale, co to znaczy? – mruknął i czytał dalej. – Czy to wiadomość z ostatniej chwili? – upewnił się.

– Nadeszła przed paroma minutami.

– Czy nie dostała się w niepowołane ręce?

– Tylko moje, wielebny ojcze.

Z racji należnego szacunku, Rogelio czekał, udając brak zainteresowania, aż biskup skończy lekturę. Jego niewinny wygląd kazałby sądzić, że medytuje przed krucyfiksem z brązu ustawionym pośrodku wielkiego stołu królującego w zakrystii. Biskup zaczął spacerować dookoła stołu, jeszcze raz i jeszcze jedno okrążenie, jakby orbitował wokół młodego zakonnika.

– Dobrze więc. – Teodor skierował oczy w kolorze Morza Egejskiego na Rogelia, świdrując go wzrokiem, jakby chciał wydobyć z niego jakieś zeznanie. – Nie wiesz, o co chodzi w tym liście?

– Nie, Wasza Eminencjo.

- A nie korci cię, by się dowiedzieć?
- Pewnie...
- Wierzysz w przepowiednie? Czy wierzysz, że istnieją osoby, które w określonych okolicznościach doznają oświecania i potrafią przepowiadać przyszłość?

Młody mnich pomyślał, że biskup zadaje dziwne pytania.

– Owszem, Eminencjo. Nasza Biblia wiele o nich mówi.

– Oraz o znakach poprzedzających Sąd Ostateczny...

– Tak jest.

– Otóż, bracie, to jeden z nich.

Teodor potrząsał groźnie kartkami. Brat Rogelio, pod wrażeniem pewności, z jaką przemawiał patriarcha, przełknął ślinę, zanim zadał pytanie:

– Czy można wiedzieć, o co chodzi, Eminencjo?

– Jeszcze nie, wpierw musisz mi tu przyprowadzić brata Bazylego. Chcę, by i on usłyszał to, co mam do powiedzenia.

Zakonnik pochylił głowę na znak posłuszeństwa i zniknął, biegnąc w stronę skrzydła budynku, w którym przechowywane były starodruki i manuskrypty.

Bazyli, najstarszy z zakonników, z nieco pochyłą sylwetką, bez jednego włosa na głowie, od ponad pięciu dekad stanowił najwyższą władzę w bibliotece. To jemu zawdzięczali ostatnią inwentaryzację tomów w 1989 roku, podobnie jak decyzję o całkowitym zakazie wstępu turystów i ciekawskich do czytelni oraz obowiązek czuwania nad zachowaniem w jak najlepszym stanie najcenniejszego zbioru manuskryptów na świecie, jeśli nie liczyć zasobów watykańskich.

Żył zamknięty wśród sięgających sufitu półek z książkami, dokładnie po przeciwnej stronie klasztornego budynku. Prawie nigdy nie wychodził, a jeśli już, to tylko po to, by odprawić najważniejsze nabożeństwa, jego dobrowolna izolacja zaś przysporzyła mu zasłużonej sławy niepokornego, acz oświeconego ascety. Rogelio bez trudu odnalazł go w skryptorium i po paru minutach obaj zmierzali przed oblicze biskupa.

– To sprawa kluczowej wagi – zapewnił Rogelio.

II JAN Z JEROZOLIMY

O tej porze niebo nad Synajem zasnuwała czerwień zmierzchu, niewidoczny z miasta horyzont zaś przestawał drżeć od duszącego upału popołudnia. Kiedy dotarli do katolikonu, Teodor czekał na nich zniecierpliwiony.

– Pamiętasz manuskrypt Jana z Jerozolimy [Nie należy mylić wymienionego tu Jana z Jerozolimy z królem francuskim o tym samym imieniu, który w 1210 r. ogłosił się suwerenem Ziemi Świętej aż do 1225 r. Kiedy przyszedł król urodził się w 1148 r., Jan, którego ta historia dotyczy, już nie żył. To ważny szczegół, gdyż prawie wszystkie teksty historyczne, w których mowa o Janie z Jerozolimy, traktują o monarsze, nie zaś o templariuszu nas interesującym (przyp. aut.)] bracie Bazyli?

Słyszając to pytanie, zadane bez wstępów i powitań, bibliotekarz pobleadł. Najwyższa władza najmniejszej diecezji na świecie przemawiała do staruszka bardzo poważnym tonem.

– Bez wątpienia chodzi o autora Protokołu – wybąkał.

– W rzeczy samej – przytaknął patriarcha. – Tajemnego protokołu przepowiedni. O kogóż by innego?

– Nikt już dziś o nim nie pamięta, wielebny ojcze.

– Cóż, ja pamiętam. Mam dobre powody, by wierzyć, że duch Jana z Jerozolimy lada chwila do nas powróci.

– Powróci?

Rogelio nic nie rozumiał z tej wymiany zdań.

– Niewiele wiem o tym manuskrypcie – ciągnął biskup. – W bibliotece przechowujemy z najwyższą troską jedną z sześciu istniejących kopii. Jeśli

wierzyć tradycji, dzieło zostało napisane przez Jana z Jerozolimy własnoręcznie, ten zaś był jednym z ośmiu założycieli zakonu templariuszy. Wielu z nas wierzy do tej pory, co pewnie nie jest dla brata tajemnicą, że ktoś z jego otoczenia ukradł go przed jego śmiercią i ukrył w tym klasztorze około tysiąc sto dwudziestego roku.

– Przeczytaliście go?

– Zawiera przerażające i szczegółowe wizje losów świata do dwutysięcznego roku, a nawet później. Na naszej kopii umieszczono zastrzeżenie: aż po dzień „znaku”, nikt dokładnie nie zrozumie całego znaczenia dzieła.

– Dużo wiesz, Eminencjo – stwierdził Bazyli. – Wszystko się zgadza.

– Ale gnębi mnie, że wątpię niczym apostoł Tomasz, bracie. Wiemy chociaż, o jakim znaku mówi?

– Niezupełnie.

– Ani kiedy się ukáže?

– Tego też nie wiemy.

Pytania biskupa nie zaskoczyły bibliotekarza, który zamiast udzielić jednoznacznej odpowiedzi, przystąpił do wyjaśnień:

– Jan z Jerozolimy, mój kochany Teodorze, ukrył klucz do odszyfrowania tajemnicy w rozdziale trzecim swojej przepowiedni, chociaż wątpię, by było to coś, co da się odczytać tak od razu.

– Tak... – Teodor skubał nerwowo brodę. – a pamięta ojciec, o czym traktuje ten rozdział?

Bazyli wahał się przez chwilę, po czym zamknął oczy. Następnie, nie pozwalając, by biskup lub młody zakonnik mu przerwali, złączył ręce pod brodą i wyszeptał kilka strof po francusku z wyraźnym koptyjskim akcentem.

Teodor i Rogelio popatrzyli na siebie, zadziwieni doskonałą pamięcią leciwego bibliotekarza.

Lorsque ce sera le plein de l'An, Mille qui vient apres l'An Mille
L'Homme saura quel est L'esprit de toute chose. La pierre ou l'eau, le corps
de L'animal ou le regard de L'autre. Il aura perce les secrets que les Dieux
anciens possedaient Et U poussera porte apres porte Dans le labyrinthe de la
vie nouvelle [Kiedy nadejdzie w pełni rok / tysięczny, który następuje po
tysięcznym / człowiek pozna ducha wszystkich rzeczy. / Kamienia lub
wody/ciała zwierzęcia lub spojrzenia drugiego człowieka. / Pozna sekrety,

jakie znali dawni bogowie. / I będzie otwierał jedne drzwi po drugich / w labiryncie nowego życia (przyp. wyd. pol).]

Kiedy brat Bazyli skończył recytować, zapadła cisza.

– Więcej nie pamiętam, wielbny ojcie. Żałuję – powiedział w końcu, klękając przed biskupem.

– Nie szkodzi, bracie, podnieś się, proszę. Zresztą ja też o tym myślałem.

– O czym? Co to znaczy? – Rogelio, na widok poważnych min obu starców, nie mógł dłużej udawać, że go nie ma.

– Ach, mój drogi Rogelio! Zapomniałem o tobie. Wezwałem was obu, bo wydaje mi się, że znak zawiera się w liście, który mi przyniosłeś – tłumaczył pospiesznie biskup. – To znak na nasze czasy, który tylko ty, spośród wszystkich mnichów w naszej wspólnotcie, potrafisz ocenić.

– Nie rozumiem...

– Wczoraj satelita dysponujący specjalnym oprogramowaniem kartograficznym wykrył niezidentyfikowane emisje, które przypominają emisje mikrofal o wysokiej rozdzielczości, wypuszczone w przestrzeń kosmiczną z różnych punktów we Francji – przeczytał.

– Nadal nie rozumiem, co...

– Wszystko wskazuje na to – ciągnął Teodor – że miejsca te dokładnie odpowiadają ważnym katedrom i katolickim ośrodkom religijnym zbudowanym w dwunastym wieku, w czasach Jana z Jerozolimy. Najdziwniejsze jest to, że satelicie nie udało się zarejestrować formy tychże budowli, a jedynie silne obszary emisji fal dookoła nich.

– Teodorze! – wykrzyknął Bazyli, wznosząc ręce do nieba. – Bramy się otwierają! Człowiek będzie otwierał jedne drzwi za drugimi. Nie rozumiecie?

Rogelio patrzył na nich zdezorientowany.

– Na to wygląda – mruknął biskup, nie spuszczając wzroku z młodego mnicha, który tarł oczy, jakby mogło mu to pomóc lepiej wszystko zrozumieć. – Niewiele wiemy, tylko tyle, że rycerz Jan został dopuszczony do jakiejś osobliwej tajemnicy, o której słyszymy od wieków w naszym klasztorze.

– Cóż to za tajemnica?

– Wygląda na to, że Jan i pozostałych ośmiu rycerzy, założycieli zakonu ubogich rycerzy Chrystusa, który dał początek zakonowi templariuszy,

dowiedzieli się o istnieniu na ziemi pewnych miejsc, mających niezwykłą właściwość. Można dostać się przez nie do Królestwa Niebieskiego, po czym, posiadłszy nieskończoną wiedzę, powrócić na ziemię. Jednym słowem, miejsca te kryją bramy do nieba.

Biskup zamilkł na chwilę, po czym podjął:

– Celem tych rycerzy stało się zdobycie i otoczenie opieką owych miejsc i zamknięcie bram, by ktoś niepowołany nie wszedł przez nie i nie posiadał wiedzy dla niego nieprzeznaczonej.

– Wymyślano przeróżne legendy, by ich chronić – wtrącił Bazyli.

– Tak – potwierdził Teodor. – Przecież zjedzenie jabłka zrobiło z ludzi śmiertelników. Owe bramy, nowa wersja przeklętego rajskiego jabłka, mogły znaleźć się na ziemi tylko za sprawą Lucyfera, trzeba je więc było zamknąć i ich strzec.

– Tak, jak robili to jezydzi.

– Jezydzi? – Rogelio wytrzeszczył oczy. – Żałuję, ale ja nie...

Teodor uśmiechnął się, jakby rozczuliła go niewiedza młodego mnicha.

– Jezydzi to odłam islamu, który uformował się pod skrzydłami pewnego kalifa, Jezyda, w jedenastym wieku – wyjaśnił. – Dzisiaj żyją zepchnięci na margines w strefie kurdyjskiej w północnym Iraku i wyznają religię, w której większą moc ma książę zła niż dobra. Jeśli mielibyśmy wierzyć ich tradycji, oni również znali tajemnicę podobną do tej, której strzegli templariusze mniej więcej w tym samym czasie.

– W takim razie oni również wiedzą o istnieniu bram – stwierdził Rogelio.

– Tak, ale innych. – Bazyli wziął go za rękę. – Dla jezydów ważne są miejsca ustanowione przez Lucyfera, z których może on sprawować władzę nad ludźmi. Znaczą je siedem wież rozsianych po całym świecie, które swoim rozmieszczeniem naśladują rozmieszczenie gwiazd w konstelacji Wielkiej Niedźwiedzicy [Zgodnie z legendą, zamieszczoną przez francuskiego historyka Michela Lamy'ego w książce *Les Templiers, ces grands seigneurs au blancs manteaux* (Templariusze, wielcy mężowie w białych płaszczach), wieże te miały znajdować się na obecnym terytorium Iraku, Syberii, Syrii, Sudanu, Turkiestanu i na Uralu (przyp. aut.).]

– To brzmi jak lustrzane odbicie stworzenia. To, co na górze, jest boskie, jego odwrócone odbicie, na dole, odpowiada złemu.

– Czy to odnosi się również do francuskich katedr?

– Naturalnie, bracie. – Ton bibliotekarza stał się bardziej autorytatywny.
– Sekrety pradawnych bogów, o których wspomina Jan, nawiązują do tej wiedzy. W każdym zakątku świata wzniesiono bramy, których położenie naśladuje konstelacje na nieboskłonie. Nikt jednak nie pamięta o ich przeznaczeniu, z wyjątkiem kilku osób, które zadbały o to, by ta wiedza przetrwała. We Francji króluje konstelacja Panny i taki właśnie układ katedr pod wezwaniem Panny Marii naśladuje rozmieszczenie gwiazd w tej konstelacji.

– Wiadomość zawiera coś jeszcze – wtrącił Teodor.

Pochylił się lekko nad srebrną kadzielnicą zawieszoną tuż przy drzwiach do zakrystii. Napełniwszy ją ziołami, bez słowa obrócił się na pięcie i przybrał srogą minę, której nie łagodziła nawet długa broda.

– Jeden z inżynierów Państwowego Centrum Badań Kosmicznych we Francji zaprojektował satelitę, który wykrył usytuowanie tych „bram” – oznajmił. – Otóż ten świątły człowiek nauki zdaje się być blisko prawdy. Nie wiem, czy uświadamiacie sobie powagę tego, co przed chwilą usłyszeliście: wyjawienie światu tej tajemnicy właśnie w tej chwili oznacza uczynienie z naszych bram celu badań naukowych. To tak, jakby Lucyfer położył przed nami rajske jabłko, by skusić nas do grzechu.

– Co możemy zrobić?

– Właśnie dlatego jesteś mi potrzebny, bracie Rogelio. Jutro wyruszysz do Lyonu, by obserwować poczynania owego inżyniera. Według tego raportu – biskup jeszcze raz potrząsnął wydrukiem – wybiera się on do Vezelay, by samodzielnie przystąpić do poszukiwań i wyjaśnienia tajemnicy.

Teodor otworzył szeroko oczy, jakby do tej chwili umykał mu jakiś istotny szczegół.

– Przecież to oczywiste, Vezelay! – wykrzyknął.

– Eminencjo, co kryje się w tym miejscu?

– Tam urodził się Jan z Jerozolimy.

LETYCJA

Dreszcz przebiegł po plecach Michela, kiedy wybierał dziesięć cyfr numeru telefonu komórkowego Letycji. Nigdy wcześniej nie dzwonił na ten numer, ale wbrew wszelkiej logice znał go na pamięć. Kiedy aparat pikał, szukając połączenia, Michela ogarnął dziwny niepokój. Choć już dawno odeszła z jego życia, ta kobieta o głębokich niebieskich oczach nadal wywoływała w nim sprzeczne uczucia. Na samo jej wspomnienie przechodziły go dreszcze.

– Słucham? Kto mówi?

Na dźwięk jej łagodnego głosu inżynier podskoczył.

– Letycjo... to ja, Michel... – zawahał się.

– Michel?

– Michel Temoin.

– Michel! – wykrzyknęła w końcu. – Przepraszam, nie tyle nie rozpoznałam twojego głosu, co po prostu nie spodziewałam się, że zadzwonisz. Ile to czasu minęło, odkąd miałam od ciebie jakieś wieści!

– Przepraszam, że dzwonię na ten numer...

– Czy coś się stało?

– Cóż... Pomyślałem, że skoro niedługo będę przejeżdżał przez Orlean, może Znajdziemy chwilę, by napić się kawy i porozmawiać. Chciałbym opowiedzieć ci o paru rzeczach, być może mogłabyś mi w czymś pomóc.

– Chodzi o pracę?

– Coś w tym stylu.

– Rozumiem – westchnęła. – Ty się nigdy nie zmienisz, prawda?

Letycja wyprowadziła się z Tuluzy niedługo po tym, jak poznała

swojego nowego narzeczonego. Zamieszkała z nim w rodzinnym mieście Joanny D'Arc, na drugim końcu kraju. Winą za zerwanie zawsze obarczała obsesyjne podejście Michela do pracy, przez którą spychał wszystkie sprawy osobiste i rodzinne na drugi plan.

Jak się miało okazać, jej drastyczna decyzja, by wyprowadzić się tak daleko, wyszła na dobre obojgu, a zwłaszcza Michelowi, który nie zniósłby, gdyby przypadkiem spotkał na ulicy miłość swojego życia obściskującą się z innym mężczyzną w parku nad rzeką Ariege.

– Dobrze... o co chodzi?

– Pewnie zabrzmiałoby to dziwnie, ale muszę zwiedzić kilka gotyckich katedr, by uzupełnić sprawozdanie dla CNES. Ciekaw jestem, czy mógłbym skonsultować z tobą pewne szczegóły architektoniczne. Jesteś historykiem, sama wiesz, że na tym polu jestem bezradny. Potrzebny mi ktoś zaufany i ty, naturalnie, byłaś pierwszą osobą, która przyszła mi do głowy.

– Ty piszesz sprawozdanie o katedrach? – Letycja zaśmiała się swoim zaraźliwym perlistym śmiechem. – Przepraszam, brzmi to dość dziwnie. Oczywiście, że ci pomogę. Nie mogę przepuścić takiej okazji. Dokąd wybierasz się najpierw?

– Do Vezelay. Dzwonię do ciebie ze stacji benzynowej, przy drodze krajowej dziewięćset pięćdziesiąt jeden. Spodziewam się dotrzeć na miejsce za około pół godziny.

– Vezelay! Dobrze znam to miasteczko. Marcel ma nieopodal, w Tharot, małą działkę z domkiem. Należała do jego rodziców, dość często spędzamy w tej okolicy weekendy. To piękne miejsce. Spodoba ci się. Tyle tylko, że... – zastanowiła się – tam nie ma żadnej katedry.

Michel poczuł skurcz żołądka na dźwięk imienia Marcel i mocno zacisnął zęby. Najwyraźniej Letycja nadal mieszka z tym elektrykiem z bożej łaski.

– Wiem, że w Vezelay nie ma katedry, ale to miejsce również wchodzi w zakres moich badań. Zresztą, za długo musiałbym tłumaczyć.

– Rozumiem.

– Skoro znasz to miejsce tak dobrze, nie wiesz przypadkiem, do kogo powinienem się udać, by uzyskać odpowiedź na parę pytań na temat kościoła Świętej Magdaleny?

– Świętej Magdaleny? Oczywiście! – Letycja wypowiedziała te słowa

tonem kogoś, kto posiadał całą wiedzę świata i zna na wszystko odpowiedź. – To perełka architektoniczna, wiesz o tym? Ma nieprawdopodobny chór w stylu wczesnego gotyku, zresztą cały ten kościół to interesująca mieszanka późnego stylu romańskiego i wczesnego gotyku, jak gdyby architekci ćwiczyli na nim to, co później miało stać się stylem wielkich katedr.

– Mówisz poważnie?

– Oczywiście. Poza tym święty Bernard zwołał możnych z całego regionu, by zorganizować drugą wyprawę krzyżową do Ziemi Świętej. Muszą o tym dużo wiedzieć zakonnicy z jerozolimskiego bractwa monastycznego, którzy obecnie opiekują się kościołem. Możesz zapytać o ojca Pierre'a, to prawdziwy mędrzec, mieszka w budynku parafii.

Michel zapisywał wszystkie wskazówki w kieszonkowym notesie. Tymczasem Letycja zmieniła temat:

– Jak długo zabawisz w Vezelay?

– Pewnie do środy. Zatrzymam się w hotelu La Palombiere, przy placu Champ du Foire.

– Znam ten hotel. Jeśli przypomnę sobie coś istotnego, zadzwonię do ciebie.

Michel ugryzł się w język. Nie mógł i nie powinien powiedzieć „dziękuję, kochanie”, ani pozwolić sobie na jakąkolwiek insynuację że może odbędą tę podróż wspólnie. Pożegnał się z Letycją w najbardziej obojętny sposób, na jaki mógł się zdobyć, i wsiadł do samochodu, by pokonać czterdzieści kilometrów dzielące go od celu podróży.

Ostatnie zakręty były najgorsze. Stroma kręta droga prowadząca na „wieczne wzgórze” – jak zwali je pielgrzymi, którzy traktowali średniowieczne miejsce jako początek pielgrzymki do Santiago de Compostela – była trudna do pokonania nawet dla suzuki. Kiedy w końcu samochód Michela dotarł do szczytu wzniesienia, zaraz za wjazdem do Vezelay, droga się rozdzieliła.

Hotel La Palombiere znajdował się na prawo. Był to dworek z XVIII wieku, tonący w gąszczu wiciokrzewów. W swojej naiwności Michel oczekiwał, że znajdzie w tym mieście średniowieczną cytadelę, podobną do Carcassonne, ale jedynym rzeczywiście starym elementem architektury była kamienna brama zwieńczona ostrołukiem, wkomponowana w wymagającą renowacji wieżę, która najprawdopodobniej wchodziła w skład starych murów obronnych, kiedy miasto nazywało się jeszcze Vercellacum.

Michel zaparkował samochód, wyjął z bagażnika walizkę i torbę z aparatem fotograficznym, i poinstruowany przez właścicielkę hotelu, jak obsługiwać elektroniczny zamek, który umożliwiał wejście do pokoju bezpośrednio z ulicy, bez potrzeby przechodzenia obok recepcji (wystarczyło wybrać kod: 1863 na elektronicznym panelu, podobnym jak te w CNES) – wyszedł z hotelu, by nie tracąc czasu, udać się do centrum miasta.

Upewnił się, że ma przy sobie powiększenie zdjęcia CAE 990111 z ERS-u, na którym widać było nieco zakrzywioną linię, mogącą odpowiadać jedynie głównej ulicy Vezelay. Złożył fotografię na pół. Nie trzeba było specjalnie lotnego umysłu, by domyślić się, że ta wyraźna kreska na obrazie to odzwierciedlenie szerokiej arterii, która brała początek pod stojącym przed nią kamiennym łukiem.

Aleja, pełna restauracyjek i sklepów z pamiątkami, była tak stroma, że Michel, idąc nią, nie mógł złapać tchu. W końcu jego oczom ukazała się kamienna fasada, nad którą dominowała olśniewająca, masywna, czteroboczna wieża, zakończona płaskim dachem. Bazylika stała pośrodku malowniczego placu, nad którym królował, przyciągając uwagę odwiedzających, późnoromański rzeźbiony tympanon. Światło słoneczne, ześlizgując się po przeciwnej krawędzi świątyni, jedne detale płaskorzeźb uwypuklało, inne zaś kryło w cieniu.

Budowla wywierała ogromne wrażenie.

Na parkingu zajmującym sporą część placu inżynier rozłożył fotografię z satelity. Nie chciał popełnić żadnego błędu. Dokonawszy pewnych podstawowych ustaleń, starając się wyobrazić sobie, jak wyglądają dachy domów widziane z ERS-u, usytuował białą plamę z ujęcia w odpowiedniej relacji do przylegających domów.

Szybko zdał sobie sprawę, że linie owego „zakłócenia” zbiegają dokładnie w kierunku wschód-zachód, naśladując usytuowanie samego kościoła. Nie było wątpliwości: anomalia pokrywała się dokładnie z parcelą, na której wznosiło się sanktuarium Świętej Magdaleny. I z niczym innym.

VEZELAY

– Przecież to spotkanie trwa już ponad dwie godziny! – mówiła wzburzona siostra Ines do zakonnicy, do której obowiązków należało zaprowiantowanie jerozolimskiego bractwa monastycznego. Ta z kolei, Rosjanka o rozłożystych biodrach i ramionach niczym kolumny Partenonu, od jakiegoś czasu stała pośrodku korytarza, z rękami opartymi na biodrach, prezentując światu najgroźniejszą ze swoich min.

– Niestety, teraz nie wolno tam wchodzić – warknęła. – Musi siostra wrócić do kuchni i podgrzać jedzenie dopiero na wyraźne żądanie ojca.

– Myślałam, że wszystkich obowiązuje ustalony porządek dnia – poskarżyła się Ines.

– Zgadza się i należy skrupulatnie go przestrzegać. Ale niech siostra zrozumie, że to wyjątkowe spotkanie. Dostałam polecenie, żeby pilnować, by nikt nie przeszkadzał opatowi. Pod żadnym pozorem. Dotyczy to również siostry.

Siostra Ines niechętnie ustąpiła. Wykonała półobrót z tacą zastawioną apetycznie pachnącymi potrawami i stanęła plecami do Rosjanki, gderając pod nosem.

– W takim razie proszę mnie zawiadomić, kiedy wreszcie nadejdzie czas. To nie na moje lata chodzić tak w kółko po próżnicy.

Siostra Brytfanka – bo tak nazywało całe zgromadzenie siostrę Ines – rada nierada musiała zejść po schodach do kuchni domu pielgrzyma przy sanktuarium Świętej Magdaleny. Kuchnia mieściła się przy bocznych drzwiach do budynku wspólnoty i z jej okien można było mieć baczenie na wszystko, co działo się na dziedzińcu bazyliki. Kiedy siostra Brytfanka

zaperzała się o coś, a zdarzało się to nierzadko, jedyne, co koło jej skołatane nerwy, to wyglądanie przez okno. Zabawiała się obserwowaniem kręcących się po dziedzińcu turystów, którzy licznie przybywali do tego miejsca.

Czy to z powodu gniewu, czy też wrodzonej skłonności do plotkowania, ledwie zdążyła odstawić tacę, a natychmiast dotarło do niej, że na zewnątrz dzieje się coś niezwykłego.

Pośrodku parkingu, obok furgonetki, która zaopatrywała księgarnię prowadzoną przez fundację dwie ulice niżej, zadbany mężczyzna w średnim wieku studiował w skupieniu zalaminowane zdjęcie.

Fotografia, przynajmniej z tej odległości, zdawała się (coś podobnego, w naszych czasach!) czarno-biała. Dżentelmen ten, o przyjemnym wyglądzie, musiał stać tam już dobrą chwilę, podnosząc wzrok na kościół lub opuszczając go na tę szczególną fotografię, podczas gdy ona marnowała czas na dyskusje z siostrą Pierestrojką.

Siostra Ines, zzerana ciekawością, wyciągnęła szyję ponad garnkami. Przybysz – bo na pewno mężczyzna był tu obcy, wskazywał na to krój płaszcza i wąsy, jakich nie noszą miejscowi – przyglądał się zdjęciu, po czym kierował wzrok na okapy okolicznych domów, jakby szukał w jednym i drugim jakichś prawidłowości. Po około minucie podnoszenia i opuszczania głowy włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej małą szarą lornetkę.

A to kto? I cóż on ogląda z takim zainteresowaniem?, zastanawiała się coraz bardziej zaintrygowana zakonnica. Skupiona na obserwacji już prawie zapomniała, że pogniewała się na Rosjankę. Miała wrażenie, że mężczyzna mówi sam do siebie. Zdołała nawet dosłyszeć kilka słów.

– Sąd Ostateczny – mamrotał. – Anioł z wagą... Potępienie grzeszników... Czterdzieści stopni szerokości wschodniej... Dziewięćset dziewięćdziesiąt dwa osiemset dziesięć... Granit... Radioaktywność...

Pierwsze słowa odnosiły się bez wątpienia do sylwetek na płaskorzeźbie, zdobiących środek tympanonu zwieńczającego wejście do narteksu [Narteks – przedsionek w bazylikach starochrześcijańskich, w średniowieczu przekształcony w kruchtę (przyp. wyd. pol.)] kościoła Świętej Magdaleny. Jest to element rzeźbiarski odrestaurowany na początku wieku przez wybitnego architekta Viollet-le-Duca, przedstawiający Sąd Ostateczny. Można na nim zobaczyć Jezusa z rozłożonymi rękami, w otoczeniu postaci: po prawicy, sprawiedliwi; po lewicy, skazani na

wieczną pokutę, których dusze wazą się na wadze trzymanej przez anioła o roztargnionym spojrzeniu. A pozostałe słowa i liczby? Do czego mogą się odnosić?

Siostra Ines nie dosłyszała dalszych słów nieznajomego, gdyż wysoka postać o barczystych ramionach zawisała jak cień za plecami tamtego. „Tylko tego tu brakowało”, wysyczała siostra Ines z niezadowoleniem. Pan Francois Bremen był dobrze znany w fundacji, gdyż miał w zwyczaju wygłaszać turystom wykłady na przeróżne tematy związane z historią miasta. Chociaż uwielbiał się przedstawiać jako „oficjalny kronikarz” Vezelay, tak naprawdę był emerytowanym nauczycielem, bardzo lubianym w okolicy. Przez wszystkich, tylko nie przez siostrę Brytfankę. Uważała go za nudziarza i męczyduszę.

Nie wychodząc ze swojego ukrycia, siostra Ines podsłuchiwała tylko część rozmowy, ale nie przejmowała się tym zanadto, gdyż była święcie przekonana, że skoro nadszedł Bremen, już wkrótce całe miasteczko dowie się, kim jest nieznajomy i co go tu sprowadza. Było oczywiste, że wszędobylski staruszek zagada do tej osobliwej postaci snującej się koło bazyliki... i gapiącej na dachy!

– Dzień dobry panu – odezwał się Bremen, na znak pozdrowienia uchylając czarnego beretu, z którym nigdy się nie rozstawał.

– Dzień dobry – odparł nieznajomy.

– Widzi pan, przyglądam się już dłuższą chwilę, jak studiuje pan to zdjęcie, i nie mogę się powstrzymać od pytania, czy i pan jest historykiem lub kimś w tym rodzaju? Proszę wybaczyć moją śmiałość, ale zauważyłem, że jest pan tak skupiony, i pomyślałem, iż prowadzi pan jakieś badania nad naszym kościołem. Nie myłę się, prawda?

Zanim Temoin zdążył odpowiedzieć, staruszek dokończył:

– Jestem profesorem, wie pan? Nazywam się Francois Bremen i jestem... przewodnikiem oraz konserwatorem tejże świątyni.

Siostra Ines fuknęła wśród garnków.

– Ach tak? – Michel wyciągnął rękę do staruszka. – Bardzo miło mi pana poznać. Nazywam się Michel Temoin. Żałuję, ale muszę pana rozczarować, nie jestem ani historykiem, ani nikim podobnym, tylko zwyczajnym inżynierem.

– Inżynierem? – Bremen wyglądał na zaskoczonego. – Pan po raz pierwszy w Vezelay?

– W rzeczy samej. Właśnie podziwiałem portyk tego kościoła. Jest bardzo okazały.

– ...i tajemniczy – dopowiedział Bremen.

– Tajemniczy? Cóż pan widzi tajemniczego w znanej scenie z Apokalipsy?

– Czy pan, który sprawia wrażenie człowieka nader inteligentnego, naprawdę nie dostrzega niczego niezwykłego w tym tympanonie?

– Nie... – zawahał się Temoin. – A powinienem?

– W gruncie rzeczy prawie nikt nie zwraca na to uwagi – westchnął Bremen. – A to wielka szkoda, proszę mi wierzyć. Oczywiście, żeby zdać sobie z tego sprawę, należy mieć encyklopedyczną wiedzę, odebrać wychowanie pozbawione uprzedzeń i posiadać dar obserwacji. Sam pan rozumie...

„Przewodnik i konserwator” Vezelay puścił oko do rozmówcy, czego ze swojej kuchennej ambony nie mogła zobaczyć siostra Ines, a następnie wziął Michela za nadgarstek i pociągnął parę kroków do przodu, jakby chciał mu pokazać jakiś ukryty detal w obiekcie jego badań. W tym momencie siostra Brytfanka straciła ich z oczu, więc bez zastanowienia wychyliła się przez okno.

– Panie Temoin, czy interesuje się pan kulturą egipską?

Temoin pokręcił głową, zanim wyznał:

– Historia nie jest moją najmocniejszą stroną, przykro mi.

– To wielka szkoda, bo gdyby porównał pan scenę z Sądu Ostatecznego w Vezelay z tym, o czym mówi nam egipska Księga Umarłych, sam by się pan przekonał, ile podobieństw istnieje między tymi przedstawieniami. To, co tu widzimy, stanowi część swego rodzaju kultu egipskiego, który przeżył zakamufLOWANY w łonie chrześcijańskiej doktryny i przetrwał nietknięty aż do dwunastego wieku. Czy nie wydaje się panu niezwykle, że tekst sprzed ponad czterech tysięcy lat, wywodzący się z kultury już dawno uznanej za martwą, stał się inspiracją do podobnego dzieła?

– Podobieństwa? Ależ, panie Francois... – Rozbawiony Michel popatrzył na staruszka. – A co mogą mieć wspólnego stare egipskie wierzenia z budowniczymi Vezelay? Kiedy zaczęto wznosić ten kościół, ostatni faraonowie już od ponad tysiąca lat spoczywali w sarkofagach.

Profesor energicznie poprawił beret na głowie, a następnie, ku zdziwieniu siostry Ines, wskazał na fasadę.

– Nie wiem, czy istnieje tu jakiś bezpośredni związek, pewne jest tylko to, że ten tympanon przedstawia scenę z egipskiej Księgi Umarłych. Niech pan tylko popatrzy, anioł, który trzyma wagę, jest niemal identyczny jak szakal ważący duszę faraona i porównujący jej wymiary do pióra Maat, bogini sprawiedliwości. Jest to zarazem odpowiednik Tota, boga mądrości, który decydował, czy śmiertelnik nabrał już dość mądrości i czystości duchowej, by pójść do nieba. Ten zaś detal, jeśli zechce pan się trudzić jego sprawdzeniem, znajdzie pan w jednym z fragmentów Księgi Umarłych. To jeden z najbardziej znanych. Gdyby się okazało, że pióro waży więcej niż dusza, oznaczałoby to, że nieboszczyk podróżował w zaświaty obciążony grzechami i musi być natychmiast ukarany. Wówczas posyła się go do gardzieli straszego potwora, demona w kobiecej postaci zwanego Ammitem, który pożre nieprzemijalnego ducha zmarłego i sprawi, że nigdy już się nie odrodzi.

– Brzmi to przerażająco, nie sądzi pan?

– Tak też jest – przytaknął Francois. – Wielebny Suger, opat St. Dennis, który dokończył budowę tych murów w tysiąc sto czterdziestym czwartym roku, był tego świadom i wzniósł tę świątynię jako swoistą „maszynę nieśmiertelności”. Podobnie jak Egipcjanie zdobili groby swoich bliskich przedstawieniami z Księgi Umarłych, by postacie te zaprowadziły ich w zaświaty, opat ów wzniósł tę świątynię, by służyła za przewodnika dla całej jego parafii w podróży, w jaką wcześniej czy później wszyscy będą musieli wyruszyć.

Michel z niedowierzaniem uniósł brwi.

– Nie wierzy pan w ani jedno moje słowo, prawda? – domyślił się Bremen.

– Wręcz przeciwnie – zaprzeczył Michel. – Jak to pan powiedział? Że miejsce to spełniało funkcje swoistej maszyny...

– Otóż to.

– Ale wszystkie maszyny muszą mieć jakiś mechanizm, składać się z pewnych części. Gdzie mieszczą się owe części?

– Proszę za mną do środka, wytłumaczę panu, jak to działa.

– Jak działa? Czyżby istniała instrukcja obsługi lub coś w tym rodzaju? – uśmiechnął się Temoin.

– Można tak powiedzieć. Budowniczowie tego kościoła zaplanowali go z wielką precyzją, troszcząc się o każdy szczegół. Ponadto, w pewne

konkretne dni, zachowuje się on w tak szczególny sposób, że czasem odnoszę wrażenie, iż zwiedzam wnętrze mechanizmu zegara.

– Świetnie, to mnie interesuje.

– Wyobrażam sobie.

Siostra Ines nic nie mogła poradzić – nieznajomy wraz z Bremenem wchodzili już po schodach do świątyni, by zniknąć w jej wnętrzu.

Zaintrygowana aluzjami do maszyny oraz opowieściami, jakich nigdy wcześniej nie słyszała, energiczna kucharka już była gotowa porzucić swoje królestwo i dyskretnie podążyć za mężczyznami, gdy, niestety, do kuchni wkroczyła siostra Pierestrojka, by pokrzyżować (nie po raz pierwszy) jej plany.

– Co się tu siostra próżniaczy? – zaatakowała ją, ledwie przekroczywszy próg kuchni. Siostra Brytfanka właśnie pólleżała rozplaszczona na kuchennym blacie, z głową za oknem, ręką przytrzymując się zlewozmywaka, by nie stracić równowagi.

– Sprawdzam tylko, czy zamki w oknach dobrze trzymają – usprawiedliwiła się zmieszana.

– Dobrze, dobrze, gadanie! Ojciec Pierre prosi, by podać obiad najszybciej, jak się da. Zjedzą wraz z gościem w gabinecie.

– W gabinecie? – zdziwiła się Ines.

– Tak. I to raz-dwa. Nie każmy im czekać, sama siostra wie, jak się wtedy denerwują.

Zakonnice wzięły tace z parującym jedzeniem i zaniósły je na najwyższe piętro klasztoru.

SIŁA

Gabinet, w którym ojciec Pierre rozmawiał z gościem, był dosłownie pogrzebany pod stertami papierów. Piętrzyły się tam stosy nieprzeczytanej korespondencji, periodyków prenumerowanych przez fundację, które ksiądz chciał przejrzeć, zanim znajdą się w archiwach, oraz prawdziwe wieże utworzone z artykułów i książek, stanowiących bibliografię do jego eseju o świętym Bernardzie. Choć pisał to dzieło od dawna, nie widać było końca pracy.

Jego druga pasja, radiestezja, również znalazła odzwierciedlenie w gabinecie. Poczesne miejsce zajmowała oszklona szafka, wypełniona przyrządami wszelkiego kształtu i rozmiaru. Wahadełek i różdżek było tam bez liku, począwszy od instrumentów z małą urną do przechowywania „próby”, czyli ścinka tkaniny, grudki ziemi lub poszukiwanego materiału, aż do najprostszych, przypominających rysik architekta. Wahadełka były metalowe, drewniane, szklane, a nawet z kwarcu. Ojciec Pierre już od lat zbierał je i używał przy każdej nadarzającej się okazji. Wielu braci ze zgromadzenia nazywało go „ojcem jasnowidzem”.

Naprzeciwno ojca Pierre’a rozparł się na kanapie młody duchowny prawosławny. Jeszcze parę godzin temu siedział w samolocie lecącym z Egiptu, teraz zaś przyglądał się obojętnie chaosowi panującemu w pokoju. Nie usiłował nawet zrozumieć, do czego mogą służyć wszystkie te kojarzące się z czarną magią przedmioty.

– Upewnijmy się tylko, czy dobrze zrozumiałem – mówił ojciec Pierre.
– Przybył brat z samego Synaju, bo podobno w naszej świątyni dzieje się coś niezwykłego.

- W rzeczy samej – przytaknął gość.
- A o jakimż to zjawisku mówimy, ojciec... Rogelio? Dobrze zapamiętałem ojca imię?
- Bardzo dobrze.
- Tak więc, ojciec Rogelio?
- Mamy powody, by wierzyć, że jakaś zła siła drzemała przez lata, a teraz budzi się pod waszym kościołem. Nie wyglądało nam to na drobiazg, jaki można zlekceważyć. Co więcej, mamy informacje, że pewne sekty satanistyczne w ciągu ostatnich tygodni znacząco nasiliły swoją działalność w tym rejonie, czy to prawda?
- E tam, żeby od razu sataniści! – machnął ręką ojciec Pierre. – To zwykli chuligani, którzy wdzierają się nocą na cmentarz, profanują groby, kradną... i tyle. Takie rzeczy zdarzają się wszędzie.
- Czyżby sprofanowali sanktuarium w Vezelay?
- Broń Boże! Oczywiście, że nie!
- Wcale nie żartowałem, ojciec Pierre – powiedział Rogelio z zasępioną miną. – To, co się teraz dzieje, to tylko wstęp do cyklicznego zjawiska, które w końcu dotknie to i inne miejsca we Francji. Ostatni raz siła ta była równie aktywna osiem wieków temu, wówczas udało się ją opanować poprzez budowę kilkunastu kościołów, wśród nich waszej świątyni.
- Osiem wieków? – powtórzył ksiądz Pierre. – Twierdzi ojciec, że ostatni raz uaktywniła się ta... nazwijmy ją... demoniczna siła w czasach opata Sugera?
- Tak. Ale od tamtej pory wiele się zmieniło. Sanktuarium w Vezelay zostało niemal całkowicie przebudowane, przy robotach zaś nie uszanowano architektonicznych formuł powstrzymujących zło. Dlatego grozi nam niebezpieczeństwo.
- I rzekomo – ściągnął brwi ojciec Pierre – zagrożenie przychodzi z głębi ziemi?
- Można tak to ująć. Bo czy nie zwiecie wzgórze, na którym wznosi się kościół Świętej Magdaleny, „Wzgórzem skorpiona”?
- Nie widzę żadnego związku.
- Skorpion to ponoć jedyne zwierzę, zdolne świadomie zadać sobie śmierć, kiedy otoczą go płomienie. Ma demoniczne właściwości, tradycja czyniąca zaś z niego jeden ze znaków zodiaku, dotarła tu aż z Orientu, prawdopodobnie przyniesiona przez Arabów, lub, co bardziej

prawdopodobne, przez templariuszy Bernarda z Clairvaux. Nadając górze taką nazwę, budownicowie kościoła Świętej Magdaleny udzielili wskazówki, że w miejscu tym kryje się zagrożenie.

Ojciec Pierre, filozof wykształcony na Sorbonie, o zrównoważonym podejściu do świata, coraz poważniej podejrzewał, że jego rozmówca to jakiś nieszczęsny pomylenie. Mówił urywanymi zdaniami i choć głos miał spokojny, jego rozbiegane oczy zdradzały nerwowość. Zachowywał się jak ktoś, kto wie, że ma mało czasu i jedną w życiu możliwość, by przekonać kogoś do swoich kontrowersyjnych idei.

– Dobrze już, mój drogi Rogelio. Czy pokaże mi brat jakiś dowód, by łatwiej mi przyszło uwierzyć w brata słowa?

Egipcjanin o mrocznym spojrzeniu wstał z kanapy, zrobił kilka kroków i oparł ręce na biurku ojca Pierre'a. W tej chwili zegar ścienny uderzył pięć razy, oznajmiając, że to już późne popołudnie.

Rogelio zaczął, aż zegar ucichnie, i odparł:

– Posłuchaj mnie, ojcze, nie znalazłem się tu przypadkiem. Podążam za pewnym osobnikiem, który wkrótce tu przybędzie, domagając się widzenia z ojcem, i przedstawi dowód, jakiego ojciec ode mnie żąda. Na razie nie uświadamia sobie, jak ważną rzecz ma w rękach. Nie sądzę nawet, by zdołał to pojąć. Moje zadanie polega na tym, by obserwować go i w razie potrzeby zapobiec popełnieniu przez niego jakiegoś błędu, który wyzwoli zło.

– A w czym właściwie imieniu brat działa?

– Ja tylko wypełniam rozkazy. Mój zwierzchnik w klasztorze Świętej Katarzyny ma dostęp do pewnych informacji, których ja sam nie poznałem w całości, mnie zaś zlecił, bym sprawdził, czy rzeczywiście istnieją powody do niepokoju. Ostrzegam tylko, że praktyki satanistyczne mogą wkrótce się nasilić, co będzie stanowić tylko wstęp do poważniejszych wydarzeń.

Ojciec Pierre poruszył się niespokojnie na krześle.

– O jakich powodach do niepokoju mówimy?

– Być może ktoś niepożądany poznał pewną tajemnicę lub też dysponuje kluczem, który otworzy bramy zła. To oczywiście przenośnia – zaznaczył Rogelio.

– Jeśli wizyta brata ma charakter wizyty oficjalnej, podejrzewam, że nasz biskup wie o obecności brata w tym miejscu, prawda?

Gość pokręcił głową, aż zafalowała jego bujna czarna czupryna.

– Nie. Po cóż miałby wiedzieć? Im wyższa władza, tym więcej rzeczy

ma do ukrycia.

Ojciec Pierre przyglądał się swojemu rozmówcy nieco zakłopotany.

– Nie ma tu niczego do ukrycia, bracie Rogelio, może mi brat wierzyć – zapewnił w końcu. – Wiedziemy tu bardzo spokojne życie. Ja na przykład od lat pracuję nad żywotem świętego Bernarda, który z tego miejsca zainicjował swoje wielkie dzieło polityczne i zwołał u stóp wzgórza Świętej Magdaleny drugą wyprawę krzyżową do Jerozolimy. Nigdy nie widziałem ani nie słyszałem tu niczego niepokojącego, nie licząc mrocznych kapiteli bazyliki i legendy o niejakej Księdze Wiedzy, która pewnego dnia miała się odnaleźć w tych okolicach. A i to tylko średniowieczne legendy.

– Jeszcze się do was odezwę. Kiedy już ujrzy ojciec znak, „innymi uszami” wysłucha moich słów, a wtedy będzie ksiądz odpowiedzialny za to, co się stanie.

Ojciec Pierre wzruszył ramionami, zanim odpowiedział:

– Mam nadzieję, że brata nie obraziłem. Wyznaje jednak brat poglądy, których nie podzielam.

– Ojczy Pierre, jestem świadomy tego, że opowiadanie w naszych czasach o siłach zła może wywołać... konsternację, ostrzegam jednak, że one istnieją i są niezwykle potężne. Jest takie powiedzenie: Najlepiej przysłużysz się diabłu, przecząc jego istnieniu. – I dodał kpiąco: – Nigdy nie natrafił ojciec na jego macki swoimi wahadełkami?

Nie czekając na odpowiedź, założył czarny beret i wyszedł z gabinetu.

– Wkrótce ojciec sobie o mnie przypomni – dodał już z klatki schodowej. – I sam się przekona.

Corpus hermeticum [Corpus hermeticum – zbiór dzieł
przypisywanych Hermesowi Trismegistosowi, legendarnemu egipskiemu
magowi (przyp. wyd. pol).]

ORLEAN

Rodrigo, chcąc uniknąć powrotu wpław przez rzekę, wycofał się z obozu krzyżowców znacznie dłuższą drogą, niż do niego przybył.

Opat klasztoru w San Juan de la Pena mawiał zawsze: „Nigdy nie wracaj tą samą drogą, którą już raz zaskoczyłeś wroga. Może cię łatwo pokonać z powodu twojej nadmiernej pewności siebie”.

Na samą myśl o tym, jaki los mógłby go spotkać, gdyby ktoś zauważył, jak szpera w sekretnym ładunku, włosy zjeżyły mu się na głowie. Szpiegom – tego też nauczył się w Pirenejach – wyrywa się paznokcie, a jeśli mimo to nie chcą mówić, obcina im się język, by nie mogli opowiedzieć swoim, co widzieli u wroga.

Zostawiwszy za sobą wozy i namioty krzyżowców, Rodrigo ruszył przez pola, gęsto usiane niczym nieosłoniętymi studniami.

Bezksiężycowa noc nie ułatwiała zadania. Kiedy wraz z pierwszym światłem poranka przekroczył bramę miasta, odetchnął z ulgą.

Minąwszy chlewy Jona, kuźnie braci Mondidier i skromny warsztat tkacki Amadisa, skierował się na Zbocze Dusz, którym wiodła najkrótsza droga do biskupiego pałacu.

Brudny, w mokrym ubraniu, od razu został zaprowadzony przez sekretarza biskupa do ogrodu na tyłach domu. Rajmund de Peñafort siedział na kamiennej ławce, zabawiając się rzucaniem chleba stadku kaczek, które kwakały, człapiąc niezgrabnie wokół ławki.

– Nigdy nie jest za wcześnie, by sobie podjąć, prawda? – powiedział z uśmiechem. – Rodrigo, jakie przynosisz wieści?

Biskup Orleanu był człowiekiem porywczym oraz doskonałym zarządcą. Żywo też interesował się tym, co dzieje się w mieście.

Rodrigo od razu przeszedł do rzeczy.

– Eminencjo, właśnie wracam z obozowiska – zaczął łamanym francuskim – i przynoszę ci coś, co powinieneś dobrze obejrzeć.

– Mm... – mruknął biskup – odważyłeś się coś ukraść?

– Pomyślałem, że skoro rycerze ci wożą to ze sobą, to...

– Doskonale, doskonale... – uśmiechnął się Peñafort. – Kradzież to grzech, synu, ale Bóg na pewno ci wybaczy, albowiem sprawa jest słuszna. Co więc przynosisz?

Poszperawszy w kieszeni portek, Rodrigo wyciągnął w stronę biskupa tabliczkę, którą parę godzin temu bez namysłu wsunął sobie za pasek. Teraz, w pełnym świetle, wyraźnie widział szklwioną płytkę, długości nie więcej niż dwóch piędzi, na której powierzchni narysowano jakieś znaki. Rajmund oglądał płytkę w skupieniu.

– Czy jest tego więcej? – zapytał po dłuższej chwili.

– Ponad trzysta, Ekscelencjo.

– Co to może być?

– Tego nie wiem. Wiem tylko tyle, ile podsłuchałem: to wszystko kazał sprowadzić z Jerozolimy jakiś możnowładca.

– Na pewno Hugon, hrabia Szampanii, nie mam wątpliwości – wycedził biskup. – A dokąd to zmierzają z tym ładunkiem?

– Tego też nie wiem.

– Wobec tego nie dowiedziałeś się, o co w tym wszystkim chodzi, tak?

Rodrigo, zaskoczony słowami biskupa, wzruszył ramionami i wyjaśnił z rozbijającą szczerością, że nie potrafi czytać ani pisać, że nauczył się tylko rachunków, a i w tym nie jest zbyt biegły.

Biedny niedojda, pomyślał biskup.

Zafascynowany, oglądał tabliczkę, jak gdyby mógł wyrwać z niej tajemnicę samym patrzeniem. Nie miał wątpliwości, że przybyła przez Troyes wraz z ludźmi księcia Hugona, którzy teraz kierują się ku jakiemuś miejscu na wschodzie. Powód tej wyprawy nie był jednak jasny. Właśnie w Troyes, na ziemiach hrabiego Szampanii, w mieście rządzonej przez bratanka Hugona, zakończył się teraz sobór, zwołany przez tego despotycznego mnicha Bernarda z Clairvaux. A z jakiegoż to tajemniczego powodu on sam na sobór nie przybył? Czy należy podejrzewać, że ten tak pilnie strzeżony ładunek jest czymś, co hrabia chciał wywieźć z Troyes z obawy, że kiedy zgromadzi się tam tylu duchownych, może zostać łatwo

odkryty?

Biskup nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Ten gładki kamień skradziony z narażeniem życia nie odpowie na te wszystkie pytania. Nie odezwie się, by zdradzić swoje pochodzenie, a już na pewno nie wspomni nic o swym przeznaczeniu. Rodrigo zaś, choć wrócił cały i zdrowy, zawiódł, bo nie okazał dość uporów, by rozwikłać zagadkę, którą przywiózł konwój.

– Mówili coś o Bernardzie?

– Bernardzie? Z Clairvaux? – zapytał zaskoczony Rodrigo.

– A którymż by innym?

– Owszem, słyszałem jego imię, Ekscelencjo.

– I co o nim mówili?

– Wspomnieli, że jest w Chartres, ale nie sądziłem, że może to mieć jakieś znaczenie, panie.

– Chartres? – Oczy Rajmunda de Penafort zrobiły się okrągłe jak spodki. – Jesteś pewny, że dobrze usłyszałeś?

Aragończyk przytaknął, wzruszając ramionami, gdyż obce mu były zawiłości rozumowania biskupa, któremu wydało się podejrzanym, że Bernard, nie zaszczyciwszy swoją obecnością soboru w Troyes, tak niespodziewanie znalazł się w Chartres. Unosząc habit, by nie uwalać go błotem, biskup Orleanu podniósł się z ławki i ruszył w stronę muru otaczającego ogród. Nagle odwrócił się i powiedział do zaskoczonego Rodriga:

– Udasz się do Chartres. Wyśledzisz, co knuje Bernard.

– A tabliczki?

– Niech mi utną prawą rękę, jeśli nie jada już w tamtym kierunku.

Jak w górze, tak na dole. [„Jak w górze, tak na dole” – stara maksyma hermetyków, pochodząca podobno z Tablicy Szmaragdowej Hermesa Trismegistosa, a którą odzwierciedlała wzniosła symbolika gotyckich katedr (przyp. wyd. pol).]

VEZELAY

Kościół był pusty. Ostatnia grupa turystów z aparatami fotograficznymi opuściła świątynię, sprytnie poprowadzona przez przewodnika w stronę sklepów z pamiątkami. Narteks spowijała senna cisza. Owa rozległa i widna sala poprzedzająca wejście do świątyni przypominała Temoinowi Portyk Chwały, który wiele lat temu widział w sanktuarium Santiago de Compostela. Pan Bremen przeżegnał się skwapliwie.

– Czuje pan? – wyszeptał.

Michel, chłonący to kojące piękno, wzruszył ramionami, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Mam na myśli energię świątyni – wyjaśnił Bremen. – Z czasem człowiek uczy się rozróżniać stan ducha kamieni... Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale ten zmienia się cyklicznie. To tak, jakby świątynia w pewne dni była zagniewana, a w inne życzliwa.

Temoin rozejrzał się, niezbyt dobrze rozumiejąc, o czym mówi staruszek. A jeśli jego cicerone to tylko jakiś miejscowy pomyleniec? Ubrany w zielone sztruksowe spodnie i wełnianą koszulę, nie sprawiał wrażenia szaleńca, a jednak Michel musiał przyznać, że dostrzegł w jego spojrzeniu coś, co napawało go strachem.

– A co z machiną? Zamierzał mi pan pokazać, w jaki sposób działa wewnętrzny mechanizm świątyni – przypomniał.

– Ach, prawda, machina! – wykrzyknął Bremen. – Za mną, proszę.

Wewnętrzne drzwi do sanktuarium Świętej Magdaleny mieściły się pod przepięknym tympanonem z figurą Chrystusa Pantokratora, o wiele bardziej zniszczonym niż ten na głównej fasadzie.

– To zstąpienie ducha na hierarchię Kościoła – wyjaśnił półgłosem

rozentuzjasmowany Bremen. – Na archiwoltach [Archiwolta – łuk wieńczący portal (przyp. wyd. pol).] znajduje się siedem Kościołów Azji oraz święty Jan piszący Apokalipsę pod dyktando anioła. Widzi pan?

Rzeczywiście, dokładnie pod rzeźbą zodiaku widniał relief przedstawiający postać trzymającą kij lub laskę i rozmawiającą z inną, mniejszą, która wyglądała, jakby robiła notatki.

– Wszystko to razem – ciągnął Bremen – to alegoria nauczania, przekazywania wiedzy. Przelewania siły duchowej z mistrza na ucznia. Odbywa się to według ścisłej matematycznej reguły.

– Matematycznej? Jakiej matematyki można doszukiwać się w tym portyku?

Bremen, który zdjął czarny beret, świecąc teraz łysym czubkiem głowy okolonym koroną włosów, przeszukiwał kieszenie koszuli. W końcu wyciągnął z jednej z nich cienki, rozpadający się ze starości folder i podał go inżynierowi. Przedstawiał on prosty schemat wewnętrznych drzwi Vezelay, poprzecinany przerywanymi liniami niczym rzut geometryczny.

– Widzi pan? – zapytał niecierpliwie.

– Nie. Co powinienem widzieć?

– Instrukcja obsługi maszyny. A niby co? Jeśli z dwóch stron poprowadzimy linię od podstawy drzwi do głowy Pantokratora, uzyskamy trójkąt równoramienny. – Wskazując na trójkąt nakreślony przerywaną linią, ciągnął: – Co więcej, jeśli narysuje pan trzecią linię, której środek będzie przechodził przez samą głowę i połączy ją z dwoma pozostałymi aż do dolnej osi drzwi, uzyska pan... inny trójkąt, identyczny jak ten poprzedni, ale odwrócony. Nic to panu nie mówi? Schemat wewnętrznego portalu kościoła w Vezelay.

Temoin podrapał się po brodzie.

– Nie...

– To matematyczne wyobrażenie starej zasady nauk hermetycznych: „Jak w górze, tak na dole”. Hermes Trismegistos, drogi przyjacielu, był grecką wersją egipskiego boga Tota, opiekuna nauki. Pamięta pan anioła z wagą na frontowym tympanonie? Proszę sobie przypomnieć, co powiedziałem: to symbol tego właśnie boga.

Francois Bremen składał schemat wejścia do kościoła w Vezelay tak starannie, jakby znajdował przyjemność w tej czynności, i wsunął go do kieszeni swojej okropnej kraciastej koszuli.

– To czysta matematyka! – nie ustępował. – Dwa splecione trójkąty równoboczne stanowiły też pieczęć Salomona, godło monarchy, który zbudował świątynię w Jerozolimie. Może je pan dzisiaj odnaleźć nawet na współczesnej fladze Izraela.

– Żydowski symbol w chrześcijańskiej świątyni? Chyba stroi pan sobie ze mnie żarty! Zapomniał pan, że Żydzi byli w średniowieczu prześladowani?

– Ma pan rację – zgodził się Bremen. – Ale założmy, że nie był to symbol hebrajski. W takim razie, co oznaczał?

– No, cóż – Temoin popatrzył na niego podejrzliwie – to pan zdaje się mieć na wszystko odpowiedź.

– Ha! Otóż nie wiem, czy pan z kolei wie, że czasami takie nałożone na siebie trójkąty symbolizowały konstelację Panny, ponieważ gwiazda sześcioramienna, jaka się tworzy, wyobraża szósty znak zodiaku.

Słyszając to, Michel o mało się nie zakrztusił.

– To tylko symbol, rzecz jasna – tłumaczył Bremen. – Znak, że świat tam, na górze, czyli niebo, może być odwzorowany przez świat na dole, ziemię... Nie rozumie pan? Te drzwi stanowią przejście w zaświaty.

– A ta machina? – zapytał Temoin nieco zbity z tropu.

– Działa jak lustro, odbicie nieba. W pewne dni, jak letnie i zimowe przesilenie, dwudziestego trzeciego czerwca i dwudziestego trzeciego grudnia, tu, w środku aktywuje się nadzwyczajna energia. W kategoriach astronomicznych są to chwile, gdy Słońce osiąga największe oddalenie od równika, podczas swojej „wędrówki” wokół Ziemi po kole, które astronomowie nazywają ekliptyką. Starożytni nie potrafili tego wytłumaczyć, ale dostrzegali, że Słońce zatrzymuje swój ruch postępujący, rodząc się nad kolejnymi punktami nad horyzontem; zatrzymywało się na parę dni i zmieniało kierunek. I rzeczywiście – dodał triumfująco – solstycjum [Solstycjum, łac. solstitium – największe oddalenie Słońca od równika (przyp. wyd. pol)] znaczy ni mniej, ni więcej tylko „zatrzymanie Słońca”.

– A jakie miało to znaczenie w czasach budowy świątyni w Vezelay?

– Podstawowe! – wykrzyknął Bremen. – Od pradziejów letnie i zimowe przesilenia oznaczały ważne zmiany w porach roku, czasy siewu i zbiorów, czas świąt i rytuałów. Chrześcijanie je zaadaptowali i poświęcili jeden dzień świętemu Janowi Chrzcicielowi, drugi zaś świętemu Janowi Ewangelście.

Tak też każdego dwudziestego trzeciego czerwca otwiera się droga świetlna w kościele, która wyznacza „drogę Jana” do nieba. Droga ta powtarza się również każdego dwudziestego trzeciego grudnia.

Temoin słuchał, coraz bardziej zdezorientowany. Cóż to znowu za „droga świetlna”? Bremen, który zauważył konsternację swojego rozmówcy, postanowił wytłumaczyć mu to w prostszy sposób.

Wziął go pod ramię i wprowadził do głównej nawy bazyliki.

Kilkadziesiąt metrów nad ich głowami widać było olśniewającą konstrukcję zamkniętą sklepieniem kolebkowym z dwukolorowymi żebrami, podobną do tej w meczecie w Kordobie. Światło wpadające przez gotycką latarnię [Latarnia – cylinder umieszczony na górnym pierścieniu kopuły z otworami oświetlającymi (przyp. wyd. pol)] tworzyło ścieżkę cieni uchodzących do strumienia światła.

– Widzi pan – ciągnął Bremen, stając dokładnie pośrodku nawy – każdego dwudziestego trzeciego czerwca w południe światło słoneczne przenika do kościoła przez specjalnie ustawione okienka zwane oculusem i na posadzce kościoła, dokładnie na osi nawy, pojawia się siedem świetlnych plam.

– Doprawdy? Nigdy o tym nie słyszałem.

– Dzieje się tak nie tylko w tej świątyni – zapewnił szybko Bremen. – W katedrze w Chartres, również w południe w dzień letniego przesilenia, słoneczny promień przefiltrowuje się przez witraż poświęcony świętemu Apolinaremu i rozprasza na płycie, na której wygrawerowane jest pióro. Czy nie jest to machina dokładności?

Temoin zamrugał oszołomiony.

– Każdy może to zobaczyć?

– Oczywiście! Teraz stało się to już atrakcją turystyczną, ale prawie nikt nie przystaje, by zastanowić się, dlaczego zaprojektowano to w taki właśnie sposób.

– A pan to wie?

– Mam swoją teorię...

– Jestem jej ciekaw.

Bremen obejrzał się za siebie, jakby chciał się upewnić, że nikt go nie usłyszy. Następnie uprzejmym gestem zaprosił Temoina, by przeszli do deambulatorium.

– Pamięta pan, co powiedziałem o podobieństwach istniejących między

zewnątrznym tympanonem a Księgą Umarłych!

– Jak mógłbym zapomnieć?

– Otóż wierzę, że wszystko pochodzi stamtąd. Niewiele wiemy o egipskiej magii, ale dowiedzieliśmy się tego dzięki starożytnym Grekom, wśród których najwyższy stopień inicjacji osiągnął Pitagoras, matematyk.

– Nie rozumiem.

– Już tłumaczę. Pitagoras, poza matematyką, nauczył się w Egipcie astronomii. Spędził w tym kraju dwadzieścia dwa lata i odkrył, że starożytni uważają przesilenie za specjalny moment, w którym otwiera się komunikacja z zaświatami. Nazwał te chwile „bramami”. Wiedział pan o tym? I uznał, że w czerwcu otwierają się drzwi ludzkie, przez które ludzie mogą trafić do nieba; w grudniu zaś boskie, którymi bogowie schodzą na Ziemię.

– Ale w jaki sposób wierzenia te znalazły odzwierciedlenie w tym miejscu?

– To trochę skomplikowane. Druidzi dysponowali podobną wiedzą i również wznosili swoje budowle, na przykład Stonehenge w Wielkiej Brytanii czy okręgi monolitów w innych miejscach, jako enklawy strzegące tychże „bram do nieba”. Potem chrześcijanie zbudowali na nich swoje budowle, niektóre zaś odziedziczyły ukryte znaczenie tych miejsc. Klucz, proszę nie zapomnieć, zawsze jest ten sam: jak w górze...

..tak na dole 1, 8, 6, 3.

Nie miała pojęcia, jak działa ten wynalazek, ale wystarczyła jej pewność, że jest skuteczny.

Kiedy na migającym zielonym światłem ekranie laptopa pojawiły się cztery cyfry, natychmiast rozległ się szelest przesuwających się automatycznych drzwi hotelu La Palombiere.

Gloria zamknęła laptopa, wsunęła go do małego plecaka i włożyła do ucha słuchawkę telefonu komórkowego, na wypadek gdyby zwierzchnicy chcieli ją o czymś uprzedzić. Następnie weszła do budynku. Jeśli sprawy miały się tak, jak powiedział jej ojciec Rogelio, trzeba szybko sprawdzić, co wie Temoin, by unieszkodliwić go, zanim zrobi jakiś groźny w skutkach krok.

Taki był plan „A”.

Hotelik La Palombiere zaskoczył ją brakiem recepcji, a nawet holu.

Wejście prowadziło na tyły domu, do pokoi zaś można się było dostać przez dyskretne wejścia od strony ogrodu. Zaraz za drzwiami, na lewo, korkowa tablica zawieszona na ścianie nad automatem telefonicznym prezentowała kolekcję wizytówek z reklamami pobliskich restauracji i nocnych klubów. Nic ciekawego. Dwa kroki dalej, naprzeciwko, wąskie, wyłożone chodnikiem schody wiodły do pokoi gości.

Michel Temoin, pokój sto pięć, powtarzała w myślach.

Ubrana w nowe džinsy i obcisły podkoszulek, platynowa blondynka szybko weszła po schodach. Skręciła w lewo, pokonała trzy metry korytarza, minęła metalową balustradę i już stała pod drzwiami, których szukała. Obmacała krawędź futryny, by przekonać się, z jakim zamkiem ma do czynienia.

– Cholera – zaklęła pod nosem.

Hotel, do którego wejścia strzegła elektronika, w środku miał zwykłe drzwi zamykane na zwykłe zamki. W takim żelastwie niezawodna spinka do włosów złamie się jak zapalka, sztuczka z kartą kredytową zaś okazuje się zupełnie nieprzydatna. Zawahała się przez sekundę, zanim postanowiła odejść spod drzwi.

Uznała, że sprawa jest przegrana, postanowiła więc, że wróci uzbrojona w lepsze narzędzia. Nagle za jej plecami rozległ się głos pokojówki:

– Ach! To pewno pani Temoin! Chyba się nie mylę?

Kobieta, niższa od Glorii czterdziestoparolatka z trwałą ondulacją ufarbowaną na mahoń, lustrowała ją od góry do dołu z nieszczerym uśmiechem.

– Tak, nazywam się Temoin.

Pokojówka jej nie uwierzyła. W jednej chwili miała gotowy obraz sytuacji: ponadtrzydziestoletni mężczyzna, na pewno na eksponowanym stanowisku, umawia się z kochanką w dyskretnym hoteliku, daleko od uczęszczanych szlaków turystycznych. Najgorsze, że tacy zwykle zostawiają straszny bałagan: pokój przewrócony do góry nogami, skotłowana pościel... obrzydliwość!

– Wzięła już pani klucz?

– Nie – niepewnie powiedziała Gloria. – Michel zapomniał mi zostawić, właśnie miałam...

– Nie szkodzi, niech się pani nie martwi. Zaraz pani otworzę. Mam klucze.

Klucze jak od zakrystii, pomyślała Gloria.

– To klucz do wszystkich zamków, słyszała pani o czymś podobnym? – uśmiechnęła się pokojówka. Gloria pożegnała się z nią, wręczając jej dziesięciofrankowy banknot „za fatygę” i weszła do pokoju.

Miała mało czasu.

Czuła, że jej puls przyspieszył. Pokój nie był jeszcze posprzątany, jedyna walizka Temoina, mała samsonite, odpoczywała wypatroszona na krześle. Na komodzie, porysowanym meblu, który jednocześnie pełnił rolę stolika pod telewizor, piętrzyła się sterta książek, folderów turystycznych i nowa mapa drogowa.

Przetrząsnęła wszystko, nie zważając na wypadające z książek zakładki. Nie było tam tego, czego szukała.

Gdzie on mógł schować te zdjęcia?, denerwowała się. Jeśli wszystko rzeczywiście było tak, jak jej powiedzieli, Temoin nie zdawał sobie sprawy, że ktoś go śledzi, dlatego też ukrywanie zdjęć nie miałoby sensu. Przeszukała boczne kieszenie walizki, wszystkie szuflady i nocny stolik. Zajrzała pod dywan, do kieszeni skórzanej kurtki wiszącej w szafie, do łazienki... i nic. Przejrzała szufladę z bielizną, zrewidowała wszystkie kieszenie, nawet przeczytała to, co było napisane na żółtych samoprzylepnych karteczkach i na zaznaczonych jaskrawym flamastrem stronicach zniszczonego egzemplarza Tajemnic katedry w Chartres.

Podniosła materac, by przekonać się, że i tam niczego nie ma, po czym wzięła walizkę, otworzyła przegródkę, w której ukryty był mechanizm zamka, i umieściła w niej coś, co przypominało okrągłą baterię do zegarka.

Był to nadajnik Spectrum, mały cud elektroniki, emitujący sygnał na odległość do dziesięciu kilometrów. Nie pozwoli, by Gloria zgubiła Temoina.

Uruchomiła nadajnik i opuściła pokój, nawet nie starając się zrobić w nim porządku.

WIELKA NIEDŹWIEDZICA

Do tawerny Eryka nie można było wetknąć nawet szpilki. Grupa starszych turystów, którzy przed półgodziną zwiedzali bazylikę Świętej Magdaleny, podziwiając relikwie po Marii, której niegodziwcy przypisywali miłosną przygodę z samym Jezusem z Nazaretu, roztrząsali teraz ową legendę i poganiali kelnera, by szybciej zebrał od nich zamówienia.

Francois Bremen przecisnął się do baru i zamówił dwa piwa, za które od razu zapłacił. Następnie, dokonując prawdziwych akrobacji, by nie rozlać napoju, wyniósł kufle z lokalu i postawił na metalowym stoliku w ogródku. Inżynier czekał na niego niecierpliwie, pieszczotliwie gładząc fotografię, którą zdążył wyjąć z kieszeni płaszcza.

– A to co?

Bremen otworzył szeroko oczy.

– Chcę panu coś wyznać – zaczął poważnym tonem Temoin. – Muszę to zrobić, bo coś mi mówi, że niechcący udzielił mi pan kilku ważnych wskazówek, choć wcale o nie nie prosiłem.

– Cóż, to nagroda dla tych, którzy szukają sercem, nie słyszał pan o tym? – powiedział Bremen, puszcżając oko.

– Właśnie o tym chciałem z panem porozmawiać. Ja nie szukam sercem, nie szukam w tym wszystkim żadnych transcendentnych wzlotów. Przyjechałem do Vezelay, ponieważ dwa dni temu jeden z naszych satelitów wykonał fotografie i na każdej z nich pojawiają się anomalie, których nie rozumiem.

– Jeden z waszych satelitów? – Bremen uniósł brwi.

– Widzi pan, jestem inżynierem telekomunikacji w Krajowym Centrum

Badań Kosmicznych w Tuluzie. Moim podstawowym zadaniem jest nadzór nad prawidłowym działaniem satelitów meteorologicznych i kartograficznych. To jeden z tych ostatnich wykonał to zdjęcie. Pozostałe fotografie z tej serii mam w samochodzie.

Bremen pochylił się, by obejrzyć zdjęcie z numerem CAE 990111 i skrupulatnie przestudiować zakreślony czerwonym flamastrem fragment, który bez wątplenia odpowiadał wiecznemu wzgórzcu Vezelay.

– Zauważył pan coś dziwnego? – zapytał Temoin.

– Podejrzewam, że chodzi o tę białą plamę w miejscu, w którym powinien stać kościół Świętej Magdaleny.

– Otóż to. Zdjęcie zostało wykonane dwudziestego trzeciego tego miesiąca, i nie było to jedyne odnotowane zaburzenie. Coś podobnego pojawia się jeszcze w pięciu innych miejscach. Interesujące, że we wszystkich stoją gotyckie budowle, wzniesione mniej więcej na początku panowania tego stylu w architekturze...

– A jakie to miejsca?

– Miasta na północy: Evreux, Bayeux, Chartres, Amiens i Reims.

– Coś podobnego! – wykrzyknął Bremen. – Miasta z konstelacji Panny!

Temoin musiał bardzo się starać, by nie wylać sobie piwa na płaszcz.

– Jak to? – wyjąkał, wycierając pianę z wąsów. – Czyżby słyszał pan coś o tej historii z gwiazdami?

– Wszyscy o tym słyszeli, drogi panie! – huknął staruszek. – Idea ta po raz pierwszy została opisana w jednej z książek Louisa Charpentiera [Louis Charpentier nie jest postacią fikcyjną. Les mysteres Templiers (Tajemnice templariuszy) i Les mysteres de la cathedrale de Chartres (Tajemnice katedry z Chartres) to tylko dwa tytuły spośród jego dzieł (przyp. aut.)] i natychmiast podchwycona przez pewne środowiska, nazwijmy to, ezoteryczne. Podobnie mówiono też o budowlach starożytnych Egipcjan wzniesionych po to, by naśladowały położenie gwiazd na nieboskłonie. A jednak w opowieści Charpentiera czai się pewna pułapka, wiedział pan o tym?

– Czy to sam Charpentier ją zastawił?

– No cóż... – Bremen uśmiechnął się od ucha do ucha – w gruncie rzeczy nikt tego nigdy nie rozgryzł. W każdym razie, kiedy Charpentier wyjaśnia, że plan konstelacji Panny odbija się na francuskiej ziemi niczym w lustrze, tak właśnie należy to rozumieć.

– Nic nie rozumiem...

– Jeśli przeczytał pan książkę Charpentiera, na pewno pamięta pan, gdzie sytuuje on najważniejszą gwiazdę z konstelacji Panny, Spicę, czyli Kłos, w odniesieniu do katedry w Reims.

– Rzeczywiście – zgodził się Temoin.

– Otóż zakradła się tam pewna nieścisłość. Wśród wszystkich katedr najważniejsza jest bez wątpienia ta w Chartres. Dlaczego Charpentier nie miałby jej poświęcić swojego dzieła? Nie rozumie pan jeszcze? Na plan Charpentiera należy patrzeć jak na lustrzane odbicie gwiazdozbioru! W ten sposób odwracamy wszystko do góry nogami i Spica nie odpowiada już Reims, tylko Chartres. I wyjaśnia się dodatkowa kwestia: dlaczego nie wszystkim gwiazdom z konstelacji Panny przypisana została jakaś katedra? Wątpliwości budziły pomniejsze gwiazdy, które pozornie nie pokrywały się z żadną świątynią. Natomiast jeśli odwrócimy ten schemat, wszystkie doskonale pasują do miast katedralnych.

– Proszę chwilę zaczekać. – Temoin wyjął z kieszeni płaszcz notatnik, w którym sporządził tablice gwiazd i odpowiadających im katedr według rysunku Charpentiera. – To, co pan mówi, zmienia postać rzeczy.

– To prawda – przyznał Bremen. – Dziwi mnie tylko, że wcześniej nie zdał pan sobie z tego sprawy.

– Pozwoli pan, że wprowadzę pewne zmiany w tabeli, jaką opracowałem dla tego przypadku.

Michel, pochylony nad stołem, zaczął porównywać swój rysunek z mapą Panny, którą przezornie odbił na ksero przed wyjazdem z miasta, i natychmiast zobaczył wszystko w innym świetle. Widziane z „odwróconej” perspektywy, nawet pomniejsze gwiazdy pokrywały się z katedrami! Teraz jego lista nabrała nowego sensu:

**ZALEŻNOŚĆ ODWRÓCONA. KATEDRY A GWIAZDY
W KONSTELACJI PANNY** Gwiazda, której odpowiada Alfa virginis (Spica)

Zeta virginis Gamma virginis (Porrina)

Delta virginis (Minelauva)

Teta virginis Eta virginis Tau virginis Virginis 109

– Przyznaję, że mnie pan zaskoczył, panie Bremen – mruknął Temoin, nie podnosząc wzroku znad swojej nowej tabeli. – Idąc tym tropem, znajduję wytłumaczenie dla jeszcze innej sprzeczności, którą wykryłem

u Charpentiera: główna gwiazda, Spica lub Alfa virginis, odpowiada katedrze w Reims, która pochodzi z późniejszego okresu niż ta w Chartres, nie zaś tej ostatniej, niewątpliwie najważniejszej budowli.

Bremen przytaknął, zadowolony.

Katedra gotycka Rok budowy

Chartres 1194

Reims 1211

Bayeaux 1206

Amiens 1220

Evreux 1248

Coutances 1218

Chalons 1230

Strasburg 1220

– Pozostaje mi jednak jedno pytanie i nie wiem, czy potrafi pan na nie odpowiedzieć.

– Spróbuję – odparł staruszek.

– Vezelay leży poza tym schematem, a jednak na fotografii satelitarnej pojawiła się w tym miejscu taka sama anomalia, co przy budowlach Panny. Jak mam to rozumieć?

„Jego cielesność” Bremen – jak Michel zwykł określać bardziej korpulentne osoby – zapadł się w sobie, jakby próbował skonsultować odpowiedź z własnym żołądkiem. Sięgnął po stojący przed nim kufel piwa i opróżnił go do połowy, nie odrywając kufła od ust. Inżynier czekał cierpliwie na odpowiedź.

– Jak by to powiedzieć, drogi przyjacielu... Wydaje się oczywiste, że nie czytał pan zbyt uważnie książki naszego przyjaciela Charpentiera.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– W przeciwnym razie zapamiętałby pan, że wspomina on, jak na wiele lat przed uruchomieniem Planu Panny, benedyktyni przeprowadzali podobną próbę z opactwami w różnych regionach kraju. Tu, w Burgundii, jeśli zaznaczy pan na mapie siedem najważniejszych opactw tegoż zakonu, uzyska pan rysunek zbliżony do kształtu Wielkiej Niedźwiedzicy, a zwłaszcza jej najjaśniejszych gwiazd tworzących Wielki Wóz [Ta tajemnica architektoniczna ma ściśle historyczny charakter. Jeśli na mapie Burgundii zaznaczyć opactwa Autun, Chalon-sur-Saône, Beaune, Arnay-le-Duc,

Saulieu, Quarre les-Tombes i Vezelay, uzyskamy figurę bardzo podobną do Wielkiego Wozu. Podobieństwo jest bardziej powierzchowne niż to uzyskane w przypadku katedr z wczesnego gotyku a konstelacją Panny, jednak wszystko wskazuje na to, że – jak powiedziałby Francois Bremen – były to tylko „próby”, wprawki poprzedzające realizację wielkiego Planu Panny. Bazylika w Vezelay odpowiada najbardziej peryferyjnej gwiazdzie z dyszla Wielkiego Wozu, czyli gwiazdzie Eta, znanej również jako Benetnasch – „płaczliwa” (przyp. aut.)]

– Doprawdy?

– Naturalnie!

– A jakie to ma znaczenie?

– Znaczenie? – odpowiedział Bremen pytaniem na pytanie. – To, drogi przyjacielu, jest zadanie dla pana! Odkryć znaczenie tak szczególnego zamysłu budownictwa sakralnego. Ja mogę tylko podzielić się z panem kilkoma spostrzeżeniami, ale jeśli chce pan wiedzieć, dlaczego te miejsca na fotografiach są białe, to ja panu tego nie powiem. Usytuowanie opactw cysterskich naśladujące położenie gwiazd w gwiazdozbiornie Wielkiej Niedźwiedzicy – Wspomniał pan o wskazówkach...

Profesor dopił piwo jednym długim łykiem, czemu towarzyszyło głośne gulgotanie, po czym odpowiedział:

– Hmm... Być może nie od rzeczy byłoby porozmawiać z ojcem Pierre'em, który mieszka niedaleko. Na pewno nikt lepiej niż on nie zna się na tej tematyce. Ja nauczyłem się od niego, że czasem Ziemia wyładowuje swoją energię w postaci promieniowania, prądów elektromagnetycznych i innych efektów, które mogą wydawać się nadnaturalne. Jeśli zdoła pan namówić go na rozmowę i usłyszy od niego coś interesującego, proszę do mnie później zadzwonić. Zgoda?

Temoin przyglądał mu się badawczo.

– Nie pójdzie pan ze mną?

– Och, nie! Różnimy się nieco poglądami z ojczulkiem i jeśli mnie z panem zobaczy, obawiam się, że nie przyjmie pana zbyt życzliwie.

– Szkoda. Cóż, nie pozostaje mi nic innego, jak się do niego udać, gdyż jest pan drugą osobą, która mi dzisiaj o nim wspomniała.

Bremen odszedł, wcześniej wręczając Michelowi swoją wizytówkę.

GLUK

1128

Gluk dotarł do rogatek Chartres tuż przed zmierzchem. Północna brama, ogromna dębowa zaporą z miedzianymi nitami i okuciami, już przesuwała się na zawiasach, ciągnięta przez czterech krzepkich wartowników. Jak co wieczór zamykali oni wszystkie bramy prowadzące do grodu, by zapewnić mieszkańcom bezpieczny sen.

Ulice Chartres, położonego blisko głównych szlaków handlowych Atlantyku, przyciągały różnego rodzaju złodziei i oszustów.

Wędrowiec, w szatach poszarzałych od kurzu, przyspieszył kroku, machając do wartowników, by na niego zaczekali. Chociaż krój jego odzienia wskazywał, że przybywa z obcych ziem, strażnicy uznali, że samotny człowiek nie stanowi zagrożenia, i zaczekali, aż gość schroni się za murami. Kiedy tylko znalazł się po drugiej stronie, wartownicy natychmiast rozpoznali w nim znanego druida z lasów Szampanii.

Nie kryli zdziwienia. Od dawna nie był w mieście, krążyły nawet plotki, że zginął z rąk jakiegoś rozbójnika.

Druid był dobrze znany ze swych umiejętności znachorskich. Za każdym razem, kiedy przybywał do Chartres, połowa miasta udawała się do niego, by wyzwolił ich od dolegliwości ciała lub duszy w zamian za skromny podarek. Najczęściej stanowiło go warzywo lub owoc z sadu, bochenek chleba czy worek? a w najlepszym razie ciepły posiłek i łóżko pod dachem. Nie brał pieniędzy, zadowalał się tym, co przynieśli mu ludzie, i opuszczał miasto, kiedy dochodził do wniosku, że nie jest już potrzebny.

Posiadł on jeszcze inną rzadką umiejętność: potrafił rozmawiać

z kamieniami. Nikt nie wiedział, w jaki sposób to robi, ale na pewno się z nimi porozumiewał. Poznawał ich „życzenia”, wystarczyło, że do nich podszedł. Nic dziwnego, że gdy był młodym chłopcem, księża i rzemieślnicy zabierali go ze sobą, by wskazywał im miejsca najlepiej nadające się do wznoszenia kaplic i pustelni i by paktował z genius loci, „duchem”, miejsca. Pracował w następujący sposób: najpierw pytał, któremu ze świętych ma być oddane w opiekę dzieło, mające dopiero powstać, następnie zaś prosił, by zostawili go samego w tym miejscu na trzy dni i trzy noce. Żaden kapłan nigdy nie widział, czym wypełnia ten czas. Złe języki donosiły, że tu i ówdzie wbija swoją łaskę, modli się i przygląda przesuwającym się nad nią gwiazdom. Potrafił czytać, pisać i rachować, a nawet zapisywać muzykę, co z pewnością było rzadką umiejętnością u mieszkańca lasu. Kiedy zaś badał miejsce, na którym miał być wzniesiony kościół, skrupulatnie zapisywał wymiary podwalin, szkicował je na papierze, rysował linie między poszczególnymi punktami, orzekał, czy to dobre miejsce na świątynię, czy nie.

– Gwiazdy i kamienie – mawiał – muszą nawiązać porozumienie, by świątynia miała oczekiwaną moc. – Następnie zaś dodawał z przekonaniem: – Bóg stworzył świat na podobieństwo nieba, jego świątynie zaś naśladują gwiazdy.

Nikt nie wiedział, gdzie mieszka ani czy ma rodzinę, o którą musiałby się troszczyć. W Burgundii i Szampanii ludzie wierzyli, że jego pojawienie się nieomylnie zapowiada, iż wkrótce nastąpią jakieś zmiany: czasem zwiastowało śmierć możnego, innym znów razem zmianę biskupa, najczęściej jednak zapowiadało mizerne zbiory lub początek suszy czy epidemii. Nie była to prawda, ale Gluk nigdy nie zaprzeczał podobnym plotkom.

Nawet sam biskup Bertrand dobrze go znał, a co więcej zawdzięczał mu życie. Swego czasu w całym Chartres szemrano, że szlachetne członki duchownego zaatakował syfilis i gdyby nie zioła Gluka, biskup leżałby już w grobie.

Przekroczywszy północną bramę, Gluk przeszedł ulicą Kowali, nie zatrzymując się nawet, by się z kimś przywitać. To wydawało się podejrzane, a nawet niepokojące. Gluk słynął z życzliwości, zawsze znajdował czas, by zamienić słowo z każdym mijanym przechodniem.

Tym razem jednak zachowywał się niezwykle powściągliwie. Ubrany

był w ten sam co zwykle znoszony płaszcz z kapturem, nie miał butów i podpierał się laską z główką w kształcie węża. Pod płaszczem nosił obszerną szatę bez guzików, przepasaną sznurem, do którego przywiązany był sierp. W jego gęstych czarnych włosach lśniły srebrne pasma.

Rzeźnik Andreu, ujrawszy go, kiedy mijał jego ubojnię, wyszeptał:

– Patrzcie tylko, jak mu się spieszy.

Przemierzywszy strome uliczki dzielnicy garbarzy, Gluk szedł dalej, nie odzywając się do nikogo. Minał kuźnię, gdzie kowale kuli podkowy i metalowe obroże dla bydła, i szybko pokonał ostatnie trzysta metrów dzielące go od domostwa, w którym Bertrand gościł opata Clairvaux. Zatrzymał się na krótką chwilę, by przyjrzeć się fasadzie dwupiętrowego budynku i niedawno położonemu drewnianemu dachowi. Prześlizgnął się wzrokiem po każdym z okien otwartych na ostatnie promienie słońca, okrążył domostwo i zdecydowanie pomaszerował w stronę kościoła.

Czyjego pojawienie się należało brać za dobrą, czy złą wróżbę?

Co drugi przechodzień na wszelki wypadek zęgnął się na jego widok. Tymczasem Gluk skręcił w prawo i oddalił się ścieżką wiodącą do kościoła.

Przypadek zrządził, że Filip, giermek Jana de Avallon, był jedynym, który miał okazję dłużej podążać za nim wzrokiem. Stał właśnie oparty o dwuskrzydłowe wrota stajni, gdyż wyszedł na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Przez ostatnią godzinę polerował miecz swego pana, toteż z przyjemnością wdychał teraz chłodne powietrze ciągnące znad rzeki. Właśnie wtedy minął go Gluk.

Druid nie zwrócił na niego uwagi, lecz dla Filipa, który od niedawna przebywał w tej okolicy, był jak postać z innego świata.

Blade popołudniowe światło nie pozwoliło mu dobrze przyjrzeć się wysokiemu mężczyźnie idącemu szybko w stronę świątyni. Czyżby to jakiś mag? Ale dlaczego idzie do kościoła? Giermek był zaniepokojony. Dużo słyszał o indywidualach zdolnych układać się z samym diabłem albo kpić z niego i grać mu na nosie. Mówiono o czarowniku, który złym spojrzeniem zmusił pewnego rycerza do dreptania przez całe lata dookoła jednego drzewa. Czego on tu szuka? Czyżby poszukiwał Pierre'a de Blanchefort? A może to jeden z cieśli, o których opowiadał ksiądz od Świętego Leopolda?

Chwilę później druid dotarł do środka kościelnego placu i skierował się w stronę portyku Apostołów. Upewniwszy się, że nie ma świadków,

spojrzał na wizerunek Chrystusa i mamrocząc coś cicho, jak gdyby prosił go o zgodę na przekroczenie progu świątyni, uklęknął, oparł dłonie o kamienny próg i pocałował ziemię.

– Ja jestem bramą. Jeśli ktoś wejdzie przeze mnie, będzie zbawiony [Ewangelia św. Jana 10,9 (przyp. wyd. pol)] – powiedział i uśmiechnął się. Dobry druid był pewny, że świątynia ta jest naznaczona, gdyż na jej latarni znajdował się znak nie do pomylenia: emblemat symbolizujący Chrystusa. Było to koło, w które wpisane zostały trzy pierwsze litery imienia zbawcy: X-P-I z alfabetu greckiego, w rzeczywistości wyznaczające niczym kompas cztery strony świata. Krzyż monogramowy.

Znaczyło to, że świątynia jest zharmonizowana z niebiańskimi osiami. Bez wątpienia znajdował się we właściwym miejscu [Nie jest to szczegół bez znaczenia. Starożytni dokładali wszelkich starań, by ściany ich świątyń wyznaczały dokładnie cztery strony świata, gdyż wierzyli, że w ten sposób sytuują je pośrodku wszechświata widzialnego dla ludzkiego oka. Tym samym świątynie stawały się punktami topograficznymi oznaczającymi miejsca, w których niebo zbiega się z ziemią (przyp. aut.)].

W parę chwil po tym, jak druid pomaszerował w kierunku głównej nawy i transeptu [Transept – nazwa stosowana do części kościoła ustawionej poprzecznie w stosunku do osi wyznaczonej przez nawę główną, która znajduje się między korpusem budowli a prezbiterium (przyp. wyd. pol)], Jan de Avallon i jego przestraszony giermek docierali już, zadyszani, do portyku.

– Przysięgam, że widziałem, jak szedł w tym kierunku! – zapewniał roztrzęsiony Filip.

– Uspokójże się. Ze mną nic złego ci nie grozi. Twierdzisz, że wyglądał na maga?

– Przysięgam, że nie zmyślam! – wykrzyknął chłopak. – To na pewno czarownik! Miał długie kudły i worek wypchany Bóg wie czym. Przystanął przed domem, jakby szukał w nim czegoś lub kogoś, a potem odszedł w tamtą stronę. Oby tylko nie rzucił na nas uroku!

Dzięki Bogu Jan nie był przesądny. Poznał wiele rozmaitych wróżb i przepowiedni, zwłaszcza podczas wyprawy do Azji Środkowej, i na razie żadna się nie spełniła. Przyznawał, że istnieją siły nadprzyrodzone, mogące oddziaływać na śmiertelników, był też pewny, iż rzadko rodzą się ludzie potrafiący nad nimi zapanować.

Zanim weszli do kościoła, Jan poprosił swego giermka, by opowiedział mu, nie pominąwszy żadnego szczegółu, wszystkie okoliczności przejścia maga. Zanim go zatrzymają, muszą się upewnić, że na pewno nim jest.

– O co możemy go oskarżyć? – zapytał Filip.

– Opat o tym zdecyduje.

– A jeśli jest niewinny?

– Nigdy dość rozwagi, nieprawdaż? A jeśli to zabójca, którego szukamy? Nie chcemy chyba, by kolejne śmiertelne ofiary obciążły nasze sumienie? Kto zabił jednego, może zabić wielu.

Na takie dictum Filip zamilkł. Popchnęli drzwi i znaleźli się w głównej nawie. Jan starał się szybko rozważyć całą sytuację.

Tylko jedna rzecz tu nie pasowała: jeśli człowiek, którego widział Filip, rzeczywiście jest czarownikiem, po cóż miałby w nocy przychodzić do Domu Bożego? Czy tych, którzy parają się czarną magią, nie odstraszały święte miejsca?

Słaby blask jedynej zapalanej świecy na ołtarzu oświetlał zaledwie pierwsze rzędy ławek. Nikt w nich nie siedział.

– W najgorszym wypadku jest to jeden z tych, którzy rozprawili się z naszym budowniczym – mówił Filip, coraz bardziej przestraszony. – Może właśnie wrócił, by zabrać jego ciało? Sam powiedziałaś, panie, że został pochowany na cmentarzu tylko tymczasowo.

– Zaraz się o tym przekonamy – przerwał mu rycerz. – Być może to tylko rabuś.

– Ale cóż mógłby skraść? Sancta camisia [Od czasów Karola Wielkiego czczono w Chartres interesującą relikwię – sancta camisia, czyli koszulę Najświętszej Panny. Jest to prostokątny kawałek tkaniny, który Karol Łysy podarował miejskiemu kościołowi w 876 r. (przyp. aut.)! Wybacz panie, ale wątpię.

W ciemności błysnął długi sztylet z kościaną rękojeścią. Jan nigdy się z nim nie rozstawał, chociaż używał go bardzo rzadko.

Teraz każdy jego ostrożny krok wyprzedzał błysk metalu. Proste, niczym niezastłonięte okna nad główną nawą kościoła przepuszczały światło, które rozszczepiało na czworo cienie ludzi na posadzce.

Świątynia tonęła w ciszy. Tylko zarys ołtarza poświęconego świętemu Jakubowi w jednej z nisz zachodniej ściany był wyraźnie widoczny w ciemności.

– Czy nic nie słyszałeś, panie? – szepnął giermek i podekscytowany pociągnął Jana za płaszcz. Oddychał szybko, a przyspieszone tętno omal nie rozsadziło mu skroni. – To tam, w głębi. W ciemności.

Jan zatrzymał się na chwilę. Nic nie mąciło ciszy, kościół przypominał wnętrze wielkiego pustego grobowca. Jan nastawił ucha, starając się jednocześnie przeniknąć wzrokiem mrok. Nagle wydało mu się, że słyszy monotonne zawrodożenie dochodzące spod... ziemi.

– Słyszysz, panie? – spytał cichutko Filip.

– Pst...

Niespodziewanie nad posadzką pojawił się słaby poblask.

– Widzę światło – wyszeptał Jan. – Bije z krypty.

Krypta, miejsce, gdzie opat Bernard stracił przytomność dzień wcześniej, była przestronnym pomieszczeniem, do którego schodziło się po wąskich schodach. Kto zdecydował się zejść kilka stopni niżej, mógł zajrzeć do niej niezauważony przez kogoś, kto znajdował się w jej wnętrzu. To dawało przewagę rycerzowi i jego giermkowi.

Pod wrażeniem coraz lepiej słyszalnej modlitwy, posuwali się ostrożnie, kierując się ku światłu. Kiedy zszedłszy po dziewięciu stopniach, znaleźli się w krypcie, stanęli oniemiałi.

LUX [Lux (łac.) – światło (przyp. wyd. pol)]

Gluk klęczał, a za jedyny przyodziewek służył mu kawałek białego płótna opasujący biodra. Ramiona wyciągnął ku górze, a wzrok wbił w kamienne sklepienie. Mamrotał coś niezrozumiale, być może modlitwę w obcym języku, a dookoła rozłożył różne przedmioty i rośliny: był tam celtycki krzyż, kilka amuletów, drewniany różaniec, kawałek mchu i sosnowe igły w dwóch małych kupkach, fragment tkaniny z grubej wełny i dzbanek z jakimś płynem.

Kreślił w powietrzu znaki, zanurzał palce w dzbanie i spryskiwał płynem ściany. Przed nim, nad ołtarzem, stała figurka Czarnej Madonny i zdawała się z zadowoleniem przypatrywać tej scenie.

Druid co i rusz kroił wodą również wizerunek Matki Bożej i od czasu do czasu spoglądał na kawałek pergaminu, na którym narysowane były przedziwne figury geometryczne. W rozwiązanym worku połyskiwał metalowy przedmiot, który obu „szpiegom” natychmiast wydał się znajomy. Było to astrolabium – takie samo, jak to wyjęte ze sztywnych dłoni mistrza de Blancheforta.

Rycerz i giermek popatrzyli na siebie zaskoczeni.

– Widzisz, panie? Ma również księgę! – zauważył Filip.

Rycerz tylko skinął głową oniemiały, gdyż książki widział raz w życiu w Clairvaux, a były to tylko kopie rzadko udostępniane wybrańcom posiadającym umiejętność składania liter. Żadna księga nie mogła opuścić klasztoru bez specjalnego zezwolenia i każdy z egzemplarzy traktowany był jak skarb.

– Książka... – wyszeptał.

Nagle starzec przerwał modły.

– Księga, w rzeczy samej! – wykrzyknął, a jego głos odbił się echem w całej krypcie. – I to najlepsza ze wszystkich! Nawet Biblia jej nie dorównuje.

Nie odwracając się, druid złączył przed sobą ręce i jednym gestem zgarnął do worka wszystkie swoje rzeczy.

– Picatrix. Cel mądrości i lepszy z dwóch sposobów postępu [Pochodzenie tej książki nie jest pewne – prawdopodobnie napisano ją w Egipcie. W późniejszych wiekach została przetłumaczona pod tytułem

Picatrix (przyp. aut.)) to jej tytuł – dodał doskonałą francuszczyznę, nadal odwrócony plecami do młodzieńców. – Dostałem ją od kogoś, kto poznał w Kordobie jej autora, niejakiego Abula Kasima Maslamę. Stanowi ona klucz do tych i innych bram. Muszę wam powiedzieć, że od wielu dni czułem w kościach, że coś dzieje się w tym miejscu, dlatego tak się do was spieszyłem.

Jan i Filip stali nieruchomo, nie mając odwagi otworzyć ust. Skąd wiedział, że tu są, skoro nawet nie odwrócił głowy?

– Witajcie – powiedział. – Przysłał was mój brat Bernard, prawda? Ach, ten Bernard! On także zna tę księgę. Studiował ją równie wnikliwie jak ja i jestem przekonany, że czuje respekt przed jej mocą. Ja i Bernard jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. I chociaż nie widzieliśmy się od prawie dwudziestu lat, z pewnością ucieszy go mój widok.

Jan schował sztylet do pochwy u pasa. Kim jest ten człowiek, który zobaczył ich, stojąc tyłem, i który twierdził, że jest przyjacielem opata?

– Dobrze, dobrze przyjacielu – odpowiedział rycerz wyzywająco, by dodać sobie animuszu. Zszedł do krypty i stanął koło starca. – Twierdzisz więc, że znasz ojca Bernarda, tak? Nadarza się okazja, by tego dowieść.

– Dowieść? Mam wam udowodniać, że znam brata Bernarda urodzonego w Fontaine?! – wykrzyknął Gluk. – Ja, który wychowałem go w lasach Clairvaux! I który odczytałem przepowiednie, że zajdzie bardzo daleko?!

Zatrząśł się ze śmiechu. Zanim templariusz zaszedł go od tyłu, druid zręcznie odwrócił się na kolanach i utkwiał w intruzach spojrzenie przezroczyстых oczu. Poruszał się z niebywałą zręcznością, niespotykaną u mężczyzn w jego wieku. Miał pełne mocy spojrzenie pod linią gęstych zrosniętych brwi, mały nos i mięsiste wargi. Mimo kościstej szczupłej sylwetki jego ramiona były muskularne, a nogi mocne, głos zaś, zachrypnięty niczym źle nastrojona lira, świdrujący i srogi.

Druid przyglądał im się przez chwilę uważnie, po czym uśmiechnął się.

– Przebywałem w Evreux, bracia, kiedy poczułem, że dzieje się coś złego – mówił. – Coś bardzo złego. Byłem tam cztery dni temu i mogę przysiąc, że coś poruszyło sieć, gdy się modliłem. Było to suche uderzenie, które wstrząsnęło siłą woivre [Woivre (celt.) – wąż, podziemna siła opasująca Ziemię, tworząca potężną sieć energetyczną. Jej symbolem był wąż lub zygzak oplatający słupy w świątyniach i grobowcach (przyp. aut.)]

i odebrało mi dech.

Starzec mówił, robiąc pauzy i w taki sposób modulując głos i wymawiając każde słowo, że ani Jan, ani Filip nie odważyli się mu przerwać. Opowiedział im, w jaki sposób słucha ziemi i że jego ciało zostało przyuczone do odbierania sygnałów od sił żywiołów, zanim się one uwolnią. Deszcz nie padał na Gluka ani nie ścisnął go mróz, jeśli on sam na to nie pozwolił. Niemniej, przyznał, ta szczególna wrażliwość na sygnały otoczenia nie stosuje się do zachowań ludzkich, które wymykają się jego władzy i są nieprzewidywalne.

– Teraz zaś, rycerze, przyszła wasza kolej, by mówić. Słyszeliście może, czy w ostatnich dniach nie miało tu miejsca żadne przerażające wydarzenie? – zapytał.

– Przerażające wydarzenie? – powtórzył Filip.

– Zmarł pewien człowiek, wcześniej jednak przepadł gdzieś bez śladu, a potem pojawił się w tym samym miejscu – odpowiedział Jan.

– Zmarł człowiek? – Druid zamknął oczy, jakby usiłował to sobie wyobrazić.

– Tak. Był to mistrz budowlany, któremu zlecono przebudowę tego kościoła. Od wczoraj dochodzimy przyczyn i okoliczności jego śmierci – wyjaśnił Jan.

– W takim razie bez wątpienia to ty jesteś templariuszem Janem, obrońcą Bernarda i rycerzem z nowych błogosławionych szeregów wojowników z Troyes. Wiele słyszałem o tobie i o waszym zgromadzeniu.

Rycerz, któremu w dniu inicjacji nadano przydomek Nieuświadomionego, aż podskoczył.

– Rzeczywiście, to ja jestem Jan. Skąd znasz moje imię, panie?

– Zwą mnie Gluk. Moim zadaniem jest opieka nad miejscami świętymi. Jestem derua i wywodzę się z długiej linii mędrców. Chociaż to, co robię w niektórych częściach kraju, jest zakazane, moją misją jest ochrona miejsc, w których oddawana jest cześć Marii Pannie.

Starzec wskazał na figurkę za swoimi plecami, wyjaśniając, że tego rodzaju wyobrażenia Matki Boskiej czczone były na długo przed przybyciem do Europy pierwszych chrześcijan. W rzeczywistości znane były na długo, zanim Maryja wydała na świat Jezusa.

– A co robisz tutaj, Gluku?

– Już powiedziałem. Poczulem, że ziemia zatrzęsała się dokładnie w tym

miejscu, i przybyłem na ratunek. Skoro jednak znajduję was tutaj, widzę, że moja obecność nie jest tak potrzebna, jak mi się wydawało. Ty, Janie, podołasz temu zadaniu.

– To nie takie pewne – wtrącił się Filip. – Mamy do rozwiązania tajemnicę czyjejś śmierci. Niestety, błądzimy jak dzieci we mgle, gdyż nie znamy motywów, jakie skłoniły grabarzy naszego nieboszczyka do pochowania go bez głowy. Ponadto nieszczęśnik ów został pogrzebany wraz z astrolabium, takim jak twoje. Muszę przyznać, że to czyni z ciebie pierwszego podejrzanego.

Gluk zawiązał worek z cennym instrumentem i księgą.

– Rozumiem – opuścił wzrok. – Ofiarą był mistrz Blanchefort, tak?

Filip poczuł mrowienie na plecach.

– A więc go znałeś.

– Owszem. Ale skoro dowiaduję się, że ukręcili mu głowę, to sprawa jest poważna. Czyżbyście nie wiedzieli, że wielu wtajemniczonym, a nawet bogom ścinano głowy, kiedy zamierzali zmienić porządek rzeczy? Był to pewny sposób, by ich raz na zawsze unieszkodliwić. Moi bracia i ja od wielu wieków zwalczamy te potężne złe siły, które nie chcą, by świat wyłonił się z otaczającej go gęstej mgły. Salome skłoniła swego ojczyma, Heroda, by ściął głowę Janowi Chrzcicielowi. Ta kobieta była jedną z nich. W Egipcie Set poćwiartował swego brata Ozyrysa i pierwsze, czego go pozbawił, to właśnie głowa, którą pogrzebał w okolicach Nubii. On też do nich należał. Później zaczęła go nazywać szatanem, co bierze początek właśnie od imienia Set. W Rzymie Tarkwiniusz Pyszny, ostatni król pochodzenia etruskiego, znalazł ludzką głowę w fundamentach świątyni Jupitera, którą budował, dlatego też zdecydował się nazwać to miejsce Kapitołem i poświęcić je ciemności, by nie stracić własnej głowy. Możecie mi wierzyć, cienie dotarły do Chartres, wyprzedzając światło, jakie niesie wasz zakon. Zabiły one mistrza de Blancheforta, by zrosić ziemię jego krwią i oddać ją mrocznym siłom. Musicie więc działać szybko i wypełnić waszą misję do końca. Sprowadźcie nowych budowniczych i dobrze ich pilnujcie!

– Trzeba powiedzieć o tym Bernardowi – orzekł Jan.

– Możliwe, że już wie – mruknął druid, poprawiając płaszcz i zarzucając sobie worek na plecy.

– Dlaczego tak mówisz?

– Rycerzu, czy nie ty przysięgałeś w Jerozolimie, że będziesz szukał

i bronił bram na zachodzie? Czyżby hrabia Szampanii nie zaufał twej sile i sprytowi, powierzając ci zadanie opracowania planu, w którym na miejscu każdej z bram zostanie wzniesiona świątynia, zamykająca je raz na zawsze? Bernard wie nie gorzej ode mnie, że dostąpiłeś wtajemniczenia dzięki swym zdolnościom i chęci działania.

– Ale, skąd ty... – wyjąkał Jan.

Nie wiedział, co o tym myśleć. Ten nieznajomy znał najbardziej tajne sekrety, o których nie wiedział nawet sam opat Clairvaux. Żaden pospolity mag nie posiadałby podobnej wiedzy, jeśli sam nie został wtajemniczony.

Gluk patrzył na rycerza z ogniem w oczach.

– To proste, mój drogi chłopcze – odrzekł. – Chociaż nigdy wcześniej mnie nie widziałeś ani też nikt ci o mnie nie opowiadał, ja jestem jednym z tych, którzy przygotowali ścieżkę dla tego, co dopiero ma nadejść. Bernard również jest jednym z nas. Podobnie jak hrabia Szampanii. Jesteśmy pionkami na olbrzymiej szachownicy, które małymi ruchami z pola na pole przygotowują grunt dla największej rewolucji w dziejach.

– A cóż takiego ma nastąpić?

– Do miejsca, w którym stoicie, zmierza ładunek. Opuścił on Jerozolimę parę miesięcy po twoim wyjeździe. Nigdy o nim nie słyszałeś. Strzegą go mężowie, z którymi podzieliłeś los pod Kopułą na Skale, i przybywa tu, by odnowić przymierze z Bogiem. Niektórych ze strażników tego ładunku znam od ich wczesnych lat dziecięcych, musisz bowiem wiedzieć, że niejednego wychowałem. I to oni zdradzili mi, jakiej misji podjąłeś się w Ziemi Świętej.

– Ale jak... – zaczął zdumiony Jan.

– W jaki sposób mi to powiedzieli? – przerwał mu Gluk. – Ja i opat Clairvaux dzielimy ten sam los. Nawet ja nie wiem wszystkiego. Na przykład – puścił do nich oko – nie wiedziałem, że przyjdiesz tu za mną. Ale skoro tu jesteś, to wydaje się oczywiste, że przyjmujesz misję, jaką ci powierzono.

– Moja misja jeszcze się nie rozpoczęła – zaprotestował młodzieniec.

– Ależ oczywiście, że tak! – odparł druid. – W konwoju, którego nadejście zapowiedziałem, jest cała potrzebna ci wiedza, by wprowadzić plan w życie. To na twoich barkach spoczywa odpowiedzialność za to, by zakiełkowało nasienie, jakie wiozą w swoich brzuchach wozy. Co więcej, pojąłem również, na czym polega moje zadanie, skoro spotykam cię w tym

miejscu: mam cię przygotować na najważniejszą chwilę, chwilę nadejścia ksiąg wiedzy. Są to dzieła, które zainspirowały mędrców do napisania innych wielkich dzieł, jak to znajdujące się w tym worku. Wszystkie one mówią o tym, że do nieba wstępuje się przez bramy, które są na ziemi.

– Bramy... – Jan był coraz bardziej poruszony. – Czy rzeczywiście jakaś brama jest właśnie tu?

– Jeszcze w to wątpisz, rycerzu z Avallonu? Pokażę ci ją, albowiem znajduje się ona tuż pod twym nosem – odrzekł Gluk, wydobywając z worka księgę.

Wyciągnął ręce i wypowiedział dziwne słowa, które poniosły się echem po całej krypcie. Kiedy echo ucichło, starzec szybko otworzył księgę mniej więcej pośrodku. Delikatny powiew łaskotał ich twarze i wprowadził w stan słodkiego upojenia. Jan opierał się, ale kiedy usłyszał ten sam brzęczący dźwięk, który przed trzema laty rzucił go na ziemię w Kopule na Skale, poddał się. Filip zasłonił uszy obiema rękami i patrzył, jak druid pada na twarz, nie wypuszczając z rąk księgi i laski z główką węża. Przed oczami giermka zaczęły przesuwać się obrazy z przeszłości: Gondemar, przemawiający nieznanym językiem, zwalisty de Montbard, wznoszący szablę i tnący na oślep powietrze, jakby chciał powstrzymać tę niewidzialną dziką siłę, która wychynęła Bóg raczy wiedzieć skąd, olbrzym de Saint Omer, któremu oczy nieomal wyszły z orbit, oraz szacowny hrabia Szampanii, trwający w modlitewnym zapamiętaniu.

– Wszelki duch! – krzyknął, ale jego głos zagłuszało coraz potężniejsze wycie.

– Tak! – ryknął druid. – Wstępujcie teraz! Bramy się otwierają!

To były ostatnie słowa, jakie usłyszeli z ust Gluka. Wydał zduszony okrzyk i zamilkł. Nagle kryptę spowiło niebieskie światło, a wkrótce potem coś oderwało ich od ziemi. Szarpnięcie było tak silne, jakby wessała ich trąba powietrzna.

Potem zapadła cisza.

OJCIEC PIERRE

Siostra Ines podparła się groźnie pod boki. Była oburzona, że ktoś z takim uporem, nie zdejmując palca z dzwonka, o tak późnej porze domaga się wpuszczenia do środka. Musiała mieć nadzwyczaj srogą minę, bo gość stojący w progu odruchowo zrobił krok do tyłu.

Takiego widoku siostra Brytfanka się nie spodziewała: niezapowiedzianym gościem okazał się mężczyzna, którego szpiegowała przez kuchenne okno. Teraz stał naprzeciwko niej i patrzył na nią badawczo. Takie spojrzenie onieśmieliłoby każdego. Zakonnica, którą nieco gryzło sumienie z powodu wścibstwa, poczuła, że na jej policzkach pojawia się rumieniec. Zanim minęło pół zdrowaśki, poczerwieniała jak malina.

– Czym mogę służyć? – wydusiła, starając się ukryć zmieszanie.

– Chciałbym zobaczyć się z ojcem Pierre'em, siostrzo.

Gość wypowiedział te słowa stanowczym tonem, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

– On mnie nie zna – dodał. – Proszę mu powiedzieć, że przychodzę w niezwykle ważnej sprawie.

Zakonnica uśmiechnęła się jak mogła najpiękniej i poprosiła gościa, by zaczekał na schodach, podczas gdy ona zapyta, czy ojciec Pierre może go przyjąć. Następnie zamknęła drzwi i podreptała truchtem na klatkę schodową. Po paru minutach otworzyła drzwi i zaprowadziła gościa do gabinetu ojca Pierre'a.

Za biurkiem siedział mężczyzna słusznego wzrostu, o masywnej budowie, z bujną szpakowatą grzywką opadającą na czoło niczym wodospad. Na widok otwierających się drzwi wstał i wyciągnął rękę do

gościa.

– Proszę wybaczyć ten nieporządek – odezwał się – ale przychodzi pan w nieco niedogodnym momencie. Kiedy piszę, piętrzą się wokół mnie sterty papierów i książek. Nie mam czasu, by to wszystko na bieżąco porządkować.

Zapowiada się całkiem nieźle, pomyślał Michel. Ksiądz okazał się osobą niezwykle otwartą.

– Proszę się nie przejmować – odpowiedział. – Nie zajmę ojcu zbyt wiele czasu.

– Byłbym wdzięczny...

Ojciec Pierre znów usadowił się za biurkiem i zaczął, aż gość powie, co go sprowadza. Mężczyzna o schludnym wyglądzie, ubrany w świetnie skrojony płaszcz od Armaniego, usiadł po drugiej stronie biurka i przedstawił się jako „inżynier astronom na garnuszku francuskiego rządu”.

– Nie uwierzy ojciec – zaczął – ale wplątałem się w jakąś mroczną historię. Wszystkiemu winne są fotografie tych terenów, jakie zrobił jeden z naszych satelitów. – Wytłumaczył krótko, na czym polega istota jego pracy i jak podczas rutynowych czynności odkrył coś, co wygląda na dość potężne i niekontrolowane emisje nieznannej energii, pochodzące z szeregu francuskich kościołów.

– Niekontrolowane emisje energii? – powtórzył ojciec Pierre, szeroko otwierając oczy. – Mieszkamy tu przez okrągły rok, tuż przy bazylice Świętej Magdaleny, i nie zauważyłem niczego nadzwyczajnego. Proszę tylko pomyśleć, naszą świątynię odwiedzają codziennie dwie, a nawet trzy setki osób, dzień w dzień.

– To musiało się zdarzyć dwa lub trzy dni temu – przerwał mu Temoin.

– Cóż – kapłan rozparł się wygodnie w fotelu – nie znam się na satelitach, ale można zaryzykować tezę, że te niepokojące zjawiska to jakieś miejscowe wyładowanie energii, może z nagromadzonego ciepła? Waszym urządzeniom udało się je akurat wychwycić w określonym czasie, a potem wszystko wróciło do normy. Ta okolica jest bardzo aktywna geologicznie, pełno tu gorących źródeł.

– Zrobiliśmy zdjęcia jeszcze raz i wynik był identyczny. Proszę spojrzeć.

Michel wydobyl z kieszeni zdjęcie Vezelay, to samo, które pokazał Bremenowi, i wyciągnął je w stronę księdza. Ten wziął ostrożnie zdjęcie i położył przed sobą na stole. Początkowo nie mógł się zorientować, na co

patrzy, ale po chwili zlokalizował kręty bieg rzeki Ceru i zobaczył osiedle na jednym z jej brzegów.

Gdy tylko rozpoznał pozostałości murów miejskich, plan ulic przypominający plaster miodu, niewielki lasek i plac, na którym wznosiła się bazylika, zrozumiał obawy gościa. Rzeczywiście coś tu się nie zgadzało. Na zdjęciu nie było bazyliki Świętej Magdaleny!

– Zauważył już ojciec?

Ojciec Pierre milczał zdezorientowany.

– Nie chodzi o subtelną ani niewidzialną energię – wyjaśnił Michel – lecz o coś, co zasnuwa konkretne miejsca.

– I w tym pańskim ośrodku naukowym nikt nie potrafi tego wytłumaczyć?

– Aktualna i oficjalna hipoteza brzmi, że to błąd soczewek satelity. Dokładnie zbadaliśmy tę możliwość i została ona stanowczo wykluczona.

– Rozumiem – pokiwał głową duchowny.

– Wiele osób mówiło mi, że powinienem przyjść z tym problemem do księdza. Dlatego tak bardzo zależało mi na naszym spotkaniu.

Pierre Dumont, od dwudziestu już lat oddany służbie jerozolimskiego bractwa monastycznego, nigdy nie widział niczego podobnego. Ani jako kapłan, ani jako radiesteta. Zadziwiająca była też zbieżność tej wizyty z niedawną wizytą ojca Rogelia. Przypomnił sobie jego młodą twarz, delikatnie wykrojone usta i białe zęby nad schludnie przystrzyżoną kozią bródką. Prawie słyszał jego głos, kiedy mówił: „Podążam za pewnym osobnikiem, który wkrótce tu przybędzie, domagając się widzenia z ojcem, i przedstawi dowód, jakiego ojciec ode mnie żąda”. Czy to jest właśnie ten człowiek?

A fotografia to dowód na istnienie diabelskiej energii, o jakiej mówił młody Rogelio? A jeśli ten tutaj inżynier jest w zмовie z Egipcjaninem i Bóg raczy wiedzieć, jakie mają zamiary? Zatopiony w myślach, ojciec Pierre pochylił się nad zdjęciem i skubiąc koloratkę, wymamrotał:

– Panie Temoin, czy wierzy pan w diabła?

– Przepraszam, nie dosłyszałem...

Zakonnik powtórzył pewniejszym głosem:

– Czy wierzy pan w diabła?

– Cóż, nie chcę, by zabrzmiało to niegrzecznie, ale już dawno przestałem wierzyć w Boga i w Kościół. Podejrzewam, że to z powodu

mojej pracy, stresu, odpowiedzialności... sam ksiądz rozumie.

– Zadałem panu to pytanie, bo my, którzy zgłębiamy tajniki radiestezji, wiemy, że wiele świętych miejsc zostało zbudowanych tam, gdzie emanowała w przeszłości bardzo intensywna energia ziemiska. Te enklawy, panie Temoin, zawsze miały jakiś związek z diabłem.

Pierre wiedział, że przywołanie diabła nie uszłoby uwagi ojca Rogelia, obserwował więc, czy teraz wywrze jakieś wrażenie na jego rozmówcy. Jeśli ci dwaj są w zмовie, inżynier musi jakoś zareagować.

– Radiestezja? Przykro mi, ale zupełnie się na tym nie znam.

– Och! – zakonnik nie potrafił ukryć rozczarowania – proszę wybaczyć. To termin, jakim określamy dyscyplinę badającą pewne prądy energetyczne przecinające Ziemię. Chińczycy znali je pod nazwą energii chi i dopiero w dziewiętnastym wieku niemiecki lekarz Ernst Hartmann stworzył teorię, zgodnie z którą owe prądy mają układ siatki i rozciągają się niby żyłki na całej Ziemi.

– Przepraszam, ale co ma tu do rzeczy diabeł?

– Cóż, w tym przypadku wszystko sprowadza się do legend. W Hiszpanii na przykład krążyła dość znana opowieść o tym, że król Filip Drugi rozkazał wznieść świątynię w San Lorenzo de Escorial na jednej z bram do piekła. Pieczętując ją tą imponującą budowlą, król zapewniał sobie uprzywilejowany dostęp do innego wymiaru i bezwzględną kontrolę nad ważnym źródłem wiedzy. Dzisiaj radiesteci, którzy dokonali dokładnych pomiarów tego obszaru nieopodal Madrytu, odkryli, że przebiega tamtędy jedna z najsilniejszych linii tellurycznych w Europie, legenda o piekielnych wrotach zaś powstała z powodu pewnych zjawisk optycznych, jakie wywoływało promieniowanie w tym miejscu.

Inżynier słuchał, z niedowierzaniem kręcąc głową, co ostatecznie przekonało księdza, że nic go nie łączy z ojcem Rogeliem.

– A czy... ktoś to badał? – zapytał w końcu Temoin.

– Owszem, proszę pana. Poświęciłem temu niemal całe życie. Różdzkarze wykorzystują swoją szczególną wrażliwość, by wychwytywać te prądy i wykorzystywać je do poszukiwania żył wodnych. Niektóre zwierzęta „porozumiewają się” z tymi sieciami, zanim wybiorą miejsce na swoją norę, a nawet, dzięki zastosowaniu współczesnych urządzeń elektronicznych, takich jak oscylografy, magnetometry czy liczniki Geigera, udało się wychwycić i obliczyć natężenie promieniowania.

– I uważa pan, że to właśnie znalazło się na naszych fotografiach?

Wzrok Temoina zatonął w czarnych oczach kapłana, który wciąż zerkał na dziwną jasną plamę zakrywającą na zdjęciu kościół Świętej Magdaleny.

– Być może... – mruknął ksiądz. – Istnieją badania, które dowodzą, że w miejscach bardzo aktywnych tellurycznie, którym w dodatku zwykle towarzyszą uskoki geologiczne i ruchy sejsmiczne o niskim natężeniu, czasem wytwarzane są kule świetlne zwane earth lights, „światła ziemi”. Jedno z takich światel o znacznej mocy mogło spowodować tę anomalię.

– Światła ziemi?

– Tak. To ognisko światła wyprodukowanego przez zjawisko piezoelektryczne, czyli prąd powstający przez ocieranie się o siebie skał o dużej zawartości krzemionki.

– Czy takie światła świecą przez długi czas?

– Zaledwie kilka sekund.

– Aha.

– Ale istnieje jeszcze jedna możliwość...

– Słucham.

Kapłan ponownie wziął zdjęcie Vezelay i zaczął wykład, któremu towarzyszyła żywa gestykulacja, z palcem wskazującym prawej ręki wymierzonym w niebo.

– Nasza planeta jest naturalnym nadajnikiem fal radiowych. Zwykle są to fale o niskiej częstotliwości, których nie odnotowują żadne urządzenia, chyba że emitowane są przez minerały mające właściwości piezoelektryczne, jak chociażby kwarc. Być może promieniowanie takie dałoby się wychwycić jak celowo wysłany inteligentny sygnał. Tyle tylko, że jedynie diabelską sztuczką dałoby się połączyć miejsca telluryczne i kwarc i móc kontrolować tę emisję tak, jakby był to alfabet Morse’a.

– Oczywiście to tylko żart? – powiedział poważnie Temoin.

– Naturalnie – uśmiechnął się ojciec. – Ale, ale, proszę powiedzieć, czy zwrócił pan uwagę, czy któryś z zamazanych punktów sfotografowanych z satelity jest jaśniejszy niż pozostałe?

– Być może Chartres. Albo Amiens. Dlaczego ojciec pyta?

– W takim razie jedno z tych miejsc musi być ogniskiem, czyli źródłem. Jeśli się nie mylę, pozostałe punkty na zdjęciu aktywowały się jak żarówki w sieci elektrycznej. Jeśli chce pan poznać tego przyczyny, musi pan udać się do każdego z tych miejsc, by przekonać się, które z nich stanowi główny

nadajnik. Ostatecznie Vezelay to tylko blade światełko w wielkiej sieci.

– Ojciec jednak mówi o energii ziemskiej, jak ją ojciec nazwał, tellurycznej, natomiast to, co zastanawia mnie najbardziej, to fakt, że punkty te układają się w kształt kosmicznej konstelacji na mapie Francji. Przypominają gwiazdozbiór Panny. Wiem również, że Vezelay to najbardziej wysunięte z opactw benedyktyńskich w Szampanii, a te z kolei ułożone są na kształt Wielkiej Niedźwiedzicy. Czy nie wydaje się to ojcu znaczące?

– Kto wie? – Zakonnik nie wyglądał na poruszonego tymi rewelacjami.
– Nigdy nic nie wiadomo... A, jeszcze jedno, jeśli miałoby to panu w czymś pomóc, to ja, owszem, wierzę w diabła.

Fugit [Fugit (łac.) – ucieka (przyp. wyd. pol)]

Nikt nie zauważył zaginięcia Jana de Avallon aż do przedpołudnia 24 grudnia.

Pierwszy zdał sobie sprawę, że coś się wydarzyło, brat Alfred. Kucharz, który dbał o żołądki braci, potrzebował silnego młodego mężczyzny, właśnie takiego jak de Avallon, by pomógł mu wnieść do spizarni ciężką szafę do przechowania specjałów szykowanych na wigilijną wieczerzę. Poszedł do izby Jana, ale na jego pukanie odpowiedziała cisza. Kiedy otworzył drzwi, okazało się, że pokój jest pusty.

– Dziwne, to posłuszny młodzieniec, nigdy nie oddała się bez uprzedzenia...

Brat Alfred przystąpił do poszukiwań, zaglądając do wszystkich kątów gospody, przekonany, że rycerz nie odszedł daleko (jego zbroja leżała w izbie). Niemniej Jana nigdzie nie było. Co ciekawe, jego siodło i cały rycerski rynsztunek, nie wyłączając świętego dwukolorowego sztandaru zakonu, również były na swoim miejscu.

Żaden rycerz nie ruszyłby bez nich w drogę.

W południe, kiedy słońce stało w najwyższym punkcie nieba, nie tylko brat Alfred, ale wszyscy mnisi i chłopcy stajenni szukali Jana po całej okolicy. Szybko się przekonali, że wraz z nim zaginął Filip, co znaczyło, że niechybnie coś im się przytrafiło. Nigdy wcześniej rycerz i jego giermek nie oddalali się, nie zgłaszając tego zamiaru opatowi.

Czy to nie im zlecono prowadzenie śledztwa w sprawie śmierci i okaleczenia zwłok Pierre'a de Blanchefort? Zanim nadeszło popołudnie, plotki i domysły posypały się jak z rozwiązanego worka.

Skoro ani w stajniach, ani w szynku nie było śladu po zaginionych, wszyscy zaczęli szemrać, że mord popełniony na majstrze budowlanym był pierwszym z wielu, że po nim dojdzie do kolejnych. Najgorsze, iż mogło to oznaczać tylko jedno: morderca znajduje się bardzo blisko. Ale, ale... gdzie podziały się zwłoki?

„Wyplyną na rzece”, zapowiadali złowieszczco niektórzy. „Odnajdą się zakopane w rowie przy drodze”, szemrali inni, żegnając się na wszelki wypadek.

Mijały godziny, w sercach mnichów narastał niepokój. Nikt nie widział,

by rycerz z giermkim wychodzili nocą ze swych izb, nie powiedzieli też niczego, co sugerowałoby, że wybierają się dokądś, by prowadzić śledztwo. Wyglądało na to, że zapadli się pod ziemię.

Opat Clairvaux, coraz bardziej niespokojny, przez cały dzień nie wychodził ze swej komnaty. Nie tknął jedzenia, a w końcu, pełen obaw, że stało się najgorsze, postanowił napisać list do biskupa Bertranda, by zdać mu relację z przebiegu wydarzeń.

Wahał się długo i rozmyślał, aż w końcu podjął decyzję. Biorąc pod uwagę, jak szczerzy był z nim biskup podczas ich ostatniej rozmowy i że uważał go za sojusznika w walce z wrogiem, nie widział innego wyjścia.

Śmiem niepokoić Waszą Eminencję – podyktował jednemu z zaufanych mnichów – gdyż mam wystarczające powody, by sądzić, że dwóch z mężczyzn, którzy podjęli się towarzyszyć nam jako obstawa wojskowa, mógł spotkać ten sam los co waszego mistrza budowlanego. Szukamy ich od rana, a jedyne, co znaleźliśmy i co napawa nas grozą, to niemal do końca wypalona gromnica w krypcie, które to miejsce przywołuje tak mroczne wspomnienia. To znalezisko nie może posłużyć za dowód, ale zważywszy na to, iż żaden z mnichów nie przyznaje się, by zanosił do kaplicy świecę, moje obawy narastają. Czy to nie od Waszej Eminencji dowiedzieliśmy się, że wasz mistrz budowlany zniknął w tym samym miejscu?

A czy po swym powrocie nie rozchorował się i nie umarł?

Bernard zakasłał, zanim podjął dyktowanie, ścierając chusteczką pot, jaki ze zdenerwowania obficie wystąpił mu na czoło.

Upraszam cię, biskupie – dyktował – dbaj, by krypta była dobrze zamknięta na klucz, by podobne nieszczęścia nie powtórzyły się przed zakończeniem naszego śledztwa. Skłaniam się ku myśleniu, że za tymi tragediami kryje się sam diabeł. Jak już raz powiedziałem, jedyny sposób, by go unieszkodliwić, to zgodnie z boskimi zamysłami, położyć na tym miejscu kamienie, które są już w drodze.

Twój oddany Bernard.

Złożył arkusz i odcisnął na kleksie z ciepłej laki swą pieczęć, po czym wręczył pismo bratu Andrzejowi, by ten osobiście zaniósł je do biskupa.

– Czy biskup nam pomoże, ojcze? – zapytał braciszek, zanim opuścił komnatę opata.

– Lepiej, by to zrobił, bracie – odpowiedział przygnębiony opat. – Jeśli nie zdążymy przystąpić zgodnie z planem do naszej budowy, zło rozprzestrzeni się na ziemi niczym niepowstrzymane. Czeka nas tysiąc lat

trwogi.

– Mario Przenajświętsza! Tysiąc lat! – wykrzyknął brat Andrzej i wybiegł z komnaty z listem w ręku.

Gloria [Gloria (łac.) – chwała (przyp. wyd. pol)]

Nowoczesne urządzenia zainstalowane w samochodzie z przyciemnionymi szybami i tablicami rejestracyjnymi Barcelony były nieomyślne. Zarówno odbiorniki fal ultrakrótkich z mikroamperomierzem, jak omomierz czy też magnetometr rezonansu protonów w identyczny sposób odczytały tę informację. Pojazd zaparkowany zaledwie trzysta metrów od kościoła Świętej Magdaleny, dokładnie za ulicą Świętego Bernarda, mrugnął reflektorami, kiedy kierowca dostrzegł w cieniu dębów znajomą sylwetkę.

Ojciec Rogelio przyspieszył kroku, kierując się do auta, skinął ręką komuś, kto znajdował się w środku, gdyż zaciemnione szyby nie pozwalały dojrzeć twarzy, i otworzył drzwiczki. Kiedy wsiadł, z zainteresowaniem przyjrzał się zielonym światelkom na tablicach pokazujących wzrost i spadek natężenia kontrolowanych pól, i westchnął.

– Bez zmian, prawda? – zagadnął. Jeden z dwóch operatorów, żylasty łysy Nubijczyk, Gerard, pokręcił głową. Był potomkiem egipskich imigrantów, od dwóch pokoleń mieszkających w Lyonie.

Duchowny wystukał kilka komend na komputerze i zaczął, aż na ekranie wyświetli się diagram porównawczy wszystkich pomiarów z tego dnia. – Pamiętasz, kiedy zaczęły się tak zachowywać?

– Dwa dni temu. Pierwszy zaalarmował nas stary oscylograf trzysta osiem, który zawsze ze sobą wozimy.

Ricard, Katalończyk, specjalista od telekomunikacji, poprawił okulary o soczewkach grubych jak denko butelki, zanim przystąpił do dalszych wyjaśnień. Przez całą noc nie zmrużył oka, a jego policzki pokrywał dwudniowy zarost.

– Bingo! – uśmiechnął się, przeciągając się w fotelu. – Czterdzieści osiem godzin temu kilkanaście miejsc we Francji i Hiszpanii, zwłaszcza w kwadrancie północno-wschodnim, zaczęło promieniować w sposób wręcz zjawiskowy. Nie wiem, skąd tak szybko się o tym dowiedzieliście ani czemu należy przypisać ten wzrost oddziaływania tellurycznego, ale tu szykuje się większa afera. Nie potrafię tylko zrozumieć, dlaczego CNES jeszcze nie interweniuje.

– Tym lepiej – przerwał mu ksiądz, zdejmując beret i odsłaniając długie,

czarne jak heban włosy. – A właśnie, czy Gloria wywiązała się z zadania?

Nubijczyk odwrócił się, a Ricard zakasłał nerwowo, jakby szukał właściwej odpowiedzi na to pytanie.

– Niezupełnie – odrzekł w końcu. – Widzi ojciec, weszła do pokoju Temoina, udając jego żonę, przeszukała wszystkie jego rzeczy i nie znalazła nawet wspomnienia po zdjęciach. Na pewno zabrał je ze sobą.

– A jak poszło z ojcem Pierre'em?

– Ostrzegłem go, ale nie przejął się zbytnio – odparł Rogelio.

– Czym niby miał się przejąć? – Gerard wzruszył ramionami.

– Rzecz jasna ostrzeżeniem, że mogą go osiągnąć odpryski wybuchu siły.

– Nie rozmawialiście o tablicach?

Nadal zgarbiony nad konsolą, ojciec Rogelio odwrócił się do Ricarda, jakby skupiając na nim spojrzenie, mógł go stopić niczym ołowianą kulkę.

– I zdradzić mu ich istnienie? Nie, bracie. Twoim zadaniem jest ich odszukanie i przewiezienie do naszego klasztoru... i tyle.

– Tablice! Tablice! – gderał Gerard. – Jaką wartość naukową mogą mieć tablice sprzed trzech tysięcy lat?! Na pewno w swoim klasztorze od dawna przechowujecie wszystkie teksty z nich skopiowane, a my marnujemy tylko czas.

– Nic nie rozumiesz. Ostatnim razem, gdy tablice wymknęły się spod naszej kontroli, został zaburzony porządek rzeczy ustalony od czasów pierwszych chrześcijan, a nawet wcześniej. Wiedza, która posłużyła do budowania świątyń ku czci Boga, nagle została przeinaczona i skażona i zainspirowała do bałwochwalstwa oraz profanacji miejsc świętych albo, co gorsza, zaczęła służyć interesom heretyków. A wiedza ta znajdowała się na tablicach.

Gerard skrzywił się, ale w milczeniu słuchał zakonnika.

– W nieznanym sposobie pewne fragmenty mądrości zawartej na tablicach, których nie potraktowano z należytą starannością, wymknęły się spod kontroli rycerzy świątyni, rozprzestrzeniając się po całej Europie.

– A jakie ma to znaczenie?

– Błóżnierco! – Sążnisty policzek zostawił czerwony ślad na twarzy Gerarda. Ojciec Rogelio, trzęsąc się z oburzenia, wysyczał: – Gdybyś zgłębiał pisma renesansowego pisarza Marsilia Ficina, wiedziałbyś, że od szesnastego wieku aż do dzisiaj budowano pomniki, a nawet całe miasta

naśladujące układ gwiazd, których łaskawość ludzie pragnęli pozyskać. Były one obmyślane jako gigantyczne talizmany, przypominające świątynie Boga, które jednak w rzeczywistości okazały się tylko nieludzkimi obelgami wobec mądrości Najwyższego i jego pragnienia bycia jedynym Bogiem prawdziwym.

– Czy to nie lekka przesada? Ostatecznie jeśli tablice są dziełem bożym, tylko czci bożej mogą służyć budowle nimi zainspirowane – próbował łagodzić sytuację Ricard.

– Nie, mój drogi Ricardzie, wcale nie przesadzam. Skoro fragmenty owej wiedzy z tablic, które wymknęły się w niewiadomy sposób, zdołały dokonać transformacji ludzkości, odwodząc ją od światopoglądu teocentrycznego na rzecz modelu antropocentrycznego (w którym przyszło nam żyć), wolę sobie nie wyobrażać, co będzie, jeśli dziś wpadnie w niepowołane ręce samo oryginalne źródło tej wiedzy!

Zakonnik zamilkł, słysząc znajomy szelest. Drzwi auta otworzyły się miękko i wsunęła się przez nie Gloria. W milczeniu skinęła kolegom na powitanie, po czym pocałowała pierścień ojca Rogelia.

– Wyjeżdża! – odezwała się w końcu.

Kozia bródka kapłana poruszyła się niespokojnie, zanim zapytał:

– A dokąd?

– Do Chartres. Przynajmniej tak powiedział właścicielce hotelu, regulując rachunek za pobyt.

– Zainstalowałaś mu nadajnik?

– Tak, w walizce. Będziemy mogli go śledzić, jeśli nie oddali się na więcej niż dziesięć kilometrów.

Gloria była ulubienicą ojca Rogelia. Jak na swoje dwadzieścia dwa lata, nie tylko zaskakiwała profesjonalizmem, nie miała też żadnych dylematów moralnych. Zresztą nie powinno to nikogo dziwić, było oczywiste, że biskup Teodor, w swej nieskończonej mądrości, wybrał najlepszy zespół do wspierania go w jego francuskiej misji.

ORLEAN

Z kobietami nigdy nic nie wiadomo. Tak myślał Michel Temoin, przechadzając się wśród samochodów zaparkowanych koło McDonalda, na stacji benzynowej przy szosie prowadzącej do Chartres.

Nie widział Letycji od wielu miesięcy i perspektywa spotkania jej sprawiała, że był rozgorączkowany jak sztubak. Wiedział, że to, co ich łączyło, nie wróci, jednak uczucie przyjemnego łaskotania w brzuchu, takie samo, jak w czasach, gdy czekał na nią pod budynkiem uczelni, przenosiło go w lata młodości. Czy bardzo się zmieniła przez ten rok?, zastanawiał się.

Pytanie było niewłaściwie sformułowane. Letycja przeobrażała się niczym kameleon. Lubiła co tydzień błysnąć nową fryzurą, jej paznokcie zawsze błyszczały innym lakierem... A charakter! Należała do osób, których nastrój zmieniał się jak w kalejdoskopie, dopasowując się do usposobienia rozmówcy. Dlatego otaczała się mężczyznami z charakterem, którzy nie reagowali na te zmiany i gwarantowali jej emocjonalną stabilność, neutralizując wzburzony ocean jej świata wewnętrznego.

Chociaż punktualność nie była największą cnotą Letycji, tym razem prawie nie musiał na nią czekać. O umówionej porze perłowszare bmw zaparkowało naprzeciwko jego auta, drzwi odchyliły się niby skrzela wielkiej ryby, wypuszczając ze środka jego byłą żonę piękniejszą, niż ją zapamiętał. Należała do kobiet, które czas omija wielkim łukiem. Długonoga, o jasnej cerze, naturalnych blond włosach – jak dobrze, że przestała je farbować! – i ruchach pełnych gracji, była świadoma swojego wdzięku i równie świadomie się nim posługiwała. Miała na sobie czerwoną garsonkę i bluzkę na ramiączkach, doskonale eksponującą jej krągłe kształty

i odsłaniającą ramiona, tyle razy pieszczone przez Michela.

Cmoknęła go w oba policzki, przeprosiła, że nie zadzwoniła do niego, kiedy nocował w hotelu w Vezelay. „Nie znalazłam dla ciebie niczego interesującego”, usprawiedliwiła się i trzymając go za rękę, poprowadziła do McDonalda.

– Niezłe miejsce na spotkanie po tak długim czasie – roześmiała się.

Michel postawił teczkę na krześle, zamówił dużą kawę bezkofeinową z mlekiem, ona zaś herbatę z cytryną. Usiedli naprzeciwko siebie, przy stoliku stojącym przy jednym z dużych okien i zaczęli rozmawiać. Z góry zastrzegli, że nie będą mówili o swoim życiu osobistym, a zwłaszcza o Marcelu. „Nie chciałabym cię zranić”, powiedziała Letycja.

– No więc? – zapytała, popijając herbatę. – Co cię tu sprowadza? Czyżby ten nerwus Monnerie nie mógł z tobą dłużej wytrzymać?

– O, pamiętasz jeszcze tego skurczybyka! – zdziwił się Michel.

– Jak mogłabym go zapomnieć? Widywałam go chyba częściej niż ciebie. To z nim załatwiałam różne sprawy w CNES, zresztą był jedynym, który zaszczycał swoją obecnością moje wykłady na uniwersytecie.

– Mógł sobie na to pozwolić. Jako szef, sam dysponował swoim czasem, nie tak jak jego podwładni.

– Trele-morele.

– Dobrze już – westchnął Michel, starając się nie drażnić Letycji. Nawet po latach rozłąki łatwiej przychodziło mu sprzeczać się z nią, niż prowadzić spokojną rozmowę. – Zmieńmy temat, dobrze?

– Jasne. Byłeś u ojca Pierre’a?

– Tak. Porozmawialiśmy sobie o diable i... właściwie to tyle – skłamał. – I szczerze powiedziawszy, nie potrafił rozwiązać żadnej z moich obaw. Sprawia wrażenie dziwaka.

– Dziwaka? Coś podobnego! Czyżby pokazał ci relikwie świętej Magdaleny? Są zadziwiające.

– Nie starczyło nam czasu. Zresztą nie wiedziałem, że tam są.

– A nie zastanawiałeś się, dlaczego to bazylika pod wezwaniem właśnie świętej Magdaleny? Wielu uważa, że w tym miejscu została pochowana kobieta, która była świadkiem zmartwychwstania Jezusa. O te relikwie już od paru wieków bazylika spiera się z kościołem Świętego Maksymina w Prowansji. Dzisiaj spoczywają za kratą, w krypcie, i zwykle ojciec Pierre chętnie się nimi chwali, ponieważ stanowią jego największą dumę.

– Dobre sobie... Kto wie, czyje to szczątki!

Letycja ugryzła się w język. Jeśli coś irytowało ją w jej byłym towarzyszcu życia, to lekceważenie, z jakim traktował wszelkie wątki historyczne w ich rozmowach.

– Nie musisz być taki złośliwy – zachnęła się. – Nie wiem, co takiego badasz dla CNES ani dlaczego uciekasz od Monneriego, ale jeśli ma to cokolwiek wspólnego ze średniowieczem, musisz się przyzwyczaić do pewnej rzeczy: w tamtych czasach nie liczyło się, czy historia była prawdziwa, czy nie, ważny był symbol, jaki się za nią ukrywał.

– W porządku – poddał się inżynier. – Nie kłóćmy się. Pozwolisz, że sprostuję: ja wcale nie uciekam przed Monneriem.

– Skoro tak mówisz...

Michel usiadł wygodniej na krześle obitym skajem, nie miał teraz ochoty rozmawiać o swoim zwierzchniku.

– A jaki, twoim zdaniem, symbol kryje się w legendzie o Magdalenie?

– Chociaż w twoich uszach zabrzmiał to nielogicznie, ma on wiele wspólnego z Egiptem.

– Ach tak?

– Jesteś zdziwiony?

– Cóż, wydaje się, iż rzeczywiście istnieją egipskie reminiscencje w chrześcijaństwie tamtej epoki. A zwłaszcza w Vezelay.

Temoin jednym łykiem dopił kawę, mamrocząc coś pod nosem.

Nie rozmawiali zbyt często na temat historii – podobnie jak o wielu innych rzeczach! – być może dlatego, że na tym polu Michel musiałby przyznać się do wyraźnych braków w wykształceniu. Nie był specjalnie zainteresowany historią ludzi, którzy zmarli tak dawno, że z trudem mógł objąć wyobraźnią tak długi czas. A jednak fakt, że Letycja wspomniała Egipt, zupełnie jak Bremen, „gorliwy przewodnik” po Vezelay przed portykiem świętej Magdaleny, kazał mu się mieć na baczności. Zagryzł wargę, by nie popełnić jakiegś gafy, i czekał na wyjaśnienia.

Letycja opowiedziała mu, nie szczędząc szczegółów, że według pewnej prowansalskiej legendy, zresztą powszechnie znanej, po śmierci Jezusa w Palestynie Maria Salome (matka Jakuba Starszego, tego od Composteli, i świętego Jana Ewangelisty), Maria Magdalena, Marta, wskrzeszony ze zmarłych Łazarz i jeszcze paru innych, wsiadło do łódki bez żagli i wiosł, którą wiatr zaniósł do Prowansji. Przybili do portu zwanego w dawnych

czasach Ra, nieopodal współczesnej Marsylii. Prawdopodobnie stamtąd wywodzi się kult Czarnych Madonn we Francji, któremu początek dały figury Izydy z Horusem przy piersi, sprowadzone z Aleksandrii. Wyszli na brzegu, którego nazwa od tamtej pory zmieniała się wiele razy. Dziś miejsce to nazywa się Saintes-Maries-sur-la-Mer.

– Jakiej symboliki doszukujesz się w tej legendzie? – przerwał jej Michel.

– Nietrudno wydedukować, że dwa tysiące lat temu do Francji dotarł bardzo silny egipski prąd religijny i utrzymał się na tym obszarze przez całe wieki. Potem przyswojony częściowo przez odłamy heretyckie, takie jak katarzy, a nawet zakony w rodzaju templariuszy, odrodził się na nowo między jedenastym a trzynastym wiekiem, zbiegając się z rozkwitem stylu gotyckiego w sztuce. Bardzo możliwe, że egipska sztuka budowlana, jaka przeniknęła do gotyckich katedr, wywodzi się z tej samej tajemniczej religii, gdyż jej podstawy matematyczne są identyczne z tymi zastosowanymi w świątyniach Egiptu w czasach Nowego Cesarstwa. Nie od dziś wiadomo, że egipscy kapłani byli doskonałymi matematykami.

– A nie wiesz, czy Egipcjanie wznosili budowle, których układ naśladował gwiazdozbiory?

– No, no! Nie spodziewałam się po tobie takiego pytania – uśmiechnęła się. – Odpowiedź brzmi „tak”, zdecydowanie tak.

– Proszę cię...

– To żadne odkrycie dla kogoś, kto ma pojęcie o wierzeniach starożytnych Egipcjan. Teksty piramid [Teksty piramid – niejednorodny zbiór religijnych tekstów kultu pośmiertnego, zredagowanych w Starym Państwie (przyp. wyd. pol)] chociażby, inskrypcje na ścianach budowli w Sakkarze sprzed trzech tysięcy czterystu lat szczegółowo relacjonują, że kiedy faraon umierał, jego dusza wznosiła się do nieba i zamieniała w gwiazdę. Egipcjanie wierzyli, że najpierw udaje się do Duat, miejsca na firmamencie, które dzisiaj utożsamiamy z konstelacją Oriona, i że była to brama do Amenti, miejsca, w którym przebywają dusze zmarłych.

– Brama?

– Oczywiście w przenośnym znaczeniu. Zmarli faraonowie z tego właśnie miejsca wyruszali w podróż pełną niebezpieczeństw, by dowieść czystości duszy i tego, że są godni honoru przemienienia się w gwiazdę.

– Słyszałem legendę o Tocie, który ważył dusze, zanim zdecydował, czy

posłać je do trzewi potwora, czy do nieba – przypomniał sobie Temoin.

Oczy Letycji zablęły.

– Właśnie!

– Tak czy siak, nadal nie rozumiem, jaki to ma związek z pomnikami ku jego czci.

– Otóż zgodnie z pewną bardzo współczesną teorią [Polecam książkę Roberta Bauwala Piramidy, brama do gwiazd (współautor Adrian Gilbert) oraz Strażnik tajemnic (współautor Graham Hancock) (przyp. aut.)] trzy wielkie piramidy na płaskowyżu Gizy, widziane z lotu ptaka, wykazują się tą samą orientacją i proporcjami, co Duat w gwiazdozbiornie Oriona. To tak, jak gdyby miały naśladować na Ziemi owe drzwi do zaświatów. Być może chodziło im o miejsce inicjacji, gdzie faraon uczył się, jak ma się zachować, kiedy już zacznie swoją ponadczasową podróż.

– Przyznaję, że brzmi to przekonująco. Jeśli będziemy trzymali się tego założenia, piramidy były swoistymi machinami do wskrzeszania, instrumentami zaprojektowanymi z myślą o ożywieniu faraona, podobnie jak Izyda przywróciła do życia Ozyrysa, poćwiartowanego przez jego brata Seta, złożony wszystkie części jego ciała. Tam właśnie faraon przygotowywał się do wielkiej podróży, stamtąd też, poprzez nieduże kominy otwarte w Wielkiej Piramidzie, „katapultowała się” dusza króla, jego ka, ku gwiazdom.

Michel szperał nerwowo w aktówce. W końcu wyjął kartonową teczkę zawierającą zdjęcia formatu A3.

– Pamiętasz Tajemnice katedry w Chartres?

Letycja zawahała się.

– Mówisz o jednej z książek, które zatrzymałeś dla siebie?

– Sama ją zostawiłaś – sprostował natychmiast Michel. – Ale tak, chodzi właśnie o tę książkę.

– Prawdę mówiąc, nie przeczytałam jej. Dlaczego o niej wspominasz?

– Szkoda, że jej nie znasz, bo opowiada ona o tym, że budowniczowie pierwszych francuskich katedr gotyckich, w gruncie rzeczy wszystkich wzniesionych do tysiąc dwieście pięćdziesiątego roku, zanim działalność inkwizycji osiągnęła apogeum, rozmieszczali je na Ziemi na podobieństwo konstelacji Panny, czyli Virgo, co mogło nawiązywać do Maryi Dziewicy. Czy nie brzmi to znajomo?

– Jasne – wyszeptała. – Tylko dlaczego ciebie miałyby interesować

podobne rzeczy?

– Otóż jeden z naszych satelitów sfotografował dziwne mikrofałe emitowane przez owe budowle. Nadal nie wiemy, jakie były tego przyczyny i wybieram się do Chartres, żeby to zbadać. Widzisz? Wszystko jest na tych zdjęciach.

Letycja, podobnie jak wcześniej Francois Bremen i ojciec Pierre, pochyliła się nad fotografiami z ERS-1, starając się zlokalizować miejsca tajemniczych emisji, o których mówił inżynier. Założyła okulary, które wyjęła z małej czerwonej torebki i uważnie przyjrzała się zdjęciom rozłożonym przez Michela na stole.

– Słyszałaś o jakimś efekcie architektonicznym, który mógł wywołać podobne zmiany?

Otworzyła szerzej oczy, zaskoczona.

– Stroisz sobie ze mnie żarty? Nie ja jestem inżynierem.

Temoin pokręcił głową, dając jej do zrozumienia, że ta uwaga zabrzmiała małostkowo.

– Podejrzewam, że ojciec Pierre opowiedział ci co nieco o swoich najnowszych ustaleniach radiestetycznych – powiedziała niezrażona Letycja.

– Byłam jego studentką. Nauczył nas, że starożytni wiedzieli, iż każda figura geometryczna, odpowiednio ustawiona, emituje swoje własne wibracje. Są to subtelne drgania, dzisiaj zwane falami formy, ale wątpię, by dały się uchwycić z kosmosu.

– Chcesz powiedzieć, że katedry to gigantyczne figury geometryczne?

– Składają się z niezliczonych kombinacji figur geometrycznych...

– A czy istnieje inna możliwość wyjaśnienia tego zjawiska?

– Raczej niewielka – zawahała się Letycja. – Prawdę mówiąc, w starożytności nie wspominało się o promieniowaniu mikrofał. A jednak...

– A jednak?

– Cóż, to tylko kolejne domysły. Na fasadach katedr Chartres i Amiens widnieje relief, który wyobraża Arkę Przymierza. To tak, jakby architekt chciał nam powiedzieć, że jego katedry stanowią nowe przymierze z Bogiem i że są nowszą wersją wehikułu do porozumiewania się z boskością, podobnie jak arka.

– Co z tego wynika?

– W biblijnej Księdze Wyjścia wiele wierszy poświęcono mocy arki. Nikt nie mógł się do niej zbliżyć, nie podejmując odpowiednich środków

ostrożności. Nie wolno było mieć przy sobie żadnych metalowych przedmiotów, gdyż inaczej istniało ryzyko zachorowania lub nawet zwęglenia się żywcem. Kojarzy się to nieco z promieniowaniem radioaktywnym, nie sądzisz?

– A gdzie teraz jest arka?

– W tym cały problem, nikt tego nie wie. Jedni uważają, że została skradziona w czasach Salomona i zawieziona do Etiopii, inni zaś, że w roku siedemdziesiątym naszej ery zagarnął ją Tytus. W owym czasie Rzymianie splądrowali Jerozolimę, przywłaszczając sobie część skarbów świątyni Salomona, w tym siedmioramienny świecznik, menorę. Niektórzy historycy utrzymują, że Arkę odzyskali templariusze i w tajemnicy przewieźli ją do Francji.

Zafascynowany Temoin przyglądał się Letycji. Była piękna i inteligentna, przypominała mu, że wciąż ma złamane serce.

– A ty ku której wersji się skłaniasz?

– Żadna nie jest pewna.

– Ja ku tej ostatniej. To tylko intuicja, wiem o tym, ale ja szukałbym w Chartres.

– Zabierzesz mnie ze sobą?

Michel spojrzał na nią przenikliwie.

– Cóż, chciałabym być obecna, kiedy będziesz dokonywał jakiegoś ważnego odkrycia. Zresztą, kto wie, może ci się do czegoś przydam...

– A Marcel?

– Umówiliśmy się, że nie będziemy o nim rozmawiali, pamiętasz?

Intra nos est [Intra nos est (łac.) – jest wśród nas (przyp. wyd. pol)]

Jan de Avallon zwijał się w ostrym ataku mdłości, któremu towarzyszyły skurcze żołądka i zawroty głowy. Przez parę niekończących się sekund, dryfując w nicości, rycerz walczył zaciekle o to, by nie stracić orientacji i postawić nogi na stabilnym podłożu.

Było to jednak niemożliwe. Otoczył go dziwny wir i uniósł w powietrze.

Coś lub ktoś gwałtownie pozbawiło go płaszcza i wszystkich metalowych przedmiotów, jakie miał przy sobie (klamry, arabskiego sztyletu, broszy, dwóch zapięć do butów i miedzianej bransolety, którą nabył w Antiochii). Nie zrobił tego ani Gluk, ani Filip – stracił ich z oczu, gdy tylko uwięził go słup ognia. Gdzie mogą być? Czy ich również porwała ta nadludzka siła? Bóg to czy diabeł zabawia się z nimi w taki sposób?

Kiedy przestał wirować i zdołał odzyskać równowagę, pierwsze, co do niego dotarło, to intensywny zapach, który przesycił całe otoczenie. Po chwili poczuł pod stopami ziemię. Powoli, jakby to był tylko zły sen, wszystko się uspokajało. Świst, który powalił go w kaplicy, wrażenie, jakby pętała go mocna jedwabna przedza, jakaś siła, która nie pozwalała mu otworzyć oczu, kiedy się wznosił – wszystko to zniknęło. Koszmar dobiegł końca. A może nie?

Posuwając się na czworakach, macając rękami gładką zimną posadzkę, Jan zaczynał widzieć i słyszeć. Początkowo wszystko wydawało się normalne, ale wkrótce uświadomił sobie, że mury okalające rzędy ław w apsydzie nie znajdują się na swoim miejscu.

Brakowało ołtarza, niszy w murze oraz tabernakulum.

Gdzie on jest?

Kiedy w końcu udało mu się szerzej otworzyć oczy i rozejrzeć, przeraził się. Chropowate ściany krypty, ołtarz, a nawet Czarna Madona królująca w świątyni, gdzie się ulotniły. Osamotniony, bo nigdzie nie było ani śladu po Gluku ani Filipie, Jan przyglądał się ze strachem temu przedziwnemu miejscu, w którym czuł się jak w pułapce. Znajdował się w obszernej komnacie o zaokrąglonych ścianach, bez pęknięć, drzwi czy spoin. Wszystko wyglądało jak wykute w jednym kamiennym bloku, jakby był uwięziony w klatce.

Nie znalazł niczego, na czym mógłby spocząć, światło zaś, blade i nieruchome, zdawało się bić od okalających go ścian.

– Wszelki duch...! – spróbował krzyknąć zduszonym głosem. – Jest tu kto?!

Odpowiedziała mu cisza.

Znów zawołał, tym razem odważniej. Na próżno. Zaczynało do niego docierać, że jest zdany na łaskę swoich porywaczy, jeśli oczywiście jacykolwiek porywacze istnieją.

Rycerz przypomniał sobie nagle potężne zaklęcia druidów. Być może Gluk go oszukał i skazał na zesłanie do jednej z krain, w których nie płynie czas i o których śpiewają trubadurzy. Może trzeba było słuchać Filipa, niezwykle podejrzliwego wobec druida, i nie dać się złapać w pułapkę. Albo co gorsza, czy nie znajdował się przypadkiem w tym przeklętym miejscu, nazywanym przez wieśniaków z Beauce Magonią, i skąd, jak utrzymywali, pochodziły demony, które straszyły ich córki dziewice i niszczyły zbiory?

Jan starał się uspokoić.

Przypomniał sobie złożoną przy Skale Abrahama przysięgę lojalności wobec zakonu ubogich rycerzy Chrystusa i starał się przywołać formułę ułatwiającą przywdzianie zbroi wiary, o której tak często wspominał Bernard. Cóż jeszcze może zrobić? Bez miecza ni kolczugi, bez maczugi ni tarczy, mógł tylko ufać, że Bóg da mu siłę, jak wszystkim ludziom, którzy stawiają czoło złu.

Zdążył zamknąć oczy, by szeptać modlitwy w tej pustej przestrzeni, kiedy usłyszał wyraźnie i głośno wypowiedziane zdanie, które odbiło się echem w jego głowie.

– Czy i ty będziesz walczył z naszym Bogiem?

Jan podskoczył.

– Nie obawiaj się – powiedział surowo głos. – To ja, Gabriel, ulubieniec naszego Pana. To ja zwiastowałem Najświętszej Maryi Pannie – ciągnął – że nasienie boskie zakiełkuje w jej łonie, i to ja pojawiłem się w snach Józefa, mówiąc mu, by uciekał przed Herodem do Egiptu. Czy podobnie jak Jakub chcesz mi się sprzeciwić? [Pytanie Gabriela przypomina jedną z najbardziej mrocznych tajemnic Starego Testamentu – walkę Jakuba z aniołem (Księga Rodzaju 32, 24-32). Po całonocnej walce istota boska prosi patriarchę, by pozwolił jej odejść. Ten zgadza się, ale tylko pod warunkiem, że anioł udzieli mu błogosławieństwa i zdradzi swoje imię. Anioł przystaje na

pierwsze żądanie, odmawia jednak spełnienia drugiego i mówi do Jakuba: „Od tej pory nie będziesz się nazywał Jakub tylko Izrael, gdyż walczyłeś z Bogiem z ludźmi i wygrałeś” przyp – wyd. pol)]

Oszołomiony templariusz otworzył oczy, usiłując odnaleźć źródło głosu. A jeśli umarł? A jeśli znajduje się teraz w przedsionku raju?

Nagle przypomniał sobie biblijny akapit, do którego zdawały się nawiązywać te pozaziemskie słowa – Jakub walczył z aniołem wysłanym przez Jahwe. Twardy patriarcha przetrwał walkę, lecz do końca życia kulał. W drodze do Charanu zobaczył drabinę do nieba. Chociaż pisma o tym milczały, miał on wystarczająco dużo odwagi, by się po niej wspiąć i zobaczyć to, co większość śmiertelników podziwiała dopiero, gdy odłączy się od swej cielesnej powłoki.

– Nie, Janie de Avallon, nie szukaj mnie oczami ciała znów zagrzmiał głos. – Musisz szukać mnie oczami duszy.

– Nie rozumiem – wyszeptał Jan.

– Nie wiesz, po co sprowadziłem cię aż tutaj? I dlaczego rozdzieliłem cię z twoim giermkim i druidem?

Rycerz nie odpowiedział.

– Wzniosłem cię aż do miejsca, które wcześniej dane było odwiedzić takim świętym mężom, jak Henoch i Ezechiel, a nawet sam Jakub. Bardzo przypominasz mi tego ostatniego, jesteś równie uparty i równie niepodatny na podniety zmysłowe i uczucia. Ale, odwrotnie niż tamten, ty już wiesz – bo przeszedłeś inicjację – że inni, na przykład Mahomet, przybyli do tego zakątka i radowali się w nim cudami stworzenia. Sprowadziłem cię aż do tego miejsca, by wyjawić ci coś ważnego, coś, co musisz wiernie przekazać podobnym sobie, ale dokonasz tego nie słowami, a czynem.

Dreszcz przebiegł po plecach templariusza. Im więcej wysiłku wkładał, by wykryć, skąd dochodzi głos, tym trudniej mu było to uczynić.

– Czy to, o czym mówisz, wiąże się z poszukiwaniem bram zachodu, które to zadanie powierzył mi mój pan, hrabia Szampanii?

Tym razem anioł nie odpowiedział od razu. Kiedy w końcu się odezwał, Jan usłyszał tylko jedno słowo, wypowiedziane z niezwykłą mocą:

– Zobacz!

Na jednej z białych ścian, dokładnie przed nim, pojawił się świetlisty punkt, który natychmiast zniknął. Jana otoczyła ciemność.

Po chwili jednak, kiedy źrenice rycerza przywykły do mroku, zaczął

odróżniać tu i ówdzie jaśniejsze punkty. Jarzyły się intensywnie, ale były bardzo drobne, w małych skupiskach, ułożone na kształt kolorowych wachlarzy, niczym gwiazdy na niebie. Wszędzie było ich pełno; nad jego głową, a nawet pod stopami, jak gdyby stąpał po szkle.

– Nie porusza cię wielkość stworzenia? – zapytał anioł.

– Porusza... – wyjąkał Jan.

– Wiedz, że każda z tych gwiazd jest taka sama jak wasze Słońce. Każda z nich przyciąga inne Ziemie, na których mieszkają ludzie tacy sami jak wy. Nie ma jednego centrum, od którego by zależały, albowiem środkiem kosmosu jest sam Bóg. Wiedziałeś o tym? Każde z tych światełek jest podporządkowane pozostałym. Połączone są niewidzialnymi prądami, jak siostry czerpiące życie z tej samej matczynej krwi. Przekazuję ci wiedzę – ciągnął Gabriel – którą cieszyły się liczne ludy w dawnych czasach, a którą objawiamy również prorokom. W niebiańskich miejscach, takich jak to, znajdują wytchnienie nieśmiertelne dusze ludzkie. Egipcjanie budowali dla faraona szlaki nad Nilem, by wskazać mu drogę ku przeznaczeniu. Wznosili piramidy wzdłuż linii naśladujących niebiańską drogę, ale tylko władcy mieli prawo w nich spocząć. Ja chcę, byś stworzył drogę do zmartwychwstania wszystkim wierzącym, wznosząc na ziemi nową bramę, przez którą wejdą do nieba. Moją misją jest przekazywanie wiedzy, jak budować owe bramy. Poczynając od Ezechiela, któremu udzieliłem wskazówek, jak wnieść świątynię, pierwszą świątynię dla narodu wybranego, i kończąc na tobie i twoich braciach, których nauczę wznosić bramy do nieba.

– Arabowie powiedzieli nam, że wytłumaczyłeś również Henochowi zasady budowania piramid – odezwał się nieśmiało Jan.

– Nie tyle jemu, co Imhotepowi, architektowi faraona, któremu wręczyliśmy, podobnie jak Ezechielowi, plany bram do zaświatów.

– Nadal nie pojmuję...

– Przyjrzyj się tamtemu skupisku gwiazd. Tam, po twojej prawej stronie.

– Mówisz o konstelacji w kształcie rombu, zwanej gwiazdozbiorem Panny?

– Virginis, tak jest. Jej gwiazdy wyznaczają nowe bramy do zaświatów, Bramy Panny. W czasach Imhotepa próg ten znajdował się w innej grupie gwiazd, Trzech Mariach, które Egipcjanie utożsamiali ze swym bóstwem

Ozyrysem. Budowali oni bramy naśladowujące Ozyrysa w pobliżu pustyni, których moc trwała, jak długo gwiazdy wyłaniały się tam, gdzie było to przewidziane, ale dziś muszą one zostać wzniesione zgodnie z nowym planem.

– Chcesz, bym zbudował odbicie niebiańskiego ciała Najświętszej Panny na Ziemi?

– Otóż to.

– Ale jak? Nie mam księgi, którą dałeś Imhotepowi, Henochowi...

– Dostaniesz ją – przerwał mu anioł. – Wszystko w swoim czasie. A kiedy trafi w twoje ręce sprowadzona ze Wschodu i Zachodu zarazem, będziesz umiał ją odczytać, bo ja cię tego nauczę.

– Zajmie to całe tygodnie, może nawet miesiące...

– Czas nie jest ważny. Gluk wszystko ci pokaże.

– Gluk? A co ma z tym wspólnego Gluk? – zdziwił się templariusz.

– To jeden z naszych wtajemniczonych. Jest ich wielu. Zwą ich Cieślami, bo to oni budowali sklepienia świątyń, a te, jak wiecie, symbolizują niebiosy. To oni posiadli wiedzę o firmamencie i ruchach gwiazd na nieboskłonie. Musisz pilnie się uczyć, by odczytać księgi, jakie przybędą do ciebie spod samych bram Jerozolimy. Przeczytaj je, zgłębiaj i ukryj, czekając, aż nadejdą czasy, gdy inni zasłużą na tę wiedzę.

– Co mam powiedzieć moim braciom, by uwierzyli w to, co mi się przydarzyło, Gabrieli? – wybełkotał oszołomiony Jan.

– Nie musisz niczego im mówić. Wystarczy, że wierzysz. Ale pokażę ci coś, czego nigdy nie zapomnisz.

– I będę mógł o tym opowiedzieć?

– Tak.

Archa foederis [Archa foederis (łac.) – Arka Przymierza (przyp. wyd. pol)]

Styczeń 1129, Dzień Objawienia Pańskiego. Nigdy jeszcze nie budowano we Francji tyle, co w owych czasach. Dziadkowie i rodzice rycerza Andrzeja de Montbard widzieli, jak mosty, wieże, spichrze, a nade wszystko kaplice, kościoły i katedry wyrastają niczym grzyby po deszczu, jak gdyby jeden ociosany kamień przyciągał następny ociosany kamień, lud zaś potrzebował wznosić budowle coraz okazalsze, by podziękować Bogu za jego łaskę.

Niewielu odczuwało skutki wstrząsu, jaki naruszył fundamenty Kościoła pod koniec X wieku, tuż przed obchodami końca 999 roku. Kiedy jednak wszystko się uspokoiło, cały świat chrześcijański, z Francją na czele, odetchnął z ulgą i radował się z nadejścia nowego tysiąclecia wraz ze sługami Bożymi, którzy ocalili życie i dziękowali za to Bogu. Srogi Bóg Ojciec pohamował gniew i jego nieskończone miłosierdzie napełniło ludzkie serca radością i nadzieją.

Andrzej, najmniej wykształcony z templariuszy, za to obdarzony najszlachetniejszym sercem, od wczesnych lat dziecięcych żył w przekonaniu, że nieuchronnie nadciąga zmiana na lepsze. Obserwował, jak wieśniacy zbierają coraz obfitsze plony, rodzi się coraz więcej dzieci.

Wiele lat później on sam się ożeni i założy rodzinę, zanim jednak wycofa się z szeregów wojowników, spełniwszy rycerską powinność, zdąży zobaczyć, jak jeden z jego bratanków, niejaki Bernard de Fontaine, stanie się jednym z najświetniejszych umysłów, jaki kiedykolwiek poznał świat. To on zdołał skłonić ośmiu mężów, by ratowali z Ziemi Świętej relikwię, o jakiej niewielu słyszało w chrześcijańskim świecie.

Andrzej pojechał do Jerozolimy i wyniósł ze świątyni Salomona całą bibliotekę wykutą w kamieniu, dzieła, które, jeśli wierzyć słowom Bernarda, napisał prorok Henoch pod dyktando jednego z aniołów.

Było to ponad trzysta tablic pokrytych tajemniczymi znakami geometrycznymi, które tylko nieliczni potrafili odczytać.

Tablic strzegło trzydziestu kilku żołnierzy, pod komendą pięciu spośród dziewięciu ubogich rycerzy Chrystusa, wyznaczonych do tej misji przez ich pana, hrabiego Szampanii. Koła siedmiu wozów, które przewoziły ładunek,

toczyły się ciężko na skrzypiących drewnianych osiach. Błoto i głębokie koleiny na drogach spowalniały jazdę.

– Jak sądzicie, co się stanie teraz, kiedy dostarczymy już ładunek? Czy to oznacza koniec naszej misji? – zapytał Gondemar d’Anglure. Na horyzoncie widać już było światła Chartres.

Tęgi wojownik de Montbard, ściągnając lekko konia, odpowiedział:

– Ha! Chyba nie wierzycie, że gdy już dostarczymy te tablice, wszystko się dla nas skończy? Przecież nawet tutaj ktoś musi ich strzec.

Gondemar odchylił się w siodle, by spojrzeć towarzyszowi w oczy.

– Właściwie trzeba je będzie dobrze ukryć – sprostował Andrzej – by ustrzec się przed ich mocą. Jeśli czytałeś Biblię, musisz wiedzieć, że te tablice są niebezpieczne.

– A w której to części Pisma Świętego cytowane są tablice Henocha?

– W żadnej – odburknął Montbard. – Za to w wielu miejscach mowa jest o innych tablicach, tych z zapisem prawa boskiego, jakie Mojżesz odebrał od Boga na górze Synaj, a które, jak się wydaje, nie były niczym innym jak częścią ksiąg Henocha. Sam wiesz, co nakazał Bóg: naszykować drewnianą, okutą złotem skrzynię i schować w niej tablice wraz z laską Mojżesza. Zabronił, by ktokolwiek, kto nie jest lewitą, podchodził do tej świętej arki. Kto nie posłuchał zakazu, ryzykował życie.

– A czemuż to?

– Nie wiadomo, jak niebezpieczna jest arka lub jej zawartość, ale na wszelki wypadek, odkąd odkryliśmy tablice z Jerozolimy, nikt nie zbliżał się do nich z jakimkolwiek metalowym przedmiotem ani ogniem.

– Z ogniem?

– Nie czytałeś, co przydarzyło się Nadabowi i Abiu, dwóm synom Aarona, brata Mojżesza, który miał strzec arki po jej zbudowaniu?! – wykrzyknął Andrzej.

Gondemar pokręcił głową.

– Gdybyś kiedykolwiek przeczytał Księgę Powtórzonego Prawa, musiałbyś zapamiętać, że ci dwaj nieszczęśnicy rozpalili naprzeciwko skrzyni ognisko, a Pan sprawił, że z Arki Przymierza wyszedł płomień, który ich pochłonął.

– Rzeczywiście, teraz przypominam sobie tę opowieść...

– A jak ci się wydaje, skąd wziął się ten pożerający wszystko żywioł? Z tablic!

– Może przez lata utraciły moc? – zastanawiał się Gondemar.

– Chcesz przekonać się o tym na własnej skórze? Zaryzykowałbyś podobną nieostrożność? Żydzi wciąż wierzą, że arkę chroniły siły nadprzyrodzone, sypały się z niej iskry, od których ludzie zamieniali się w węgiel, czasem nawet sama unosiła się w górę, bo w pobliżu na pewno nie było nikogo, kto by ją podniósł. Mówią nawet, że wyrzucała w powietrze wszystkich, którzy znaleźli się zbyt blisko niej [Wszystkie te cuda opisane są mniej lub bardziej szczegółowo w midraszach, świeckich komentarzach do Starego Testamentu, sporządzonych przez Żydów (przyp. aut.)]

– Na szczęście nasze tablice nie są tak groźne.

– Dzięki Bogu!

Janua Coeli [Janua Coeli (łac.) – Brama Niebios (przyp. wyd. pol)]

Konwój wkroczył do Chartres przez stary most na Eure około piątej po południu. Konie były zmęczone, na kopytach miały grudy zaschniętego błota, a ich grzbiety lśniły od potu. Jeźdźcy przedstawiali równie żałosny widok. Od wyjścia z Jerozolimy przebyli ponad trzy i pół tysiąca kilometrów. Byli bohaterami, ale ich ociężały pochód nie przypominał dumnego przemarszu krzyżowców Urbana II, których czyny wciąż pamiętał świat.

Nikt nie wyszedł, by ich powitać. Czy to dlatego, że ich kolczugi nie błyszczały w słońcu? A może dlatego, że wszyscy mieszkańcy miasta szykowali się do uczy, jaką wkrótce miał wydać król?

– Nie przejmuj się, Gondemarze – mówił olbrzym Gotfryd, zsiadając z konia. – Wierz mi, jest dla nas lepiej przybyć, nie wzbudzając zainteresowania, i odejść niepostrzeżenie.

Gondemar gładził się po brodzie, starając się ukryć rozczarowanie. Za przykładem towarzysza, zeskoczył z konia i prowadził go za uzdę.

Właściwie to nic dziwnego, że pojawienie się krzyżowców nie wywoływało już takiego poruszenia jak kiedyś. Lud wiedział, że Ziemia Święta od wielu miesięcy jest w rękach chrześcijan, i nie brakowało chwalipiętów, którzy opowiadali o swych bohaterskich czynach w obronie wiary. Wszyscy, od chłopów aż po najszlachetniejszych z możliwych, przywykli do widoku żołnierzy na szlakach.

Pałacowe rozmowy nie toczyły się wokół bohaterskich dokonań tego czy owego rycerza, a zainteresowanie mieszczan i dworzan wzbudzały jedynie opowieści o bogactwach Egiptu, a nawet całej Afryki, gdyż sposobiono się do wypraw handlowych w tamte rejony świata.

Jednak rycerzy wiozących tak cenny skarb nie powitał też biskup Bertrand i opat Clairvaux. Czy Bernard nie powinien oczekiwać ich przybycia jak majowego deszczu? Czy to nie mądry opat z Szampanii od dwóch tygodni słał posłańców, by upewnić się, że ładunkowi nic nie zagraża? Czy to nie on liczył dni do ich przybycia? A dlaczego nie wyszedł im na spotkanie nawet ich wierny towarzysz broni, Jan de Avallon, forpoczta tej świętej misji?

Nikt nie potrafił im tego wyjaśnić. W końcu zdrożeni rycerze doszli do

wniosku, że biali mnisi z południa i benedyktyni z L'Hôpitalot pochłonięci są jakimś ważnym zajęciem. Ludzie opowiadali, że widzieli, jak biegają w tę i z powrotem, krzycząc, jakby czegoś rozpaczliwie szukali.

Andrzej de Montbard pierwszy zaczął podejrzewać, że stało się coś złego. Podprowadził wozy pod samą biskupią wieżę i w towarzystwie czterech ludzi skierował się na kościelny dziedziniec.

Jeśli istnieje miejsce, w którym ktoś może im wyjaśnić, co tu się stało, to właśnie tam.

Cztery białe płaszcze przemierzyły brukowany plac, na którym królowała świątynia Matki Boskiej, i nie zwalniając kroku, zniknęły we wschodnim wejściu.

Zaden z templariuszy nawet nie podejrzewał, że krok w krok podąża za nimi, jak przez ostatnie dwa tygodnie, Rodrigo, szpieg Rajmunda de Penafort. Zdołał się ukryć, kładąc się płasko na dachu spichrza stojącego w rogu placu.

Kiedy czaił się tak, uczepony prowizorycznej konstrukcji z desek i lin, nawet przez myśl mu nie przeszło, jak niezwykłych wydarzeń będzie wkrótce świadkiem i ofiarą.

Wszystko stało się w mgnieniu oka. Kiedy odprowadził wzrokiem ostatniego templariusza, staruszek Foulko d'Angers, który żegnał się przed figurą Chrystusa, poczuł, jakby uderzył w niego piorun i przeszył go do szpiku kości. Strzeliło mu w stawach, przez ciało przebiegł lodowaty prąd, a kiedy okazało się, że nie może poruszyć żadną kończyną, przeraził się, że dotknął go nagły atak paraliżu.

Stary Foulko d'Angers nie usłyszał na szczęście trzeszczenia desek nad spichrzem. Tymczasem Rodrigo omal nie zginął ze strachu. Nigdy wcześniej nie doświadczył czegoś podobnego.

W jednej chwili po jego ciele rozeszło się mrowienie i dziwne łaskotanie, a oczy zaszyły mgłą. Zadrżał. Oddychał nierówno, serce biło urywanym rytmem. Gorączkowo szukał w głowie pierwszych słów modlitwy. Czuł się, jakby miliony mrówek chodziły mu po nogach, zostawiając na skórze ślady ukąszeń.

Poderwał się na kolana i zaczął strząsać z siebie niewidzialne owady, przekonany, że to diabeł mości się w jego duszy. Potem, kiedy ustały łaskotki, ponownie wyciągnął się na daszku, na wznak, rozpaczliwie łapiąc powietrze. Podniósł rękę do czoła i przekonał się, że jest mokre od potu.

Rodrigo był przerażony. A może poprosić o pomoc? Tylko kogo? Strażników pilnujących tablic?

Ze wzrokiem wbitym w ołowiane niebo, które zdawało się opadać na niego ciężko, Rodrigo leżał, drżąc na całym ciele.

Mrowienie zdawało się napływać z kościoła i wyraźnie czuł, że mrówki, które po nim przeszły, teraz ciągną go do środka.

Coś kazało mu iść do świątyni. „Pospiesz się, mówiło, bo nie zdążysz”.

Posłuszny temu głosowi jak owieczka prowadzona na rzeź, Aragończyk zeskoczył z dachu i pospiesznie skierował się do kościoła. Cóż to za potężny czar zmuszał go do porzucenia bezpiecznej kryjówki? Skąd ta odwaga, by stawić czoło czemuś nieznanemu, dostać się do miejsca tak dobrze strzeżonego przez ludzi hrabiego Hugona? Przeszedł koło wozów krzyżowców i wkroczył do kruchty.

Figury na płaskorzeźbach uśmiechały się do niego, a swędzenie zaczęło się ulatniać jak złe wspomnienie. Jego miejsce zajęło nieprzyjemne pulsowanie w uszach, wywołane świdrującym dźwiękiem. W środku, nieopodal okrągłej apsydy, w magicznym punkcie, w którym starzy budowniczości odzwierciedlili sklepienie niebieskie, odcinały się na tle szarego kamienia białe sylwetki Andrzeja de Montbard, Gondemara d'Anglure, Gotfryda de Saint Omer i czcigodnego Foulka d'Angers, których zdążył dobrze poznać, podążając ich śladem.

Zaden nawet nie drgnął. Okryci białymi płaszczami, w butach szytych ścisłym ścięciem, templariusze oczekiwali chyba na jakieś polecenia, gdyż stali niby słupy soli.

Czy się modlili?

Młodzieniec, poruszając się bezszelestnie, przyłączył się do kręgu i podobnie jak pozostali zakrył rękami uszy, starając się osłonić je przed ostrym świstem, jaki rodził się pod kopułą sklepienia.

Nagle pośrodku grupy templariuszy rozbłysnął świetlisty słup.

Jaskrawe i oślepiające, białe niczym księżycowa poświata i pulsujące światło trysnęło spod ziemi i odbiło się od stropu. Zdawało się żarzyć jak ogień, ale było gęściejsze, prawie namacalne.

– A wygląd chwały Pana w oczach Izraelitów był jak ogień pożerający wszystko na szczycie góry – wymamrotał Foulko fragment Księgi Wyjścia. – Mojżesz wszedł w środek obłoku i wstąpił na górę. I pozostał Mojżesz na górze przez czterdzieści dni i przez czterdzieści nocy.

- I uczynią arkę z drzewa akacjowego... – podjął niepewnie Andrzej.
- uczynisz przebłagalnię ze szczerego złota... – ciągnął Foulko.
- Uczynisz też stół z drzewa akacjowego, jego długość będzie wynosić dwa łokcie – przyłączył się Gondemar.
- Zrobisz też świecznik ze szczerego złota – zakończył Gotfryd de Saint Omer.

Z każdym kolejnym wersem ognisty słup płonął coraz jaśniejszym blaskiem. Słowa stopiły się w jeden szmer, a szare mury apsydy zaczęły zmieniać konsystencję, jakby to nie były twarde kamienie, a olbrzymie bloki wosku.

Rodrigo wpatrywał się w płonącą kolumnę, która świeciła jak słońce, ale nie oślepiła, i z której powoli wylaniał się kształt: śmigło albo wiatrak z zakrzywionymi skrzydłami, który obracał się w tym samym kierunku co koło we młynie, rozszerzając się z sekundy na sekundę. Na tle świetlnego słupa zarysowały się nagle wyraźnie skrzydła i trzy cienie, przypominające kształtem ludzkie sylwetki.

Postacie rosły szybko, aż zupełnie zasłoniły cały świetlny snop.

Stojąc z rozszerzonymi żrenicami i zaczerwienionymi oczami, nawet nie mrugnawszy, Rodrigo czekał na dalszy ciąg widowiska.

Nie mógł się poruszyć ani wymówić słowa.

Wtem rozległ się grzmot.

Kościół zadrżał i Rodrigo poczuł uderzenie nieokiełznanej siły.

Nigdy wcześniej nie odczuwał takiego ciśnienia. Stracił oddech, gdy podmuch rzucił nim o ścianę. Gdyby sam szatan wymierzył mu policzek, nie czułby się tak słaby jak w tej chwili.

Sekundę później, poturbowany i wciśnięty między ławki w nawie, wyciągnął szyję, by przypatrywać się scenie, której nigdy nie miał zapomnieć.

Zupełnie zniecka dwaj młodzi mężczyźni, z których jeden miał na sobie płaszcz templariusza, oraz starzec z siwą czupryną, padli zemdleni na posadzkę, jakby wypluł ich snop światła. Leżeli jak martwi, a pomarańczowy poblask wokół ich sylwetek powoli zniknął.

– Przecież to Jan de Avallon! – wykrzyknął Andrzej de Montbard.

– A to druid Gluk! – wymamrotał Gondemar, przecierając oczy, jakby budził się z głębokiego snu.

Początkowo nikt nie dostrzegł Rodriga, ale gdy Gluk, Filip oraz Jan

usiedli wreszcie w jednej z drewnianych ławek przy ścianie, olbrzym de Saint Omer natychmiast wyłowił z mroku jego sylwetkę.

– A któż to taki?! – ryknął.

Rodrigo, oszołomiony i ogłuszony uderzeniem, próbował się podnieść i coś wytłumaczyć, nie mógł jednak wydobyć głosu ze ściśniętego trwożą gardła.

PORTYK PÓŁNOCNY

Michel zostawił swój wóz w Orleanie i przesiadł się do bmw Letycji, by razem z nią pojechać do Chartres. Oboje wiedzieli, co ich czeka – przyjemne prowincjonalne miasto, stolica regionu, w którym od dziewięciu długich stuleci życie toczy się wokół znanego piwa i cudu architektury, fantastycznej gotyckiej katedry, dzieła genialnego anonimowego architekta.

Dotarli tam szybciej, niż się spodziewali. Rzuciwszy ledwie okiem na strzeliste wieże świątyni, zostawili samochód na parkingu w pobliżu centrum i skusili się na wyborne pave ramsteak au rochefort po 88 franków za porcję w pobliskiej restauracji. Cafe de la Serpent stanowiła idealną przystań dla odkrywców katedr.

Przynajmniej tak im powiedziano w miejscowej informacji turystycznej.

Usiedli przy stoliku z widokiem na wspaniałą południowy portyk Chartres. Odrzwia pod smukłym lekkim krużgankiem okalały rzeźby postaci z Nowego Testamentu, towarzyszące scenie Sądu Ostatecznego na środkowym tympanonie. W rzeczywistości dzieło to było jednym spośród niemal czterech tysięcy rzeźb zdobiących świątynię oraz pięciu tysięcy postaci, które ożywiają jej witraże.

Co ciekawe, jedno z najbardziej znanych przedstawień znajdowało się, nieco ukryte, na portyku południowym. Była to postać stojącego Chrystusa, który trzymał w lewej ręce książkę zamkniętą trzema pieczęciami i opierał stopy na głowach smoka i lwa. Le Beau Dieu [Le Beau Dieu (franc.) – „Piękny Bóg” (przyp. wyd. pol.)] katedry.

– Co to może znaczyć? Przychodzi ci coś do głowy? – zapytał inżynier, ujrzawszy reprodukcję tego dzieła na restauracyjnym menu.

– Cóż za pytanie – parsknęła Letycja. – To chyba nie wchodzi w zakres twoich badań, prawda?

Spojrzała na niego jasnymi oczami ze słodyczą, jakiej już prawie nie pamiętała. Piegi na jej twarzy poruszyły się zabawnie, kiedy się uśmiechnęła.

– W rzeczywistości mamy tu do czynienia z dwuznaczną symboliką – odpowiedziała w końcu, popijając miętową herbatę. – To swego rodzaju „pieczęć”, którą oznakowane są niektóre z ważniejszych katedr gotyckich tamtego okresu.

– Pieczęć?

– Tak, swoisty anagram znanego cytatu z Chrystusa: Ja jestem bramą. Jeśli ktoś wejdzie przeze mnie, będzie zbawiony, gdzie Jezus przyjmuje na siebie rolę gwiazdnej bramy.

– Gwiazdnej bramy? A te stworzenia pod jego stopami? – Michel wskazał figurki, na których opierał się Zbawiciel.

– To Chrystus triumfujący nad siłami zła, które symbolizują właśnie te zwierzęta. Jednak skoro na pozostałych dwóch portykach katedry, królewskim i północnym, znajdują się ważne symbole astronomiczne, o których znaczeniu nie ma sensu dyskutować, lew i smok mogą się odnosić do antycznych epok astrologicznych.

– A jakie to epoki?

– Era Lwa trwała do roku dziesięcioletniego przed narodzeniem Chrystusa, Smoka zaś, dla ludów Orientu, była mniej więcej współczesna erze Kota.

Michel uniósł brwi.

– A książka, którą trzyma? – zapytał.

– Może to egzemplarz Biblii, może Księgi Apokalipsy, która stanowi inspirację do powyższej sceny?

– A jeśli to egipska Księga Umarłych? Sama powiedziałaś, że Egipcjanie mogli pośrednio zainspirować podstawy sztuki gotyckiej, prawda?

– Ja tak powiedziałam?

– Tak. Kiedy ci tłumaczyłem, że w Vezelay pewien nieco ekscentryczny staruszek pokazał mi, iż zewnętrzny tympanon stanowi wierne odtworzenie jednej z najbardziej znanych scen z Księgi Umarłych. Tom trzymany przez Chrystusa może stanowić swego rodzaju symboliczny klucz, coś w rodzaju podręcznika postępowania w drodze w zaświaty.

– Hmm... – Letycja dopiła herbatę. – W czasach studenckich czytałam

wszystko, co mi wpadło w ręce, autorstwa niejakiego Rene Schwallera de Lubicza. Pisał on właśnie o symbolach egipskich. Doskonale się na tym znał, chociaż prawie nikt go nie rozumiał. Mówił na przykład, że reliefy w świątyniach nad Nilem nie powinny być interpretowane scena po scenie, czy też rząddek po rządku, jak robili to niemal wszyscy egiptolodzy, tylko tak, jakby stanowiły harmonijną całość. Co ciekawe, ty zrobiłeś to samo.

– Ja?

– Tak! Nie zdałeś sobie z tego sprawy? Powiązałeś książkę, jaka pojawia się w tym przedstawieniu, ze sceną wyrzeźbioną powyżej laskowania i „odczytałeś” ten zespół rzeźb jako jedną całość. To interesujące. Czy wiesz, że zaczynasz patrzeć na to wszystko, jakbyś sam był jednym z wtajemniczonych?

– Akurat! – prychnął Michel. – Wolałbym się dowiedzieć, czy to, co mówię, ma jakiś sens! W końcu to ty jesteś historykiem.

– Powinieneś wziąć pod uwagę pewien paradoks: jeśli katedra w Chartres została zbudowana podobnie jak budowle w Egipcie, by po śmierci przeprowadzić kogoś na drugą stronę, to dlaczego pod płytami posadzki nie pochowano żadnego biskupa, księcia ani króla? Nikogo! Więc kogo niby miała przeprowadzić?

– Cóż, z tego, co przeczytałem, wynika, że w piramidach też nigdy nie znaleziono żadnej mumii. A ten Charpentier utrzymuje, że piramidy i katedry zostały wzniesione według podobnych wzorów matematycznych. Paradoks nie stosuje się więc tylko do tego miejsca.

– Aha – uśmiechnęła się Letycja, odgarniając z twarzy kosmyk włosów. – Widzę, że zrobiłeś duże postępy, odkąd się rozstaliśmy.

– Co masz na myśli?

– Że zajrzałeś jednak do książek, które zostały w domu. W gruncie rzeczy koncepcja, iż piramidy nie były grobowcami, pochodzi od Arabów. Pierwsi kalifowie, którzy zainteresowali się tymi imponującymi budowlami, wierzyli, że to świątynie ku czci Izydy, w których dokonywała się inicjacja władców. Tak też, jak ci wytłumaczyłam w Orleanie, Izyda została zaadaptowana w chrześcijańskiej Europie jako Matka Boska, katedry więc mogą mieć podobne funkcje jak piramidy, gdyż są to świątynie poświęcone podobnemu kultowi.

– Brzmi to dość rozsądnie, ale Egipcjan i budowniczych katedr dzieli wiele cywilizacji: Grecy, Rzymianie, Arabowie... W jaki sposób wiedza ta

była przekazywana przez tyle wieków? I dlaczego wcześniej nie zaczęto wznosić budowli podobnych do tych gotyckich?

– Masz całkowitą rację. – Letycja sięgnęła po torebkę, by zapłacić za śniadanie, po czym poprowadziła Michela w stronę katedry.

– Powinieneś jednak wziąć pod uwagę, iż żadna z tych zmian nie nastąpiła błyskawicznie. Grecy zdominowali Egipt na trzy wieki, panował tam Aleksander i jego generałowie, Ptolemeusze. Przebudowywali świątynie i wznosili nowe miejsca kultu tam, gdzie w przeszłości stały inne przybytki religijne. Nauczyli się czytać hieroglify i w krótkim czasie przejęli wiedzę faraonów. Następnie Rzymianie uczynili z Egiptu jedną ze swoich prowincji, pierwsi chrześcijanie zaś, Koptowie, osiedli tam, dziedzicząc wiedzę przechowaną przez Ptolemeuszy. Ich własny Kościół będzie ich okrutnie prześladował, znacząc ich piętnem heretyków gnostyckich i potępiając wiele wierzeń ich przodków.

– Wspomina o tym Louis Charpentier w swojej książce. Pisze, że między wzniesieniem piramid a budową świątyni Salomona, a potem katedry w Chartres, upłynęło za każdym razem dwa tysiące lat, czyli tyle, ile trwa era astrologiczna. Naturalnie znaczy to, że każdy lud budował swoje świątynie zgodnie z pozycją odpowiednich gwiazd po to, by zaspokoić pewne potrzeby metafizyczne, o których dzisiaj już zapomniano.

– Zgadzam się z tobą. Starożytni nigdy nie robili niczego dla czystej przyjemności estetycznej. Wszystkie ich działania były niezwykle praktyczne.

– Praktyczne?

– Tak. Ale niekoniecznie w sensie materialnym. Mogli na przykład wznieść piramidy, by pokierować swoich zmarłych ku pewnym gwiazdom, ważnym w ich własnej mitologii, nieprawdaż?

– To jest myśl! – ucieszył się Michel. W końcu rozmowa weszła na grunt, na którym czuł się pewniej. – Ponadto wyjaśniałoby to, dlaczego piramidy i katedry mają zupełnie inną orientację, jeśli chodzi o strony świata.

Letycja wyglądała na zaintrygowaną.

– Dzisiaj astronomowie wiedzą – ciągnął Temoin – że żadna gwiazda nie tkwi nieruchomo na niebie. Dzieje się tak z powodu pewnego szczególnego ruchu ziemskiego, który nazywają procesją. Ziemia, jak wiesz, porusza się wokół własnej osi oraz wokół Słońca, stąd dni i pory roku.

– To rozumiem.

– Ten sam ruch sprawia, że gwiazdy widoczne na horyzoncie podczas każdej pory roku zmieniają swoje położenie i mniej więcej co miesiąc widoczne są inne konstelacje. To znikanie i pojawianie się gwiazd doprowadziło do określenia znaków zodiaku. Niemniej starożytni odkryli, że nasza planeta wykonuje jeszcze jeden nieregularny ruch, który sprawia, że oś podłużna ziemi odchyła się, przez co gwiazdy nigdy nie znajdują się w tym samym miejscu między jedną porą roku a drugą. Żadna gwiazda tego lata nie znajdzie się w tym samym miejscu za rok. W gruncie rzeczy, choć może ci się to wydać dziwne, przesuwają się o jeden stopień co siedemdziesiąt dwa lata, wchodząc i schodząc po horyzoncie w pełnych cyklach dwudziestu sześciu tysięcy lat.

– Z czego wnioskujesz, że...

– Skoro co dwa tysiące lat gwiazdy przesuwają się o prawie trzydzieści stopni, starożytni musieli dopasowywać orientację gwiazdną świątyń, budując je od nowa w różnych miejscach. W ten sposób mogli nadal odwzorowywać konstelacje na Ziemi.

Letycja przetrwała w myślach ten wywód. Nigdy, przez wszystkie lata wspólnego życia, Michel nie tłumaczył jej niczego z takim zapałem, ale też żaden z tematów, w które był zaangażowany, nie wydawał się jej wówczas ciekawy. W dodatku sam Michel nigdy nie wykazywał najmniejszego zainteresowania jej niepokojami metafizycznymi ani lekturami. Teraz zaś, niespodziewanie, ich pasje spotkały się.

– W takim razie, o ile dobrze zrozumiałam, twierdzisz, że aby poznać cel budowania katedr, najrozsądniej będzie powiązać je z ich bezpośrednią poprzedniczką, czyli świątynią Salomona... prawda?

– Oraz z arką! – Michel w skupieniu gryzł zausznik okularów. – Czy to nie ty powiedziałaś, że templariusze mogli czerpać wiedzę na temat budowy świątyń z pewnych dokumentów przechowywanych w arce?

Letycja, rozbawiona, przytaknęła. Dochodzili już do portyku północnego, który tonął w popołudniowych cieniach. W dodatku uważnie mnie słucha, stwierdziła w duchu.

O tej porze ich spacerowi towarzyszyło tysiąc i jeden aromatów, jakimi wiosna spowijała dziewiętnastowieczne ogrody wokół klasztoru Notre Dame. Dotarli pod arkady, na których widniało dwanaście znaków zodiaku, Letycja doszła do wniosku, że warto postawić na Michela. Chociaż

jadąc na to spotkanie, nie planowała, że ich rozmowa potoczy się w takim kierunku, łaskotki w brzuchu dawały jej do zrozumienia, że to dobry moment, by jeszcze bardziej wpłynąć na byłego męża.

– Zdaje się, że Biblia nie należała do twoich ulubionych lektur – rzuciła od niechcienia, starając się, by nie zabrzmiało to protekcyjnie.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Bo gdybyś czytał ją uważnie, już dawno byś sobie przypomniał, że Mojżesz uciekł z narodem wybranym z Egiptu, gdyż prześladował go faraon, i uniknął represji tylko dlatego, że Bóg pogrzebał wojska władcy na dnie Morza Czerwonego. Pomyśl, dlaczego faraon tak się uwziął i prześladował niezbyt liczną grupę wygnańców?

Michel nie odpowiedział. Letycja emanowała magnetyzmem, który tak oszołomił go wiele lat temu. Zacisnął zęby i pozwolił jej mówić dalej.

– Możliwe, że Mojżesz ukradł jakąś ważną tajemnicę religijną lub naukową, a może mityczne Tablice Szmaragdowe Hermesa, które zamknął w Arce Przymierza, jako rzekome przykazania odebrane od Boga. W takim przypadku żaden władca nie szczędziłby wysiłków, by złapać złodzieja.

– Tablice Hermesa?

– I cóż cię tak dziwi? Średniowieczni mistrzowie, budowniczowie tych murów, cytowali często jego słowa skierowane do Asklepiosa, w których wyjawiał on, do czego służą te księgi.

Michel nawet nie mrugnął, pozwalając, by Letycja dokończyła swój wywód.

– Czyżbyś nie wiedział, że Egipt jest kopią nieba? – I zacytowała z powagą: – Lub raczej miejscem, w którym przekładają się i odbijają tu, na dole, wszystkie działania rządzące i uruchamiające siły niebiańskie?

– Znasz to na pamięć! – powiedział z podziwem.

Letycja nie odpowiedziała, tylko z wdziękiem weszła po schodach wiodących pod zadaszenie północnego portyku, obróciła się i wskazała jedną z kolumn.

– Arka Przymierza niesiona do Chartres. Kapitele portyku północnego – Widzisz? To arka opuszczająca Jerozolimę.

Michel, zaskoczony erudycją swojej byłej żony, szeroko otworzył oczy. Rzeczywiście, na niewielkich kapitelach widniała płaskorzeźba, której nie można było pomylić z niczym innym: wóz, a na nim podłużna skrzynia z takimi samymi pieczęciami co księga trzymana przez Chrystusa

z południowego portyku. Następna płaskorzeźba, bardzo zniszczona, przedstawiała wiele postaci w tunikach lub płaszczach, stojących wokół tej samej arki z wyrazem czci lub unizoności na obliczach. Pod obydwooma obrazkami zaś tego „komiksu” widniało łacińskie zdanie: Hic amittitur Archa cederis.

– Co to znaczy? – zapytał Michel, przesuwając opuszkami palców po napisie.

– Mniej więcej: „Oto arka, którą masz wręczyć”.

– Wręczyć? Komu?

– Temu, kto na to zasłuży – odpowiedziała Letycja enigmatycznie. – Oczywiście zawsze można zakładać, że cederis to zniekształcenie słowa foederis, „przymierze, sojusz”, a w takim przypadku zdanie brzmiałoby „Oto Arka Przymierza”.

– A co to za postacie?

– Prawdopodobnie właśnie odbiorcy arki, a tym samym ksiąg Hermesa, które podróżowały w jej wnętrzu. Ksiąg, które, jeśli przeczytasz napisy na kapitelach, znalazły się w rękach nieznanego adresata, gdy tylko tu dotarły.

– W czyich rękach? Templariuszy?

– Ty to powiedziałeś.

Ostatnie zdanie Letycji zabrzmiało głośno i wyraźnie w słuchawkach Ricarda. Na widok jego zdziwionej miny Nubijczyk, który parę godzin wcześniej wychwycił nowy, zadziwiająco czysty sygnał, pochodzący najwyraźniej z wyjątkowo silnego nadajnika zainstalowanego w rzeczach osobistych Michela przez kogoś, kto nie należał do ich zespołu, poruszył się niespokojnie na tylnym siedzeniu auta.

– Należy działać bez zwłoki – zawyrokował z poważną miną. – Nie wiem, kim, do diabła, jest ta kobieta, ale jestem przekonany, że lada moment wyjawি naszemu „ptaszкови” dokładnie to, czego nie chcemy mu zdradzić.

– Jesteś pewny, Gerardzie? – Katalończyk popatrzył na niego zatroskany, pilnując, by magnetofon nadal zapisywał rozmowę, która toczyła się zaledwie ulicę dalej.

– Nie jestem pewny, ale moim zdaniem ojciec Rogelio kazałby zastosować natychmiastowe środki zapobiegawcze.

– Zaniepokoiły cię jego słowa o Hermesie, prawda?

– Tak. Zwłaszcza te o Hermesie.

Z winy tej nieznajomej sytuacja w każdej chwili mogła wymknąć się spod kontroli. Katalończyk dał znak Glorii, by uruchomiła silnik auta.

Renault espace zamruczał parę razy, po czym posłusznie ruszył po obwodzie niedużego skweru naprzeciwko kościoła i wolno podjechał do północnego portyku. Kiedy minął numer 21, gdzie biorą początek schody prowadzące do wysokiego tarasu przed sklepem z antykami i herbaciarnią (Curiosite et Gourmandises), boczne drzwi samochodu się rozsunęły.

Nikt nie widział, jak parkują przy podcieniach. O tej porze nawet sklepy z pamiątkami były zamknięte na cztery spusty.

Tylko Letycja i Michel przyglądali się zaskoczeni, jak atletycznie zbudowany mężczyzna o ciemnej skórze jednym susem pokonuje schody i staje tuż przy nich. W jego prawej ręce błysnął glock kalibru dziewięć milimetrów z tłumikiem.

– Nie ruszać się – syknął i utkwiał ponure spojrzenie w Letycji, co wskazywało, że to ona jest jego celem. Michel zaczął trząść się ze strachu.

– Tym razem się pospieszyliście – wyszeptała Letycja.

– Znacie się?

– Tak, od dawna.

Temoin oniemiał.

W co, do cholery, zamieszana jest ta kobieta?, zastanawiał się.

Nagle przyszło mu do głowy najgorsze: Marcel, mąż Letycji, umierający z zazdrości po jej ucieczce, nasłał za nią tego zbira.

Tylko jakim sposobem tak szybko ich znalazł?

Gerard tymczasem wskazał kobiecie drogę do samochodu i obdarzył Temoina morderczym spojrzeniem. Ku zdziwieniu Michela, Letycja posłusznie podążyła we wskazanym kierunku.

Zanim zeszli po schodach, zdążyła się nawet z nim pożegnać.

– Idź do Charpentiera – dodała. – I każ, by mnie odnaleźli.

– Char... pentiera?

– Do fundacji... – Nie dokończyła, bo czyjeś ręce wciągnęły ją do auta.

Za nią wsiadł Nubijczyk, ale nim zamknął drzwi wozu, rzucił do Michela:

– Nie wracaj tu, bo zginiesz.

Trzęsąc się ze strachu, Michel usiłował znaleźć jakąś ścianę, o którą mógłby się oprzeć. Na szczęście stał tuż przy jednej z kolumn.

Zdenerwował się tak bardzo, że pot spływał mu po wąsach.

Chwilę później auto zamieniło się w znikający na drodze punkt.

Osamotniony zakątek zabudowań katedralnych spowiła złowróżbna cisza.

Upłynęło sporo czasu, zanim Michel pomyślał o zawiadomieniu policji.

POLA ELIZEJSKIE

Przysadzisty mężczyzna, ubrany w doskonale skrojony garnitur w kolorze szaroperłowym, obciął końcówkę trzeciej hawany tego popołudnia, czekając na wiadomość od sekretarki. Za przeszkloną ścianą roztaczał się widok na Miasto Światła. Było jeszcze wspanialsze niż wyśniona metropolia Ludwika XIV, kiedy w 1667 roku zlecił swojemu pejszażyście, by przebudował stolicę.

Okna gabinetu wyłożonego mahoniem wychodziły na Łuk Triumfalny. Pomnik dzielił na dwie części szeroką aleję między imponującym łukiem la Defense a obeliskiem Zgody oraz szklaną piramidą Luwru.

Usytuowany pod inną piramidą (tym razem z żelaza) budynek, z którego okien mężczyzna delektujący się hawańskim cygarem panował wzrokiem nad całym Paryżem, przypominał gigantyczny farański obelisk z Luksoru, stojący teraz na placu Zgody. W ciągu ostatnich lat zbudowano wiele podobnych wieżowców: w Madrycie pod numerem 110 przy rozległej alei Paseo de la Castellana, w sercu nowojorskiego Manhattanu, w Rzymie, Londynie i w Berlinie. Gdziekolwiek się ruszyć, na całym świecie nie ma stolicy czy siedziby władz, która nie szczyłałaby się taką właśnie piramidą lub obeliskiem.

Grubas napawał się wspaniałym widokiem. Pewien genialny architekt, bez wątpienia czarodziej, zdołał zmieścić wzdłuż sześciu kilometrów prostej alei Charles'a de Gaulle'a Pola Elizejskie, Tuileries, Łuk Triumfalny, Carrousel i pałac Luwru. A wszystko to ku chwale kolejnych pokoleń. A wśród tego, niczym orientalne rośliny, wyrastały dziesiątki symboli władzy, wymyślone trzydzieści wieków przed Chrystusem i rozmieszczone

z niewiarygodną precyzją.

– Proszę pana – rozległo się z interkomu. – Gość, na którego pan czeka, właśnie przybył.

– Wprowadź go – odparł grubas, zadowolony. Wszystko układało się tego dnia po jego myśli.

Drzwi do gabinetu otworzyły się i zaraz zamknęły z delikatnym trzaśnięciem. Szczupły niewysoki mężczyzna o ostrych rysach twarzy i niezbyt starannie utrzymanej brodzie, wszedł do środka, odnotowawszy w myślach, że układ wskazówek zegara ściennego jest zsynchronizowany z ułożeniem węzła jego krawata. Niósł pod pachą teczkę pełną papierów, niedbale przewiązaną gumką. Wyglądał na zdenerwowanego.

– Domyślam się, że pan Jacques Monnerie – przywitał go grubas, zapalając cygaro złotą zapalniczką i chowając gilotynkę do górnej szuflady biurka.

– Cieszę się, że mogę pana w końcu poznać, panie Charpentier – odpowiedział tamten. – Nie wyobraża pan sobie, jak bardzo nasza instytucja docenia pański szczodry mecenat i wrażliwość.

Dyrektor CNES wyciągnął rękę w stronę gospodarza, ale natychmiast cofnął ją zawstydzony, gdy uświadomił sobie, że ta druga dłoń nie wyszła na spotkanie tej pierwszej. Charpentier, bez śladu uśmiechu, wskazał gościowi miejsce.

– Tuluza leży dość daleko stąd, prawda? – zapytał, gdy gość usiadł.

– Tak, dość daleko – przytaknął zdenerwowany Monnerie.

– Bywał pan wcześniej w Paryżu?

– Naturalnie, proszę pana. Studiowałem tu. Chociaż przyznaję, miasto bardzo się zmieniło. Skończyłem studia w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku, a potem świat przestał dla mnie istnieć, długo nie wiedziałem nawet o wydarzeniach maja sześćdziesiątego ósmego. Moje laboratorium w Tuluzie stało się moim domem.

Meteor Man pogłaskał swoją teczkę, w milczeniu rozważając, czy od razu poruszyć ważne kwestie zawodowe, czy lepiej zaczekać na odpowiedniejszy moment. Postanowił być rozsądny i czekać na zachętę gospodarza. Nawet nie miał odwagi wyjąć swoich własnych cygar. Pan Charpentier, sprawiając wrażenie nieco roztargnionego, zadawał mu nieistotne pytania, nie mające związku ze sprawą, w jakiej przyszedł Monnerie.

– A był pan choć raz w Bibliotece Narodowej? – zapytał. – No tak, domyślałam się, że pan był tam, z pewnością. Ale czy trafił pan do Gabinetu Medalii i Monet?

Monnerie milczał.

– To szkoda. Doprawdy, wielka szkoda. Z tej też przyczyny nigdy nie zwrócił pan uwagi na podobny eksponat, nieprawdaż?

Grubas wyciągnął w jego stronę pulchne serdelkowate palce, ozdobione złotymi pierścieniami, podając Monneriemu coś, co wyglądało na medalion o czterocentymetrowej średnicy. Na awersie widać było napisy po łacinie i kobietę z ptasią głową, podtrzymującą lustro przed monarchą siedzącym pod baldachimem oraz rozebraną damę naprzeciwko, trzymającą serce i rodzaj grzebienia w drugiej. Monnerie dostrzegł jeszcze szereg symboli astrologicznych.

– Nigdy wcześniej nie widziałem niczego podobnego. – Inżynier gładził kawałek metalu z niepewną miną. – Cóż to takiego? Jedno z tych cudeniek sprzedawanych przez mistrzów tarota nad brzegami Sienny?

Charpentier popatrzył na niego z przyganą.

– To ponadczterystuletni amulet, panie Monnerie, a nie jakaś tania błyskotka. Jego wartość historyczna jest bezcenna, chociaż, naturalnie, to co trzyma pan teraz w ręku, to tylko znakomita replika [Oryginał rzeczywiście znajduje się w Gabinetecie Medalii i Monet paryskiej Biblioteki Narodowej, z etykietą numer 3, skatalogowany w kategorii „medaliony-talizmany”. Wykonany jest z czerwonego brązu, z obwódką z miedzi i cynku, z cząsteczkami antymonu i srebra (przyp. aut.)]. A wie pan, co jest w tym wszystkim najlepsze? Że eksperci potwierdzili, iż należał on do królowej Katarzyny Medycejskiej i że najprawdopodobniej został wybity przez samego Michela de Notredame, słynnego w owych czasach medyka i wróżbitę, powszechnie znanego jako Nostradamus.

– Chyba nie wierzy pan w przepowiednie i podobne historie? Po tym, jak obwieścił datę końca świata na jedenastego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku i nie...

– Czy wierzę? – zanim przerwał Monneriemu, grubas zaciągnął się głęboko cygarem. – To słowo nie występuje w moim słowniku, panie inżynierze.

– Jak mam to rozumieć?

– Pokazuję to panu, by się pan „dowiedział”, a nie „uwierzył”. –

Charpentier wymówił te słowa z emfazą, subtelnie sugerując gościowi, by czytał między wierszami. – Gdyby się pan dobrze przyjrzał, zauważyłby pan, że na awersie wyryto mapy różnych konstelacji. Tu jest „W” Kasjopei, romb Panny, symbole alchemiczne Wenus i Merkurego. Podejrzewam, że ich pozycje również niewiele panu powiedzą, prawda?

Jacques Monnerie założył okulary i jeszcze raz badawczo przyjrzał się medalowi. Tym razem próbował uprzedzić wyjaśnienia swojego gospodarza. Chociaż historia z całą pewnością nie była dziedziną, która frapowałaby go choć w połowie tak, jak badania naukowe, w tej chwili żałował, że jej znajomością nie dorównuje swojemu mecenasowi. Trudno będzie nadążyć za nim w tej grze.

– Pomogę panu – uśmiechnął się złośliwie Charpentier. – Proszę sobie wyobrazić, że ta naga kobieta to Ziemia, którą symbolizuje grecka bogini Gaja. Jej głowa skierowana jest na północ. Patrząc z tej perspektywy, na zachodzie znajduje się Kasjopeja i Krzyż Południa, na wschodzie Panna, Wenus zaś bardzo blisko zenitu. Mamy więc do czynienia z mapą gwiazdną, panie Monnerie. Mapą, z której możemy wydedukować datę.

– To jest mapa? Nie wydaje się panu, że to zbyt pochopne wnioski?

Chmura białego dymu spowiła twarz Meteor Mana.

– W żadnym wypadku, panie Monnerie. Talizmany sporządzono w celu uchwycenia istoty sił wyższych w żywiołach niższego świata. Dlatego też medalion ten to mapa nieco niezgrabna, ponieważ zabrakło precyzji, jakiej dziś wymagalibyśmy od astronoma, ale dostarcza nam dość informacji, by wydedukować, że symbolizuje pewną przybliżoną datę.

– Datę? – Inżynier nie posiadał się ze zdumienia. Albo ten nadęty milioner nie ma pojęcia o astronomii, albo sobie z niego kpi.

– Tak jest. Datę, co ciekawe, nieodległą. Pozycja gwiazd i planet na medalionie odpowiada w przybliżeniu ich pozycji na niebie w najbliższych miesiącach. Czy nie wydaje się to panu niezwykle? W bieżących miesiącach! W siedemnastym wieku wrogowie Katarzyny i całej Francji, zwłaszcza Anglicy, rozsyłali pamflety na temat tego amuletu, twierdząc, że to dzieło szatana, a królowa jest jego wielbicielek. Imiona upadłych aniołów, jakie na nim wygrawerowano, jak Anael lub Asmodeusz, zdawały się to potwierdzać, jednak w gruncie rzeczy wszystko to czysta astronomia. Nawet dama na rewersie wydaje się w niekwestionowany sposób nawiązywać do Panny.

– Przypuszczam, że wezwał mnie pan do siebie, bym potwierdził tę

tezę, prawda?

– W żadnym razie. Znow się pan myli. – Charpentier zrobił zadowolona minę, jakby dręczenie Monneriego sprawiało mu ogromną przyjemność. – Wezwałem pana, ponieważ pragnę panu pomóc w rozwiązaniu tego problemu. Jeśli opowiadam o tym amulecie, to po to, by zanim zacznie pan działać, dysponował pan dodatkowymi argumentami.

Kończąc zdanie uniesieniem brwi i ściągnięciem ust, Charpentier wstał zza biurka i popatrzył przez okno na plac Zgody. Połyskiwał tam pod złożonym kapturem obelisk podarowany przez Mahometa Alego narodowi francuskiemu, zabrany z głównej fasady egipskiej świątyni w Luksorze.

– Więc słyszał pan już o zdjęciach satelitarnych? – wyszeptał Jacques Monnerie, zdejmując okulary.

– Z pierwszej orbity – zażartował Charpentier.

– I co pan o tym sądzi?

– Nie jestem zaskoczony. Było to przepowiedziane na krążku, którego przed chwilą nawet nie chciał pan oglądać. Mogłem się tego spodziewać, brakuje panu wykształcenia hermetycznego, jak wszystkim współczesnym pokoleniom.

– Wykształcenia jakiego, przepraszam?

– Her-me-tycz-ne-go – przesylabizował Charpentier. – Na przykład do dzisiaj nie wiedział pan nawet, że talizmany dawno temu wynaleźli Egipcjanie, by ściągnąć na Ziemię siły niebiańskie. Nie są tym, z czym dzisiaj wszyscy kojarzą to słowo: zwykłymi błyskotkami, mającymi zapewnić przychyłność losu. Nic podobnego! Służą one do komunikacji między tym światem a innym, tam na górze, ich moc zaś uwalnia się i emanuje tylko od czasu do czasu. Hermes, grecki odpowiednik egipskiego boga Tota, nauczył ludzi je wytwarzać.

– Nie zaprzeczy pan jednak, że jeśli nawet przyjmiemy taką hipotezę, staniemy przed wielką niewiadomą historyczną, rozciągającą się od czasów kultu Hermesa aż po Katarzynę Medycejską. Przynajmniej – szybko obliczył w myślach – dwadzieścia pięć wieków.

– Słuszna uwaga. Tyle tylko, że nie wie pan, iż pewien oświecony przodek Katarzyny, znamienity kupiec florencki Kuźma Medyceusz, nabył egzemplarz Corpus Hermeticum, niepełną wersję zaginionych ksiąg Hermesa, i kazał niejakiemu Marsilio Ficinowi przełożyć go na łacinę, co miało miejsce około tysiąc czterysta sześćdziesiątego roku. Od tamtej pory

rodzina ta przekazywała instrukcje, jak wykonywać talizmany, tylko mądrym ludziom, takim na przykład jak Nostradamus. Zaczęto wytwarzać talizmany: miniaturowe, jak egzemplarz Katarzyny, oraz gigantyczne, jak Paryż.

– Nie rozumiem... Paryż?

Meteor Man odruchowo spojrział w stronę okna, szukając za przyciemnionymi szybami jakiegoś szczegółu miasta, który mu do tej pory umykał, a który dowiódłby, że cała stolica kraju jest jednym wielkim talizmanem. Ruch na Polach Elizejskich był o tej porze bardzo natężony.

– Jak to? Tego też pan nie zauważył? Droga triumfalna mija wiele niekwestionowanych symboli egipskich: piramidy, obeliski, fontanny ze sfinksem... To wszystko amulety! Napoleon, ze swoją obsesją na punkcie Egiptu, został dopuszczony do obrządków masońskich i udzielał się w loży, której nazwa wywodziła się, ni mniej, ni więcej, tylko od „Hermesa egipskiego”. Przystąpili do niej również jego ojciec i brat Józef. Wyobraża pan sobie? Napoleon chciał przekształcić swoją stolicę w gigantyczny talizman, który zapewniałby powodzenie jego planom. Nie wiedział, że inni, na długo przed jego urodzeniem i założeniem jego loży, skonstruowali swój własny amulet, postępując według wskazówek hermetycznych, jakie nadeszły z Jerozolimy i Egiptu.

– Inni? Nie wiem gdzie...

– Proszę słuchać – uciął Charpentier – ci inni to templariusze. Medyceusze we Florencji dowiedzieli się, iż w trzynastym wieku podjęli oni działania zmierzające do zbudowania we Francji supertalizmanu i że utrzymali to w tajemnicy aż do czasów królowej Katarzyny i papieża Klemensa Siódmego [Klemens VII był członkiem rodu Medyceuszy (przyp. aut.)]. Supertalizman ten, panie Monnerie, mający kształt konstelacji Panny, rozpościerał się na setkach hektarów, jego krańce zaś wyznaczały katedry.

– Katedry!

Monnerie podskoczył na fotelu, chwytając się mocno poręczy.

Nie mówiąc ani słowa więcej, zaczął nerwowo rozsupływać gumkę teczki, która przez cały czas leżała na jego kolanach.

– Właśnie ich nie udało się zarejestrować za pomocą ERS-u, proszę pana – wymamrotał. – Katedry!

Mężczyzna z hawańskim cygarem wyglądał na zupełnie nieporuszonego

tą, zdawałoby się, rewelacją.

– Wiem o tym – powiedział obojętnie. – Zleciłem to zadanie sondzie ERS, by się upewnić, że przepowiednia z medalionu się spełnia, że, jak podejrzewaliśmy, istnieje ów supertalizman i że aktywuje się on w ciągu najbliższych dni. Zdjęcia z satelity tylko to potwierdziły. Teraz mam pewność, że aktywował się parę dni temu, właśnie pod konfiguracją gwiazdną, jaką odwzorowali jego budowniczy. Nie oczekiwałem tylko, że zacznie emitować fale magnetyczne.

Inżynier usiłował gorączkowo uporządkować myśli, zachowując przed Charpentierem twarz pokerzysty.

– Skoro więc już pan wie, o co chodzi, na czym miałyby polegać mój problem?

– Pana problemu, panie Monnerie, nie stanowią te fotografie. W rzeczywistości jestem pełen uznania dla przygotowania technicznego operacji. Pod tym względem odnieśliście stuprocentowy sukces. Pański problem – powtórzył – polega na niekontrolowanych działaniach jednego z pańskich pracowników, Michela Temoina. Jak sam pan wie, szef pańskiego projektu opuścił swoje stanowisko pracy po tym, jak zarządził pan śledztwo mogące wykryć jego udział w „porażce” ERS-u. Pański podwładny, przygnębiony zarzutami, postanowił na własną rękę zbadać istotę zaburzeń pojawiających się na zdjęciach, by dowieść swojej niewinności.

– Temoin! Nie wierzę własnym uszom, Temoin...

– To jeszcze nie wszystko. Pan Temoin trafnie odgadł, jaką drogą powinien podążać, by odszyfrować naturę emisji uchwyconych przez ERS, i udał się aż do Vezelay. Zamierza dowieść, że zaistniały jakieś anomalie energetyczne, usprawiedliwiające to, co wykrył ERS. Niestety, przy okazji niechcący wstąpił na ścieżkę starej tajemnicy naszych potężnych wrogów.

– W takim razie to nie ja, a pan ma problem.

– Niech pan posłucha – powiedział Charpentier stanowczo – jeśli nie zdoła pan odciągnąć swojego pracownika od tego śledztwa, nasi wrogowie wejdą w posiadanie tajnych informacji, a ostatnim poszkodowanym będzie pan i całe to pańskie laboratorium. Czy pan to rozumie?

– Aż za dobrze...

Jacques Monnerie gorączkowo starał się porządkować tę lawinę wiadomości. Zbierając ze stołu zdjęcia, oceniał sytuację: jeśli to, czego szuka

Temoin, znajduje się w jednym z kościołów sfotografowanych z satelity, wydawało się oczywiste, że inżynier pójdzie tropem jakiegoś potężnego źródła energii, którego pożąda nieznana mu szajka złoczyńców. „Nadajnika”, który, jak wnioskował ze słów Charpentiera, działał według swego rodzaju czasomierza zaprogramowanego przed wiekami. W każdym razie było to źródło energii, którego zazdrośnie nie chciała wypuścić z rąk dyrekcja fundacji.

– Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, panie Charpentier – odezwał się Monnerie. – Pańscy przeciwnicy chcą wykorzystać poszukiwania Temoina, by zdobyć rzecz mającą moc aktywowania wszystkich tych talizmanów, o których mi pan opowiedział...

– W rzeczy samej.

– A dlaczego nie poszukają ich sami?

– To długa historia, powiedziałbym, że mamy do czynienia z grupą ludzi, którym od wieków zabroniony jest bezpośredni udział w tworzeniu historii.

– Ma to coś wspólnego ze źródłem energetycznym talizmanów?

– Wiele.

– A czym jest to źródło?

Charpentier nabrał powietrza, zanim odpowiedział:

– Jestem zmuszony odpowiadać na pana pytania... dlatego to panu zdradzę. Otóż chodzi o Arkę Przymierza.

Monneriemu oczy omal nie wyszły z orbit.

– A kim są wasi wrogowie? – wykrztusił.

– To anioły, drogi panie, upadłe anioły. Pan nawet nie wie, że przyłączył się do walki toczącej się od tysiącleci [Więcej informacji na temat tej tysiącletniej batalii znajdzie czytelnik w innej książce Javiera Sierry – La dama azul (Błękitna dama) (przyp. aut.)].

Inżynier zaczynał się irytować.

– To zaczyna być niesmaczne... Wie pan, nie jestem wierzący.

– Nie chcę być niegrzeczny. – Charpentier uznał, że lepiej będzie przybrać łagodniejszy ton. – Muszę jednak zapewnić, że czy jest pan wierzący, czy nie, organizacja, której mam zaszczyt przewodniczyć, ma szeroki krąg przeciwników. W gruncie rzeczy od lat staramy się chronić wszystkie gigantyczne talizmany zlokalizowane przez nas w Europie, wrogowie zaś chcą zniweczyć naszą ciężką pracę, a teraz wykorzystują

Temoina do własnych celów.

– Wrogowie? Byłem przekonany, że mam do czynienia z organizacją filantropijną.

– To prawda. Wrogowie ci, powiem to po raz ostatni, to nie konkurencja handlowa. Wiem, że brzmi to dziwnie, ale są frakcją diabelską. Jeśli dotychczas myślał pan, że diabły to czerwonoskóre rogate istoty, z ogonami zakończonymi kitką, był pan w błędzie. Podobnie jak anioły, są to osoby z krwi i kości, tyle tylko, że pochodzą skądinąd.

– Skąd? Czy to ufoludki? Ależ proszę pana!

– Nie, to nie ufoludki ani planetnicy, ani nic w tym rodzaju. Docierają tu innymi drogami, innymi, nazwijmy je, bramami. I nie zawahają się przed niczym, by nas wyeliminować i przejąć kontrolę nad talizmanami.

– Co znaczy, że „nie zawahają się przed niczym”?

– Może to oznaczać wszystko. Ostatnio porwali naszą najlepszą agentkę, której powierzyliśmy zadanie powstrzymania pańskiego inżyniera. To była żona Michela Temoina. Rozumie pan już, dlaczego nalegałem, byśmy się spotkali?

Meteor Man podskoczył. Ze wszystkich rzeczy, jakie mu opowiedział jego dobroczyńca, ta zabrzmiała najgroźniej. Dość dobrze znał Letycję. Wystarczająco, by wiedzieć, że najdziwniejsza rzecz, w jaką ta kobieta była uwikłana przez całe swoje życie, to swego rodzaju łoża masońska dla kobiet, na której zebrania chodziła co tydzień. Poza tym, zapamiętał ją jako inteligentną, spokojną. Idealną, by równoważyć introwertyczną osobowość Temoina. Przerząła go myśl, że mogła trafić w ręce grupy pomyleńców lub jakiejś satanistycznej sekty.

Czymże innym mogli być porywacze, jeśli Charpentier mówił prawdę?

Jacques Monnerie, wyraźnie zdenerwowany, zaczął wiązać wątki tej opowieści.

– Proszę mi odpowiedzieć na pewne pytanie... Czy jest pan masonem, panie Charpentier? – wypalił.

– Można to tak określić. Wśród moich przodków byli budowniczowie katedr. A dosłowne znaczenie słowa maçon to kamieniarz, nieprawdaż?

– Nie rozumiem jednak – przerwał mu Monnerie poważnie – po co mi pan o tym wszystkim opowiada. Czy oczekuje pan, że coś zrobię?

– Chcę, by natychmiast udał się pan do Amiens, bo wiemy, że tam właśnie zmierza Michel Temoin. Musi się pan do niego zbliżyć, zdobyć

jego zaufanie, opowiedzieć mu wszystko, co pan wie o tej sprawie, i skłonić do zaniechania śledztwa. To chyba nie jest takie trudne, prawda?

– Tylko tyle?

– Jeśli zejdzie ze sceny, nasi wrogowie stracą głównego przewodnika. Na razie prowadzi ich za rękę do źródła zasilania supertalizmanów, jeśli zaś pan go od tego odwiedzie, jego sekret będzie jeszcze długo bezpieczny.

– A nie zawiadomi pan policji?

– Temoin powiadomił już żandarmerię w Chartres o porwaniu żony, ale nie wydaje się, by nasi funkcjonariusze wiedzieli, jak się zachować w takich przypadkach. My sami zajmiemy się ratowaniem Letycji.

– Skąd pewność, że się uda?

– Ma przypięty nadajnik. Niech się pan nie martwi, to już nasza sprawa.

Charpentier obrócił się na pięcie i z mahoniowego regału, który stał za jego biurkiem, zdjął książkę. Był to tom średniej wielkości, w miękkiej oprawie, który grubas głaskał pieszczotliwie, jakby to zajęcie pozwalało mu zapomnieć o zmartwieniach.

– Czyta pan po hiszpańsku? – zapytał, ścierając kurz z książki.

– Trochę. Od dziecka spędzam wakacje na Costa Brava, nauczyłem się paru podstawowych zwrotów.

– W takim razie proszę to przeczytać po drodze. Samochód fundacji zawiezie pana do Amiens. Proszę odnaleźć Temoina i odciągnąć go jak najdalej od tego miejsca.

Meteor Man wziął książkę i nawet na nią nie spojrzawszy, zapytał:

– A co z medalionem? Czy zawiera jakieś informacje, dlaczego właśnie teraz zaczyna działać ten superamulet ułożony z katedr? I cóż takiego ma on aktywować?

Charpentier popatrzył na niego spod oka.

– Żałuję, ale nie mogę odpowiedzieć na pańskie pytanie. I rozumiem, że pan też nie zdradzi nic swojemu podwładnemu, dopóki nie upewni się pan, że odstąpił on całkowicie od swojego śledztwa.

Jacques Monnerie opuścił wzrok na znak zgody, rzucając przelotne spojrzenie na okładkę książki, którą trzymał w ręku. Nad rysunkiem przedstawiającym czarodzieja z długą brodą, trzymającego papirus w prawej ręce i pióro w lewej, widniał tytuł tomu: Picatrix. Cel mądrości i lepszy z dwóch sposobów postępu.

– Gdybym ja to wiedział – mruknął.

– Proszę to przeczytać – nalegał grubas. – Marsilio Ficino, zainspirowany tą pozycją, napisał traktat o talizmanach. Wie pan, jaki ma tytuł?

– Nie mam pojęcia.

– Jak uchwycić życie gwiazd.

Clavis [Clavis (łac.) – klucz (przyp. wyd. pol)]

1129

Upłynęły dwa dni, zanim Jan de Avallon odzyskał mowę i wzrok.

Jego nagłe pojawienie się w apsydzie kościoła Notre Dame w Chartres wywołało lawinę plotek. Nikt nie wiedział niczego na pewno, ale bez ustanku rozprawiano o tym, że rycerz spadł za głównym ołtarzem niby pień drzewa przyniesiony przez wicher w burzliwą noc. Wielu przypuszczało, że maczały w tym palce siły nieczyste.

W owych dniach nie było ani jednego poddanego, który nie zazdrościłby opatowi Clairvaux. Ostatecznie tylko służący mu rycerze widzieli wszystko na własne oczy, więc tylko on miał sposobność wysłuchania opowieści z pierwszej ręki.

Templariusze opowiedzieli opatowi, w jaki sposób ciało ich towarzysza wyrzuciła ze swych trzewi bestia z Averno. Porwało go i zwróciło niewidzialne stworzenie, kiedy wyczuło w nim dobrego chrześcijanina. Takie i inne rzeczy opowiadali rycerze o swoich braciach, nic więc dziwnego, że wkrótce po mieście zaczęły krążyć niestworzone historie.

Bernard, mądry zakonnik i wnikliwy obserwator, był zdziwiony, że do niezwykłych wydarzeń doszło w jednym tylko miejscu.

Dlatego też pospieszył do Jana i jego giermka. Dobrze zrobił, albowiem zdążył udzielić ostatniego namaszczenia Filipowi i jeszcze w tę samą noc zarządzić jego pochówek. Ciało chłopaka pokrywały wrzody, wypadły mu prawie wszystkie włosy. Usta i końce palców zsiniały jak więźniowi poddanemu ciężkim torturom. Dotknęła go choroba, której symptomy przypominały trąd, nie mógł oddychać, nie miał czucia w nogach.

Kiedy w końcu wydał ostatnie tchnienie, nie wypuszczając z rąk miecza swego pana, wszyscy pomyśleli, że Bóg okazał mu miłosierdzie i zabierając go z tego świata, chciał mu oszczędzić większych cierpień. Na tę diabelską chorobę najwyraźniej nie było lekarstwa.

Przygnębiony opat odwiedził również więźnia, młodzieńca pojmanego w kościele przez rycerzy. Zastanawiało ich, że kiedy Jan de Avallon pojawił się w tak cudowny sposób, ten nie padł na kolana, jak gdyby cud, który oglądał, w ogóle go nie poruszył.

Nieco później, odzyskawszy świadomość, więzień wyznał, że nazywa się Rodrigo, pochodzi z Aragonii i po dość długim i bezlitosnym przesłuchaniu wyznał, że jest najemnikiem biskupa Orleanu, który kazał mu śledzić konwój przybyły z Ziemi Świętej.

Bernard rozmawiał z nim przez godzinę. Poprosił wartowników, by zdjęli więźniowi dyby i przynieśli mu coś do jedzenia. Rodrigo zasiadł nad miską gotowanego mięsa i między jednym kęsem a drugim wysłuchał opata, który usiłował wzbudzić w nim zaufanie, zapewniając, że wszystkie jego grzechy zostaną odpuszczone, jeśli wyzna, co robił w kościele.

Niewiele jednak zdołał wydusić Bernard z owego cudzoziemca.

Twierdził, że pielgrzymuje do Santiago de Compostela, zdezerterował ze służby u pana na zamku Manzón i ma awanturniczą naturę. Przyznał się, że na polecenie biskupa Orleanu myszkował w wozach, nie rozumiał jednak, jaką wartość ma to, co w nich znalazł.

– Powiedziałeś o tym biskupowi? – zapytał opat.

– Powiedziałem.

– I co on na to?

– Nic.

– I nie zlecił ci kolejnego zadania?

– Owszem, kazał, bym nie spuszczał tych tabliczek z oka.

Jeszcze tego samego dnia opat kazał się zaprowadzić do niedużego domu stojącego trzy ulice od kościoła. Mieszkała w nim rodzina kowala, która udzieliła gościny trzeciemu mężczyźnie, cudownie przyniesionemu z zaświatów. Wszyscy, którzy go widzieli, zapewniali, że to szczególna postać. Był osobliwie ubrany, dziwnie się zachowywał, szeptało nawet, że potrafi mówić w tylu językach, że dogada się nawet z drzewami w sadzie za domem.

Bernard dotarł do domu kowala Christiana późną nocą. Towarzyszyło mu dwóch mnichów. Żona kowala i dwaj synowie właśnie zmywali naczynia po wieczerzy, gość zaś udał się już do swej izby, by, jak im powiedział, pomodlić się przed snem.

Pani domu, Bretonka o szerokich biodrach i promiennym uśmiechu,

opowiedziała im, że staruszek bardzo szybko doszedł do siebie, skarżyła się jednak na jego skrytość i małowówność. Całą rodzinę kowala, tak jak wszystkich mieszkańców Chartres, zżerała ciekawość, co dokładnie zdarzyło się w kościele, jednak starzec niczego nie zdradził.

Bernard pobłogosławił rodzinę i poprosił, by zostawili go sam na sam z cudzoziemcem.

Izba zajmowana przez starca była przybudówką do stajni, odgradzoną od niej prowizorycznym przepierzeniem z desek. Było tam dość miejsca na siennik i stół, na którym stał cały szereg flakonów i fiolek opatrzonych etykietami.

Przy świetle świecy, niewątpliwie pozostałości jednej z gromnic z kościoła Świętego Leopolda, długowłosego starzec pochylał się nad grubą księgą.

– Gluk? – wyszeptał Bernard ze ściśniętym gardłem. – To ty, mistrzu?

Starzec podniósł wzrok, starając się dojrzeć coś w półmroku.

– Bernardzie! – wykrzyknął. – Powinienem być się domyślić, że tu jesteś.

Mnich wyciągnął ręce, by pomóc druidowi wstać, i uściskał go serdecznie.

– Gluk, mistrzu, co tu robisz? Tak bardzo cię potrzebuję! Z nieba mi spadłeś!

– Dobrze mówisz, Bernardzie – uśmiechnął się druid. – Wróg usiłował zawładnąć tym świętym miejscem, by przywłaszczyć sobie to, co tu przywieźliście.

– Wiedziałaś więc, że...

– Ależ Bernardzie, w kościelnej krypcie otworzyłem bramy przed waszym rycerzem Janem de Avallon. Gdy tylko go ujrzałem, od razu się domyśliłem, że tablice muszą być gdzieś blisko, ponieważ wrota otwarły się z taką łatwością. Czy to nie ów dzielny młodzieniec został wybrany w Jerozolimie, by szukać tych bram, a potem zapieczętować je tablicami? Czy to nie jego wyznaczyła opatrność, by zadbał o spokój tego miejsca i nie pozwolił, by dostęp do niego mieli niepowołani ludzie?

– Gluku, obawiam się, że utracę ten cenny ładunek, zanim wypełnię swój obowiązek. Pojawiły się niepokojące znaki.

– Masz na myśli śmierć mistrza de Blancheforta, prawda?

– To i jeszcze więcej. Złapaliśmy szpiega biskupa Orleanu, który

najwyraźniej śledził konwój od Troyes.

– Ależ Bernardzie, czyżbyś zapomniał, że do walki ze złem konieczny jest spokój ducha? Jeśli niepokój bierze nad tobą górę, przegrałeś bitwę. Wiedz, że nikt nie może otworzyć bram Panny Świętej bez klucza. Nikt zaś nie posiada tego klucza bez księgi ze wskazówkami, jak to zrobić.

– Księgi ze wskazówkami?

– Mój drogi Bernardzie! Zapomniałeś już o czasach, kiedy przygotowywaliśmy ten plan? Nie pamiętasz, jak pokazałem ci magiczne symbole bram?

– Pamiętam labirynt. To symbol wewnętrznej drogi i pielgrzymki do świętych bram Jerozolimy, Rzymu, Santiago... Pamiętam schody. To alegoria podróży Jakuba do nieba i dostąpienia świętej wiedzy. Pamiętam...

– Niczego więc nie zapomniałeś.

– Nie.

– W takim razie moja podróż na coś się zdała. Gdy już porozmawiasz z Janem, możesz skorzystać z tego. – Gluk wskazał księgę leżącą na stole. – Będzie to początek wspaniałego czasu, kiedy to wasze dzieła sięgną nieba, prowadzając na wiernych błogosławieństwo. W nich zaś umieścicie symbole, które poznałeś, by zostały odczytane, kiedy nadejdzie czas.

Gluk podał Bernardowi zniszczoną księgę. Oprawiona została domowym sposobem, tłuste plamy na brzegu każdej kartki świadczyły zaś o tym, iż często była czytana.

Druid wyjaśnił Bernardowi, że tekst ten napisano po arabsku przez mędrców z Charanu, miasta, do którego skierował się Jakub, po tym, jak ujrzał boską drabinę. Następnie pewien mędrzec sabejski zawiózł egzemplarz do wspaniałej biblioteki w Kordobie, skąd po konkwiście trafiła ona do rąk prekursorów szkoły tłumaczy Alfonsa Mądrego w Toledo. Tam została przełożona na łacinę, a potem on sam zabrał ją z magazynów biblioteki.

Książka pod enigmatycznym tytułem Cel mądrości i lepszy z dwóch sposobów postępu, dzieliła się na cztery traktaty poświęcone gwiazdom.

– Przestudiuj dokładnie czwartą część, a przede wszystkim rozdział poświęcony Hermesowi i założeniu przez niego miasta identycznego z niebiańską Jerozolimą z Apokalipsy – mówił Gluk. – Wykorzystaj tę wiedzę, by ustalić, w którym miejscu masz wznieść bramy i jak będą wyglądały budowle mające ich strzec.

- Blanchefort wiedział to wszystko, mistrzu – przypomniat opat.
- Nie miaa jednak ani swiatyct tablic, ani wiedzy, jak je wykorzystac – uciaa Gluk. – Ty zaa i twoi ludzie wiecie wiecj niz on.
- Kto zabi a naszego budowniczego?
- Tego dowiesz si e od rycerza Jana.

Bernard z Clairvaux nie zobaczy a wiecj Gluka. Dostawszy od niego ksi ege, ktorej strzeg a przez tyle lat, opat by a pewny, ze druid uzna a sw a misje za zakonczona. W a a nie tacy byli m e drcy z lasow – nieprzewidywalni. Gluk umrze samotnie, tak jak tego pragna a, jego spadkobiercy za a – w s r o d nich Bernard – b e d a kontynuowali misje po a czenia ziemi z niebem.

Tymczasem Jan de Avallon wcia z leza a z a o zony niemoca w gospodzie L’Hepitot, z dnia na dzie a wygl adajac coraz starzej i mizerniej.

Musia a uply na c jeszcze wiele dni, zanim opowiedzia a o tym, czego do s wiadczy a.

– Ojczy, wiem ju z, ze jestem kluczem, ktory otworzy drzwi – wyszepta a wczesnym s witem w dzie a s wietego Juliana do Bernarda, ktory nie odst epowa a go i opiekowa a si e jego dusz a i cia a em.

– Zgodzi a si e by c tym kluczem jeszcze w Jerozolimie, bracie Janie – przypomniat opat. – To, co przydarzy a ci si e potem, to owoc planu, jaki B o g przygotowa a dla cz a owieka o twojej odwadze. Nie musisz si e niczego obawia c.

– Bracie Bernardzie, podczas mojej wyprawy na druga stron e bramy ujrza a niebo i piek a. Anio a, ktorego twarzy nie uda a mi si e zobaczy c, poprowadzi a mnie przez niebieskie sfery, wraz z nim podziwia a em wszech s wiat. Pofruna a em a z do Jerozolimy, szlakiem proroka niewiernych i widzia a em, jak jedna z bram Averno otworzy a si e dok a dnie pod S wietym Miastem. Tam te z ukaza a y mi si e inne bramy, przez ktore trafia si e przed tron Boga.

– Co by a o dalej?

– Anio a wyja s nia a mi, w jaki sposo b nale zy budowa c nasze s wiatynie, na podobie nstwo cia a niebieskiego Naj s wietszej Panny, i jak owe budowle, po a czone tym samym pradem, ktory a czyzy z sob a gwiazdy, sprawi a, i z b e d z i e m y mogli wst epowa c do niebios i rozmawia c z anio a mi bez potrzeby opuszczania naszej ziemskiej pow a o ki.

– Widzia a e s to wszystko na w a s ne oczy?

– To i jeszcze wiecj... Anio a o g a o s i e niby dzwon pokaza a mi

wydarzenia, które dopiero mają nastąpić. Jak we śnie podziwiałem to, co nadejdzie w tysięcznym roku następującym po tysięcznym roku, kataklizmy pustoszące naszą Ziemię i niebezpieczeństwa zagrażające naszej wierze. Pokazał mi również rok tysięczny, który nastąpi po drugim tysięcznym i cuda, jakie się wówczas dokonają. Ale przede wszystkim dowiedziałem się, jakie boskie rozkazy musimy wypełnić tutaj.

– Mów, Janie...

– Na ziemiach Chartres mamy ukryć i strzec jak oka w głowie jedynie tablic, które traktują o uprawie ziemi. Wybierzemy je spośród innych, zwracając uwagę na motywy wyryte na ich szmaragdowych powierzchniach. Są to tablice niezmierzonej wiedzy, mówiące o tym, w jaki sposób nasz Pan stworzył rośliny i żywe istoty. Tu więc wzniesiemy świątynię Kłosa, która połączy się z gwiazdą z Kłosa Panny.

– Co jeszcze należy zrobić?

– Tablice traktujące o muzyce i potędze śpiewu złożymy w Amiens, gdzie wzniesiemy największy kościół, jaki widziały ludzkie oczy. Wszak muzyka to Słowo Boże, to słowo, od którego zaczyna się Ewangelia świętego Jana. Podobnie postąpimy z tablicami opisującymi ruchy Słońca – te każemy zawieźć do Evreux. Wiedzę należy podzielić, by tajemnicza siła zamknięta w tych kamiennych księgach utkała sieć, która będzie osłaniać wiernych i błogosławić naszemu królestwu.

– Czy anioł wyjawiał ci, czy będziemy żyli na tyle długo, by dokończyć naszego dzieła, Janie?

– Nie – odpowiedział Jan, patrząc poważnie na Bernarda. – Nie ujrzymy nawet dnia, kiedy będą kładli kamień węgielny pod to wielkie dzieło, ojcze. Musimy jednak nakazać naszym braciom, by wypełnili święty obowiązek. Tylko wtajemniczeni dowiedzą się, co zrobiliśmy z tablicami, i ocalą je, gdy coś im będzie zagrażało.

– A cieśle?

– Cieśle będą nam się przyglądali. Nie martw się o nic. Gluk, ostatni z nich, zostawi liczne potomstwo, jego ród zaś będzie żył po wsze czasy.

Bernard ukląkł obok łoża rycerza, dziękując Bogu za to objawienie.

Wdzięczny był nie tylko za słowa templariusza, ale i za to, że dopiero teraz zrozumiał, iż dotarł do końca drogi: ma już klucz (którym jest sam Jan), wiedzę, jak go używać (mówi o tym księga Gluka), nie ma tylko dokładnego położenia bram, by doprowadzić plan do końca.

– Wiemy już tak wiele, Janie – wyszeptał Bernard, gładząc chorego po bladej dłoni – brakuje nam jednak de Blancheforta. On wiedział, gdzie szukać drzwi i na własne oczy widział plany Henocha.

– Nie martwcie się. Podobnie jak Pierre de Blanchefort przekroczyłem święte progi i od tej pory matematyka, geometria nie są mi obce. Widziałem boskie plany, ale jestem rycerzem i potrafię się obronić, jeśli ktoś będzie chciał wydrzeć mi te tajemnice.

– Wiesz, kto go zabił?

– Zmarł, albowiem nierozważnie zbliżył się do nieba, zabierając ze sobą miedziane astrolabium. Wszystko, co ma boską naturę, nie znosi metalu i zamienia go w źródło śmierci. My, rycerze świątyni, nauczyliśmy się tego w Ziemi Świętej, słysząc, co Żydzi opowiadają o Arce Przymierza i o jej zawartości.

– W takim razie zmarł z tej samej przyczyny co Filip, twój giermek, który zbyt kurczowo trzymał miecz – powiedział opat. – Ale kto i dlaczego pozbawił de Blancheforta głowy?

– To wina Rajmunda de Penafort, biskupa Orleanu. Należy on do plemienia ucieleśnionych diabłów, które wiedziały, co szykujecie, panie, i za wszelką cenę chciały wam w tym przeszkodzić. Obcinając głowę magistrowi comiciani, chciały dać wam do zrozumienia, że i one są blisko tablic i że wcześniej czy później je wam odbiorą.

– Do tego jednak nie dojdzie.

– Nie, teraz nie.

– Teraz?

Jan westchnął.

– Cele tych bestii są podobne do zamierzeń cieśli. Chcą wznieść świątynię tam, gdzie umiejscowione są bramy, i pilnować dróg do nieba. Pozbawiając głowy waszego majstra, uświęciły krwawą ofiarą podwaliny nowej budowli. Głowa, jak wiesz, ojcze, zwieńcza wszystkie tajemnice, jest świątynią duchowego oświecenia. Trzeba złożyć z niej ofiarę, by zapewnić sobie stróża, który będzie strzegł miejsca. Głowa stanie się filarem, a na nim wesprze się cała budowla.

– Wiem – opat opuścił wzrok. – Jan Chrzciciel został ścięty i stał się symbolem słupa, na którym miała wspierać się mistyczna budowla ciała Chrystusa. Dlatego też zakon templariuszy oddaje cześć głowie [Jedna z wielkich tajemnic zakonu templariuszy wiąże się z kultem głowy zwanej

Bafomet. Jej istnienie odkryto późno, podczas procesu przeciwko templariuszom w XIV wieku. Prawdziwe znaczenie słowa Bafomet jest zaszyfrowane w nim samym za pomocą hebrajskiego systemu zapisu zwanego atbasz. Metoda jest prosta: wszystkie litery z hebrajskiego alfabetu umieszcza się w dwóch równoległych wierszach, tak że kiedy zachodzi potrzeba zaszyfrowania jakiegoś słowa, zastępuje się właściwą literę inną, z przeciwległej linijki. Zapis łatwo odszyfrować, powracając do dwóch równoległych wierszy. Jeśli więc zapiszemy słowo Bafomet literami hebrajskimi i zastosujemy kod atbasz, uzyskamy greckie słowo sophia, co znaczy mądrość. System ten był stosowany do kodowania słynnych zwojów znad Morza Martwego i innych dokumentów gnostycznych (przyp. aut.)].

– Tam, gdzie w przyszłości będzie czczona trupia czaszka, z pewnością ukryte są bramy. Nie wiadomo tylko, czy strzegą ich siły ciemności, czy bronią rycerze światła. Po drugiej stronie bramy widziałem, że świątynie, w których mają zostać złożone tablice, naprawdę zostaną wkrótce zbudowane i przetrwają wieki.

– Dzięki Bogu – westchnął Bernard.

Poruszony pocałował Jana w rękę, a chory templariusz, wyczerpany, zamknął oczy.

– Od tej pory – powiedział Bernard – zasługujesz, by nazywać cię Janem z Jerozolimy, bo tam właśnie, w niebiańskiej Jerozolimie, doznałeś objawienia. Jutro oddam do twojej dyspozycji jednego z moich mnichów. Podyktujesz mu wszystko, co widziałeś podczas swej nieziemskiej wyprawy, by wiedza o przyszłości przetrwała na piśmie.

– Amen – szepnął Jan.

– Amen.

PICATRIX

Jacques Monnerie wręcz pożerał wzrokiem egzemplarz Picatrix.

Zgodnie z poleceniem Charpentiera jechał teraz do Amiens. Siedząc w mercedesie 190 E należącym do fundacji, miał dość czasu, by wyrobić sobie ogólny pogląd na temat tej książki.

Jego obawy się potwierdziły: miał do czynienia ze średniowiecznym traktatem o magii, który udzielał czytelnikowi porad na okoliczność wyrabiania amuletów. Początkowo wydawało się, że jest to jedno z wielu upraszczających wszystko dzieł, krążących w dużej liczbie po Europie między XII a XIII wiekiem, zawierających absurdalne formułki mające zapewnić względy upragnionej osoby, bogactwo i wszelkie powodzenie. Książka, którą czytał, składała się z czterech traktatów lub części, a każdy był bardziej zawiły od poprzedniego. Opowieści o tytanach panujących w Nubii lub wszechmocnych królach Egiptu nijak się miały do faktów w podręcznikach, z których Monnerie uczył się do matury. Jakby tego było mało, znajomość Układu Słonecznego autora dzieła sprowadzała się – co było logiczne w owym czasie – jedynie do siedmiu planet.

Zmęczony czytaniem tych niedorzeczności Monnerie już miał zamiar odłożyć książkę z głośnym trzaśnięciem i wygodnie wyciągnąć się na skórzanych siedzeniach mercedesa, kiedy zwrócił uwagę na jeden akapit. W gruncie rzeczy spodziewał się czegoś podobnego, odkąd wyszedł z gabinetu pana Charpentiera. Czegoś, co uzasadniałoby fakt, że tak bardzo zależało mu, by inżynier zapoznał się z tą pozycją.

Ustęp potwierdzał, że Koptowie byli spadkobiercami wierzeń i praktyk religijnych starożytnych Egipcjan, a tym samym znali ich obdarzone wielką

mocą talizmany. Do tego miejsca brzmiało to dość rozsądnie. Autor napisał jednak coś więcej – amulety, inaczej niż się powszechnie uważa, to nie tylko nieduże medaliki, jak ten należący do Katarzyny Medycejskiej, czy też skrawki pergaminu z narysowanymi na nich symbolami mocy. Są to także wielkie budowle, a nawet miasta. Wszystko zależy od układu gwiazd, będącego podstawą do stworzenia talizmanu.

– Zupełnie jak Paryż! – mruknął Monnerie, przypominając sobie spotkanie na Polach Elizejskich.

W książce zawarte też były tak dziwne stwierdzenia jak: Przy budowie miast należy posługiwać się gwiazdami, przy wznoszeniu domów zaś planetami. Każde miasto, zbudowane pod panowaniem Marsa na niebie, lub jakiegokolwiek ciała niebieskiego tej samej natury, ujrzy swych władców ginących od miecza.

Picatrix opisywała również gród wzniesiony przez samego Hermesa, który ma dwanaście mil długości i w którym wznosił cytadelę z czterema bramami, każdą wychodzącą na inną stronę świata. A dalej: W bramie wschodniej umieścił orła. W zachodniej, byka. W północnej, lwa. W południowej zaś psa ze skrzydłami.

Inżynier zdał sobie sprawę, że to tradycyjne wyobrażenia czterech ewangelistów. Czy nie porównywano Jana do orła, Łukasza do byka, Marka do lwa, Mateusza zaś do uskrzydłonej istoty?

Ponadto Picatrix zawierała absurdalne dywagacje o mocy talizmanów, których nie mógł traktować poważnie nikt, komu Pan Bóg nie poskąpił zdrowego rozsądku.

Monnerie był racjonalistą i z dystansem podchodził do podobnych rewelacji, ale mimo to przeszło mu przez myśl, że przecież na świecie występują zjawiska niedające się wytłumaczyć naukowo.

Być może ten ostatni akapit stanowi właśnie jedną z zagadek, na które ludzkość nie zna odpowiedzi? Uczony zapadał w drzemkę, zastanawiając się, czy pan Charpentier nie usiłuje go przekonać, że katedra w Amiens, bez wątplenia największa we Francji, stanowi coś w rodzaju nowej świątyni Hermesa z księgi Picatrix. To zbyt wyrafinowane, pomyślał jednak. Niemniej nie ulegało wątpliwości, że katedry również zwracają się murami na cztery strony świata i czasem na ich fasadach umieszcza się wyobrażenia czterech ewangelistów.

Kierowca wjechał do Amiens aleją Port d'Aval około szóstej po

południu. Aleja przechodziła w ulicę des Francs Muriers, z trzypiętrowymi osiemnastowiecznymi kamienicami, skręcił w ulicę Saint Leu i dojechał aż do jej końca naprzeciwko głównej fasady ogromnej katedry. Szofer zatrzymał samochód przy drewnianym, chylącym się ku upadkowi domu, na którym można było przeczytać mylący szyld Maison de Peleryn [Maison de Pelerin (franc.) – Dom pielgrzyma (przyp. wyd. pol)] i obudził Monneriego.

– Proszę pana – powiedział, potrząsając go za ramię. – Jesteśmy na miejscu.

Monnerie przeciągnął się i spojrział przez okno. Ujrzał zachodnią stronę katedry, którą zakrywały częściowo rusztowania. Wiedział, że w tym miejscu powinien zacząć poszukiwanie Michela Temoina.

Świątynia, choć niezbyt bogato zdobiona, wywierała jednak o wiele większe wrażenie, niż się spodziewał. Żadne zdjęcie nie oddawało potęgi tej budowli o powierzchni ponad siedmiu tysięcy metrów kwadratowych, w której wnętrzu mieściło się dziesięć tysięcy wiernych.

Monnerie wysiadł z wozu i szybko ruszył do jednego z bocznych wejść, dokładnie tego, nad którym znajduje się olbrzymi posąg świętego Krzysztofa. Kościół był prawie pusty. Nieliczni turyści, którzy o tej porze błakali się jeszcze pod sklepieniem katedry, pospiesznie robili zdjęcia co ciekawszych detali, starając sienie zwracać uwagi strażników.

Meteor Man rozejrzał się.

Najpierw niczego nie zauważył, potem jednak ponownie przyjrzał się północnej ścianie i pomyślał, że coś tu nie gra... Skupił całą uwagę. Nie było tu turystów, których można by posądzić o to, że robią sobie żarty w świątyni.

Parę metrów przed nim, w transepcie, rozeta wtopiona w północną fasadę przedstawiała dziwny widok. Tak dziwny, że inżynier szybko wytłumaczył sobie, iż ma do czynienia z jakimś zjawiskiem optycznym albo zwyczajnym złudzeniem. Zrobił parę kroków do przodu, by lepiej się przyjrzeć, i tylko utwierdził się w swych obawach: „nerwy” środkowego obwodu konstrukcji układały się w odwróconą gwiazdę pięcioramienną! Czyli średniowieczny symbol Lucyfera!

Bez wątpienia była to pięcioramienna odwrócona gwiazda, taka sama, jaką tyle razy widział w filmach i książkach o czarnej magii i satanizmie. Zadrzał. Co robi ta diabelska pieczęć w świątyni, w dodatku w tak

wyeksponowanym miejscu? Czyżby Charpentier miał rację i Monnerie dał się wplątać w walkę aniołów z diabłami?

Starając się nie tracić nad sobą panowania – w takich przypadkach nie sposób się nie denerwować – Monnerie przeszedł bocznymi nawami świątyni. Zatrzymał się przed kaplicą Świętego Nikazego, dokładnie za głównym ołtarzem, by przyjrzeć się wspaniałym witrażom wyobrażającym chór królów uderzających w struny lir.

– Muzyka – wyjaśniał właśnie przewodnik wycieczce emerytów – odgrywała niezwykle ważną rolę w czasach największej świetności katedr. Świątynie wznoszono według tych samych reguł matematycznych, jakie Pitagoras zalecał przy budowie instrumentów muzycznych, by brzmiały harmonijnie. Tę wiedzę wielki matematyk z Samos sprowadził właśnie z Egiptu.

Egipt, powtarzał w myślach Meteor Man, oddalając się od grupki i kierując w stronę kaplicy Świętego Anzelma z Canterbury. Tabliczka informowała, że jej apsyda została przebudowana na rozkaz Napoleona III, jednak witraże są oryginalne, z XIII wieku.

Były olśniewające. Każda ramka zamykała jedną scenę. Przedstawiały one postacie zajęte różnymi czynnościami, jak na przykład dwóch ludzi okrytych białymi płaszczami, przenoszących ciężką skrzynię na czymś w rodzaju noszy. Powyżej, cztery inne „obrazki” kazały sądzić, że skrzynia ta przybyła morzem i że ludzie w białych płaszczach odebrali ładunek, by zawieźć go dalej... Tylko dokąd?

Monnerie zastanawiał się chwilę, po czym znalazł odpowiedź.

Przecież to arka! Olśniony tym odkryciem aż podskoczył na kamiennej posadzce. Więc tego szuka Temoin! W tej samej chwili z zakrystii wyszedł starszy wikary i minął inżyniera, przyglądając mu się podejrzliwie. Monnerie stwierdził, że nadarza się dobra okazja, by go o coś zapytać.

– Pyta pan, czy nie ma tu jeszcze innych przedstawień Arki Przymierza? – wymamrotał staruszek, powtarzając pytanie Monneriego i przyglądając mu się bystrymi szarymi oczami.

Monnerie skinął głową.

– Oczywiście, że są, młody człowieku. Każdy witraż ma swój kamienny odpowiednik, na przykład skrzynię, którą widzi pan po wschodniej stronie, wewnątrz katedry, znajdzie pan również dokładnie na jej przeciwległym krańcu.

– Na zewnętrznej zachodniej fasadzie? – domyślił się Monnerie.

– Właśnie – uśmiechnął się staruszek. – Niestety, dzisiaj nie uda się jej panu dobrze zobaczyć. Miasto wydaje cały swój budżet na konserwację tej fasady, toteż przez okrągły rok prowadzone są tu jakieś roboty budowlane. Nie wyobraża pan sobie, jak dwutlenek węgla niszczy kamień.

– A nie wie ksiądz, co powstało wcześniej, ten witraż czy zachodnia fasada?

Ksiądz znów się uśmiechnął, jakby rozczułała go niewiedza tego nerwowego przybysza.

– Ależ mi pan zadaje pytania! – roześmiał się. – Zachodnia fasada katedry powstała i została ukończona jako pierwsza. Niech pomyślę... Prawdopodobnie zbudowali ją ci sami budowniczowie, którzy w tysiąc dwieście dwudziestym roku zakończyli wznoszenie katedry w Chartres, więc musi pochodzić mniej więcej z tysiąc dwieście trzydziestego. Dlatego wymaga więcej starań.

Kozia bródka Meteor Mana zadrżała. Robił taką minę zawsze, gdy był czymś poruszony, przygryzając w skupieniu kącik ust i obmyślając następny krok. Podeksycytowany, ujął żylastą dłoń kłeryka i wsunął w nią stufrankowy banknot.

– To na konserwację świątyni – powiedział.

Ksiądz nie rozumiał, skąd ta hojność, przyjął jednak dar. Święty Jan, pomyślał, sprowadza tu wiele zbłąkanych owieczek, kierując je na drogę prawdziwej wiary.

Na zewnątrz było pusto. W sobotę robotnicy czyszczący fasadę nie pracowali, więc na rusztowaniach zasłoniętych grubą plastikową folią nie było nikogo.

Najwyraźniej to jedne z drzwi Notre Dame stanowiły bramę arki. Usytuowane były nieco na prawo, zwieńczone medalionami, które, niestety, zasłaniała metalowa konstrukcja rusztowań. Na zewnątrz znajdowały się zaskakujące obrazy: mężczyźni w czapkach frygijskich, którzy wpatrywali się w planety i gwiazdy, mierzyli dłońmi odległości między nimi, a następnie budowali na ziemi wieże. Zupełnie jak w Picatriksie.

Ucieczka Józefa, Marii i Dzieciątka Jezus na grzbiecie osła do Egiptu, pokłon Trzech Króli, Mojżesz idący za obłokiem i prowadzący lud wybrany po wyjściu z Egiptu czy rajskie drzewo, wszystko to mieszało się na

ściennych medalionach.

Chociaż Monnerie nie był znawcą Pisma Świętego, wiedział, że medale te odnoszą się do różnych wydarzeń opisywanych w Biblii, które dzieliły całe wieki. Na swój sposób ich wspólny mianownik czyli fakt, że wszystkie zdawały się zależeć od ruchu pewnych gwiazd, których położenie zostało odwzorowane na ziemi, przypominał mu amulet Katarzyny Medycejskiej.

Zanim jednak zdążył przestudiować pozycję ciał niebieskich na katedralnych płaskorzeźbach, dokładnie w chwili, gdy przesunął ręką po reliefie z zapatrzonym w niebo mężczyzną, trzymającym laskę, ktoś zawołał do niego z góry.

– Nie dotykaj! – usłyszał. – To laska Aarona!

Zaskoczony inżynier podniósł głowę. Na wysokości około czterech metrów, nad figurą Matki Boskiej z Dzieciątkiem, zobaczył pyzată zaczerwienioną twarz. Z pewnością nie był to jednak żaden z robotników.

– Michel! – Meteor Man natychmiast rozpoznał podwładnego. – To pan... prawda?

Głowa natychmiast zniknęła, a po chwili rozległo się głośnie tupanie. Starannie przycięte wąsy Michela Temoina znalazły się tuż przy twarzy Monneriego.

– Niech to diabli, co pan tu robi, profesorze?

– To chyba ja powinienem o to zapytać, nie wydaje się panu?

– Cóż – zawahał się Temoin – staram się wyjaśnić, dlaczego ERS przed paroma dniami zachował się w tak dziwny sposób. O ile rozumiem, nadal jestem zawieszony, tak?

– Oczywiście.

– Myślałem, że sekretarka powiedziała panu, iż wyjechałem z miasta? Jak mnie pan odnalazł?

– To długa historia, Temoin.

– Tu również wiele się działo, słyszał pan? Wydaje mi się jednak, że znam już odpowiedź na parę pytań.

Monnerie zaczekał, aż inżynier złapie oddech, gdyż tak szybko zbiegał z rusztowania, że dostał zadyszki, i przesunął się nieco przy kamiennej balustradzie, by zrobić mu miejsce.

– Właściwie już wiem, jakie były przyczyny „błędu” ERS – powiedział bez wstępów. – Sam wycofam skargę przeciwko panu.

– Tego się nie spodziewałem. Czyżby stało się coś, o czym powinienem

wiedzieć?

– Rozmawiałem z Fundacją Charpentiera, jak mi to pan sugerował. Okazuje się, że wcale nie byli zaskoczeni tym, co wyszło na zdjęciach.

– Charpentier? – Twarz Temoina zmieniła się w jednej chwili, gdyż przypomniał sobie, co powiedziała Letycja, zanim została uprowadzona. – Muszę jak najszybciej porozumieć się z fundacją.

– Dobrze, proszę tylko chwilę poczekać, chcę panu wyjaśnić jeszcze jedną rzecz.

– Nic pan nie rozumie, profesorze.

– Owszem, wszystko rozumiem. Fundacja była na bieżąco informowana o wszystkich pana poczynaniach przez cały okres prowadzenia badań. Wiedzieli też, że pan tu jest, i przysłali mnie, bym z panem porozmawiał. Obawiają się, że pana śledztwo w sprawie anomalii na zdjęciach zostanie niewłaściwie wykorzystane przez osoby trzecie.

Określenie „niewłaściwie” rozdrażniło Temoina.

– Niewłaściwie? A co to za słowo?! Czy porwanie Letycji też uważa pan za „niewłaściwe”?! – wykrzyknął. – Pamięta pan Letycję? Co? Pamięta ją pan?

Okrzyki Temoina odbijały się echem od ścian kościoła. Monnerie czekał spokojnie na koniec tego ataku furii.

– Michelu – powiedział spokojnie – ludzie z fundacji już szukają Letycji.

– Jak to?

– Letycja to jedna z nich..

– Kim są ci oni?

Gniew Michela ustąpił miejsca ciekawości.

– Pracowała dla fundacji. To, że pan się z nią skontaktował, również mieściło się w ich planach. Tak mi powiedzieli. Ma pan całkowitą słusność, doszukując się powiązań między Louistem Charpentierem, którego dzieło natchnęło pana do szukania wspólnych punktów między gwiazdami i katedrami, a fundacją noszącą jego imię. Jest to swego rodzaju tajemne stowarzyszenie.

– W porządku. – Temoin nie usłyszał chyba ostatniej uwagi profesora. – Załóżmy, że ją odnajdą. Nie rozumiem tylko, dlaczego każą panu za mną chodzić.

– To zbieg okoliczności, że CNES wplątało się w coś, co nas nie dotyczy. Skoro jednak klient, który wpakował nas w te kłopoty, każe nam

przerwać pracę, to lepiej, byśmy ją przerwali. Powiem panu jedną rzecz: Charpentier pokazał mi w Paryżu stary amulet przedstawiający układ gwiazd w pewnym dniu. Otóż układ ten zdaje się zgadzać z obecnym widokiem nieba nad Francją. Twierdzi on, że to swego rodzaju prorocza zapowiedź, iż wkrótce w świątyniach, które kazali nam sfotografować, aktywuje się jakaś siła. Innymi słowy, wiedzieli, że coś się święci.

– Co? Co ma się aktywować?

– Coś, co znajduje się w katedrach. Supertalizman lub coś w tym rodzaju, co stanowi część jakichś bram. Prawdę powiedziawszy, nie zrozumiałem wiele z jego niedorzecznej gadaniny, chociaż dał mi nawet książkę na ten temat.

– Opowiadał panu o bramach? Letycja powiedziała, że katedry to swego rodzaju gwiazdne bramy.

– Uwierzył jej pan? – Mannerie wpatrywał się w Temoina przenikliwie.

– Tak. Prawdę mówiąc, tak – wybąkał zmieszany Michel.

– Naturalnie, trudno panu zabronić, ale...

– Proszę powiedzieć, czy Charpentier wspomniał coś o Arce Przymierza?

Monnerie zawahał się, zanim odpowiedział:

– Tak. Mówił, że niezależnie od tego, co stanowi jej zawartość, jest ona źródłem emisji energii wychwyconych przez naszego satelitę.

– Dokładnie! Arka zaś, jak wyjaśniła mi Letycja, zawierała Tablice Szmaragdowe Hermesa.

– Katedra w Amiens, Arka Przymierza – Rzeczywiście, Charpentier cytował Hermesa.

– Profesorze, jesteśmy tylko pionkami na szachownicy, które nie wiedzą, jaka partia się na niej rozgrywa. Nie wiem, czym, u licha, są tablice Hermesa, ani jakie treści zawierają, jestem jednak przekonany, że stanowią swoistą baterię o silnym ładunku energii. Naszym obowiązkiem jest odnaleźć je i zbadać. Proszę sobie wyobrazić, co się może stać, jeśli inni, gorzej przygotowani, natkną się na nie przypadkowo... Może dojść do katastrofy.

– A gdzie pana zdaniem schowana jest ta bateria?

– W arce, rzecz jasna. Jeszcze jej pan nie widział?

Temoin, zadowolony z siebie, pokazał jakiś kształt ukryty za rusztowaniami. Był to spory prostopadłościan, umieszczony dokładnie nad

koroną Matki Boskiej. Skrzynia była duża, taka sama jak ta, którą widział w portyku północnym katedry w Chartres, wykuta z jednego bloku. Strzegły jej sylwetki siedzących mędrców, najważniejszych patriarchów ze Starego Testamentu. Był tam Jakub – ten od Scala Dei, Abraham, który bronił Skały na wzgórzu Moria, Salomon – strażnik arki w swojej świątyni, Dawid...

Monnerie, zatopiony w myślach, przyglądał się skrzyni przez dłuższą chwilę. Był to taki sam kufer, jaki widział w gablotach kaplicy Świętego Anzelma z Canterbury, tyle tylko, że wykonany był z kamienia.

– Otworzymy... ją? – wyszeptał w końcu.

– Oczywiście profesorze.

Nadajnik umieszczony na dachu renault espace doskonale nagłośnił ostatnie słowa Michela Temoina.

– Sprawy zaszły za daleko – odezwała się Gloria. – Mówiłam wam, że ten facet nie spocznie, dopóki nie dopnie swego. Powinniśmy byli go zatrzymać. To wyjątkowo uparty typ.

Gerard i Ricard milczeli, nawet ojciec Rogelio, teraz zaskakująco spokojny, nie próbował dyskutować z dziewczyną.

– Jeśli czegoś nie zrobimy, tablice Hermesa wpadną w jego ręce! A bramy dostaną się im!

– Być może – przytaknął Rogelio ze wzrokiem wbitym w południowy portyk katedry, gdzie poruszały się sylwetki Monneriego i Temoina, kierujące się w stronę rusztowania.

– Ależ ojcze!

– Być może wszystko to stanowi część boskiego planu. Znaku, którego oczekuje ojciec Teodor...

– Znaku? Jakiego znów znaku? – zdziwiła się Gloria.

Nie usłyszała jednak odpowiedzi na swoje pytanie.

Liber profetorum [Liber profetorum – Księga przepowiedni (przyp. wyd. pol)]

Clairvaux. Wymarsz białych mnichów z Chartres opóźniał się już o osiem miesięcy. W tym czasie Bernard doglądał Jana de Avallon, troszcząc się o jego zdrowie i spokój ducha. Niestety, ani modlitwy, ani wyszukane kuracje, jakim go poddano, nie zdołały zahamować przedwczesnego procesu starzenia, który dzień po dniu wysysał z rycerza soki życiowe. Wszystko wskazywało na to, że podzieli on los swego giermka Filipa.

Przez cały ten czas chorym opiekowały się też rodziny mieszczan. O świcie każdego dnia służący udawał się na rynek po świeże jarzyny i gotował mu tłusty pożywny rosół. Po wschodzie słońca rozpalano w piecu i zmieniano mu pościel. O dziewiątej myto go od stóp do głów w wielkiej kadzi gorącej wody, by zaraz potem przewietrzyć izbę i przygotować ją na wizytę skryby, brata Andrzeja. Jan miał jeszcze dość sił, by chodzić, lecz nie miał ochoty na spacer. Skryba Bernarda siadał więc w nogach łoża przy drewnianym pulpicie i spisywał słowa Jana aż do południa, kiedy to choremu przynoszono posiłek. Potem Jan drzemał do późnego popołudnia, modlił się i po niezbyt obfitej kolacji zapadał w sen.

Brat Andrzej zapełnił już setki stron. Zwykle były to krótkie wiersze, które na koniec zebrano w jeden tom i oddano do oprawy w tłoczoną skórę zdolnemu mnichowi z L'Hôpitalot.

Dzieło, które Jan postanowił podpisać „Jan z Jerozolimy, rozsądny wśród rozsądnych i mędrzec wśród mędrców”, naturalną kolejną rzeczą pojechało wraz z resztą ładunku do Clairvaux, dokąd cały pochód dotarł w maju 1120 roku. Witała ich pełnia wiosny. Jan zatytułował księgę Tajemny protokół przepowiedni i choć w całości przeczytał ją tylko Bernard i brat Andrzej, przez całe tygodnie pozostali templariusze nie rozmawiali o niczym innym.

Zanim jednak dotarli do celu, miało miejsce niepokojące zdarzenie. Jego bohaterem stał się Rodrigo, szpieg, którego pojмали w kościele Notre Dame w dniu powrotu Jana.

Aragończyk, podobnie jak wozy załadowane tablicami (którym ubyło ciężaru, gdyż wiele zielonych płytek zostało w Chartres) – stanowił część cennego ładunku cystersów. Bernard sądził, nie bez racji, że młody jeniec

jeszcze nie opowiedział im o wszystkich swoich powiązaniach z biskupem Orleanu, i postanowił poprosić Bertranda, by zezwolił mu na zabranie chłopaka ze sobą. Rodrigo nie kwapił się jednak do opowieści, prawie nigdy nie wspominał Rajmunda de Penafort, natomiast chętnie rozprawiał o pielgrzymce, jaką odbył szlakiem Świętego Jakuba, okraszając opowiadanie szczegółami, które wzruszały miękkie serce opata.

Opowiedział na przykład, iż szlak ów jest ziemskim odpowiednikiem Drogi Mlecznej i że wytycza go, począwszy od Vezelay, całe mnóstwo miejscowości, których nazwy wskazują wyraźnie na pokrewieństwo z niebiosami. Na całej długości drogi, która biegnie niemal po prostej, można znaleźć miejscowości takie jak Les Eteilles, niedaleko Luzenac, Estillón, na pirenejskiej przełęczy Somport lub nie tak dawno założona Lizarra [Dzisiaj Estella (w prowincji Navarra) – (przyp. wyd. Pol.)], w której szlak Świętego Jakuba skręca.

– A jakie znaczenie przypisuje się takiemu właśnie wytyczeniu drogi? – pytał podchwytliwie opat.

– Właśnie takie, jakiego się domyślacie. Że Bóg stworzył naszą ziemię na obraz i podobieństwo rajy i że tylko od nas zależy, czy zbliżymy się do tego doskonałego świata, czy nie.

– A po co, twoim zdaniem, Bóg chciał odwzorować gwiazdy na ziemi?

– Gwiazdy, schody i drabiny opacie – zaznaczył Rodrigo. – Nie można pominąć miejscowości, których nazwy nawiązują do Jakubowej wizji Scala Dei: Escalada, Escalante, Escalona [Escala (hiszp.) – drabina (przyp. wyd. pol)].

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Ależ to oczywiste: są to miejsca, z których nasze modlitwy szybciej trafiają do nieba. Tam to, co robimy, myślimy lub mówimy, odbija się głośniejszym echem na górze, w królestwie, w którym mieszka nasz Ojciec.

– Rozumiem.

Wysłuchawszy takich i podobnych opowieści, Bernard uznał Rodriga za niegroźnego gawędziarza, dał mu celę w swoim klasztorze i pozwolił swobodnie poruszać się po okolicy.

Tym samym popełnił duży błąd.

Brat Andrzej przepisał książkę Jana i sporządził pięć kopii, które trzymał pod kluczem. Tymczasem opat oddawał się szkicowaniu map okolicy i nieco dalszych ziem, zaznaczając na nich miejsca, od których miała wziąć

początek wielka budowa. Trzeba było wznieść świątynie, zapewniające bezpieczne schronienie cennym tablicom. Wszystko miało zacząć się od nieodległego Vezelay, gdyż miasto to usytuowane było między dwoma innymi katedrami Notre Dame na północy, które również dotychczas istniały tylko na rysunku, oraz gwiazdnym szlakiem Świętego Jakuba na południu. Opat przeprowadził dwie linie, naśladujące na mapie Francji rozmieszczenie gwiazd w konstelacji Panny.

Wówczas nastąpiły ważne wydarzenia.

Stało się to w noc świętego Tomasza, a dokładnie trzeciego lipca, kiedy biali mnisi w Clairvaux zebrali się na jutrznię. Przybyło na nią około czterdziestu braci, gdyż z powodu odwiedzin jednego z synów hrabiego Szampanii, który przyjechał nadzorować prace kartograficzne w zgromadzeniu, wszyscy bez wyjątku musieli wstawać wcześniej i brać udział w nabożeństwie.

O tej porze rycerze i służba jeszcze spali, jednak Rodrigo postanowił wykorzystać nadarzącą się okazję, by dostać się na drugie piętro budynku dormitorium, gdzie cała piątka templariuszy, wspierających Bernarda w jego dziele strzeżenia tablic, pogrążona była w głębokim śnie.

Przy akompaniamencie Te Deum dobiegającego z kaplicy zwinny Aragończyk ześlizgnął się po pnączach obrastających zachodnią ścianę domu i oparł stopy o krawędzie okiennic. Nikt go nie widział, kiedy wskakiwał do wnętrza budynku. Już szarzało, a blade światło poranka odbijało się od terakotowych płytek posadzki.

Boso, by nie robić hałasu, minął cele Montbarda, Saint Omera, d'Anglure'a i d'Angersa i zatrzymał się naprzeciwko pokoju Jana de Avallon. Był tu już wcześniej, więc bez trudu trafił pod drzwi, licząc kroki. Rozejrzał się, upewniając się, że nikt go nie widzi, i najciszej jak mógł popchnął drzwi.

Zawiasy nawet nie zaskrzypiały.

Kiedy znalazł się w środku, zamknął za sobą drzwi i zaczerpnął głęboko powietrza. Przywarł plecami do ściany i stał nieruchomo, czekając, aż jego oczy przywykną do ciemności i zacznie rozróżniać otaczające go kształty: łóżko z baldachimem parę kroków przed nim, na prawo kufer, drewniany stojak do wieszania rycerskiego rynsztunku, stół, piec...

Okno nie było zamknięte, do pomieszczenia wpadały więc odgłosy porannej modlitwy. Gdzieś tu Jan musiał ukryć księgę z przepowiedniami, o której Rodrigo tyle się nasłuchał.

Pod ścianą stała niewysoka komoda, bez wątpienia dzieło zręcznych rąk brata Chryzostoma, mistrza obróbki hebanu. Ten jednak mebel zrobiony był z jaśniejszego drewna.

Rodrigo podszedł na palcach do komody i wyciągnął rękę, by otworzyć najgłębszą z szuflad, lecz nagle poczuł na szyi zimny dotyk metalu.

– Więc znów się do mnie zakradasz...

Zaskoczony szpieg zamarł. Podniósł rękę do szyi i stwierdził, że lodowaty przedmiot kaleczący jego gardło to ostrze sztyletu. Zimna broń, zdolna jednym pchnięciem rozplatać mu szyję.

– Nic nie mów – rozkazał ten sam stanowczy głos. – Wiem, czego szukasz. I dostaniesz to.

Ta sama ręka uzbrojona w sztylet teraz brutalnie chwyciła go za ramię i pchnęła z całej siły na ścianę. Rodrigo osunął się na podłogę. Wybałuszał oczy, usiłując dostrzec napastnika.

Po chwili rozległ się suchy szelest i obok jego ucha rozbłysło światelko. Wreszcie mógł zobaczyć Jana w całej okazałości, stojącego naprzeciwko niego z lampką oliwną w jednej i nożem w drugiej ręce.

– I co teraz? – spytał rycerz. – Dlaczego wdarłeś się do mojej komnaty? Przyszedłeś po egzemplarz Protokołu, który jeszcze nie znalazł się pod kluczem?

Rodrigo skinął głową.

– A dokąd zamierzałeś go zanieść?

– Do Orleanu – wydusił szpieg.

– Nadal służysz biskupowi?

– To on otoczył mnie opieką.

– A jeśli ja daruję ci życie? – zapytał templariusz.

– Wtedy, mój panie, będę ci winny dozgonną wierność.

Jan wyciągnął rękę do Rodriga, by pomóc mu się podnieść.

– Posłuchaj więc – odezwał się. – Wywieziesz tę księgę z Francji. Przepłyniesz Morze Śródziemne i udasz się szlakiem aleksandryjskim do Ziemi Świętej. Tam też znajdziesz miejsce podobne do tego klasztoru, wstąpisz do zakonu i podarujesz przeorowi tę księgę jako swój posag, w zamian za wikt i opierunek.

– Dlaczego posyłasz mnie tak daleko?

– Bo tam wszystko się zaczęło, to ziemie początków. Stamtąd wyszły tablice, których dzisiaj strzeżemy, i w przyszłości tam ukaże się pierwszy

znak zapowiadający moje dzieło.

– Znak?

– Znak wskazujący dzień, w którym bramy otworzą się na zawsze.

– Czy to pozwoli nam wejść do nieba, panie? – zapytał Rodrigo drżącym głosem.

– Pozwoli nam na to i na jeszcze więcej.

Jeszcze tego ranka Rodrigo opuścił klasztor z Protokołem w płóciennym worku. Dotrzyma danego słowa.

O świcie, kiedy brat Andrzej jak co dzień przyszedł odwiedzić Jana, znalazł go leżącego na łożu, w pełnej zbroi i z poważnym wyrazem na zastygłej twarzy. Musiał oddać ducha Bogu niedługo po tym, jak szpieg opuścił jego komnatę. Nikt jednak nigdy nie dowiedział się o tej porannej wizycie.

LAPSIT EXILLIS

Wspięcie się po chyboczących się rusztowaniach było trudniejsze, niż Monnerie sądził. Drewniane schodki ustawione były równolegle do głównej kolumny podtrzymującej portyk i chwiały się niebezpiecznie. Matka Boska wbijała srogie spojrzenie w profesora, który właśnie znalazł się na jej wysokości. Podobny wzrok miało dzieciątko na jej rękach.

Monneriem zawładnęło dziwne uczucie. Czuł, że bezczeszczył świętość. Chciał sięgnąć po rzecz, która nie została tu umieszczona po to, by dotykały jej bezbożne ręce inżyniera z XXI wieku.

Temoin natomiast był zdeterminowany, nawet mu do głowy nie przyszło, by się wycofać. Uczepiwszy się belki, stanął obok figury siedzącego Mojżesza – brodacza trzymającego jedną z tablic z przykazaniami boskimi, ukoronowanego rogami mądrości – zachęcając Meteor Mana, by poszedł za jego przykładem i ulokował się przy Lewim, odzianym w szaty stróżów arki.

– Tu jest – powiedział Michel rozpromieniony. – Czyż nie jest wspaniała?

– Rzeczywiście. W jaki sposób chce ją pan otworzyć?

– No cóż, to skrzynia wykuta w jednym bloku. Pokrywa musiała przywrzeć, chyba trzeba ją będzie rozbić.

– Tylko czym?

– Tym.

Temoin wskazał na dwa kilofy zostawione przez robotników na rusztowaniu wraz z węzami do polewania wodą pod wysokim ciśnieniem, używanych do opłukiwania z figur brudu i kurzu.

– Michelu – wyszeptał profesor, zanim wziął kilof – coś mi tu nie pasuje.

– Co takiego?

– Nie rozumiem, co robi wyobrażenie Arki Przymierza pod portykiem Panny Marii. W końcu arka pochodzi ze Starego Testamentu, Najświętsza Panna zaś z Nowego. Tam, na dole, medaliony również są przemieszane, przedstawiają historie biblijne z dwóch różnych epok. O ile wszystko dobrze zrozumiałem, jeśli mamy do czynienia z kolejnym dziełem naszych budowniczych katedr, to ja doszukiwałbym się w tym pewnej wskazówki.

– Nie wiem. Lepiej niech pan bierze kilof. Wcześniej jednak musimy pozdejmować z siebie wszystkie metalowe przedmioty. Otwórzmy wreszcie tę skrzynię.

– Ale przecież kilofy są z metalu...

– Prawdopodobnie w pierwszej fazie pracy nie będzie to mieć znaczenia. Nie wierzę, że arka, o ile rzeczywiście tu jest, to ten właśnie kamień. To raczej opakowanie czegoś ważniejszego.

Trzysta metrów dalej, dokładnie na rogu placu katedralnego i ulicy Cormont, wysokiej jakości sprzęt transmisyjny Ricarda skrupulatnie przekazywał całą rozmowę.

– Obawiam się, że ją otworzą, ojciec – szepnęła zaniepokojona Gloria. – Ale jeszcze jest czas, by ich zatrzymać.

– Nie! Przecież to oczywiste, że nie mają pojęcia, przed jak potężnym symbolem stoją, i tak jest lepiej dla wszystkich.

– Przed potężnym symbolem? – Katalończyk, nie spuszczać z oka wskaźników pracy nadajnika, nie mógł pohamować ciekawości.

– Tak, bracie. Nie rozumieją, dlaczego Arka Przymierza znajduje się pod opieką Najświętszej Pani, bo nie wiedzą o tym, że Matka Boska była nową arką, w której zawarło się nowe przymierze. Niczym Graal, który pomieścił krew Chrystusa i przypieczętował nowy układ z Bogiem. Dawniej ludzie potrafili odczytywać takie symbole.

– Nie wszyscy.

– Z pewnością, Glorio. Nie wszyscy potrafili je odczytać.

Nagle rozmowę przerwało suche uderzenie. Sprzęt Ricarda zatrzeszczał.

– Rozbijają ją, ojciec! Otwierają arkę!

Wapienna płyta, z jakiej wykonana była pokrywa skrzyni, zaczęła pękać pod zawziętymi uderzeniami kilofów. O tej porze nad Amiens

zapadała ciemność i w pobliżu nie było nikogo, kto zauważyłby świętokradztwo.

Monnerie pierwszy coś zobaczył. Po szóstym uderzeniu pokrywa częściowo ustąpiła, a jej fragmenty zapadły się nieco do środka.

– Pusta w środku – uśmiechnął się zadowolony Temoin.

Jeszcze dwa uderzenia i szpara powiększyła się do rozmiaru szachownicy.

Natychmiast owionął ich intensywny kwaśny zapach amoniaku.

Nieprzyjemne uczucie mdłości zmusiło ich do odsunięcia się w głąb rusztowań. Nie zdążyli nawet zajrzeć do środka.

Na dole ojciec Rogelio uśmiechnął się zadowolony.

– To siła „źródła” – stwierdził, nie odrywając lornetki od oczu.

– Co takiego, ojcze? – zapytała Gloria, stojąca teraz koło auta.

– Musieli oddalić się od arki. Nie byłbym zdziwiony, gdyby się okazało, że poczuli pustkę w żołądku, jakby przygniotła ich płyta, i stracili rachubę czasu.

– Rachubę czasu?

– Wszyscy, którzy znaleźli się w pobliżu źródła, na przykład Jan z Jerozolimy czy Nostradamus, przez lata cierpieli na halucynacje czasowe. Była to konsekwencja tego, że znaleźli się w stanie nieważkości.

– Dlatego udało im się „zobaczyć” przyszłość?

– Tak, ale również dlatego, że przekroczyli bramy. Wiemy, iż Jan z Jerozolimy dwa razy przez nie przeszedł, w Kopule na Skale w Ziemi Świętej oraz w Chartres. Co się tyczy Nostradamusa, najprawdopodobniej dzięki Medyceuszom zdołał przekroczyć je w Reims.

– Jesteśmy tak blisko, czy i na nas nie wpłynie ta wielka siła?

– „Źródło” z pewnością jest odpowiednio izolowane... Przynajmniej tak nakazywałyby logika.

– Czy to prawda, że arka uniosła się w powietrze?

Ojciec Rogelio, zaskoczony pytaniem Glorii, odsunął od oczu lornetkę.

– Owszem. Według pewnych tradycji midraszowych, hebrajskich, Arka Przymierza potrafiła lewitować; unosiła się, kołysała, jakby nie działało na nią ziemskie przyciąganie, a nawet potrafiła przenosić każdego, kto znalazł się w pobliżu. Opowiadano, że dobiegał z niej lament, głośne skargi, za każdym razem, kiedy „zbroiła” się przeciwko swoim wrogom i unosiła nad ziemią...

– Z takiej odległości nie może nam nic zrobić, prawda?

– Podejrzewam, że jej oddziaływanie ma ograniczony zasięg. Tyle tylko, by przestraszyć świętokradców.

– Mam nadzieję, że tak jest.

Upłynęło kilkanaście minut, zanim Monnerie i Temoin doszli do siebie. Siedząc na rusztowaniach, obsypani białawym pyłem z wapiennej płyty, pogrążeni w myślach wpatrywali się w skrzynię, nie odważywszy się zajrzeć do jej wnętrza. Nieprzyjemny zapach, jaki się z niej wydostał, i nieopisane uczucie niepokoju, jakie nimi owładnęło, sprawiły, że poczuli się bezbronni jak dzieci.

– Bez wątplenia w środku coś jest – wyszeptał Temoin.

– W takim razie musimy to wyjąć.

Znów wdrapali się na kamienną skrzynię i zabrali do zdejmowania fragmentów górnej płyty zasłaniającej otwór. Kamień z łatwością dawał się odłupywać.

Po paru minutach Temoin mógł zajrzeć do środka. Wydrążone wgłębienie miało wielkość małego monitora. Było zaskakująco niewielkie w porównaniu z wielkością skrzyni. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że w środku nic nie ma. Kiedy się jednak przyjrzeni, stało się jasne, że jest inaczej.

Przyklejona do ściany skrzyni i pokryta szarym kurzem, leżała płytka owinięta pergaminem. Temoin dmuchnął – wzbił się obłok kurzu i odsłonił zawartość kufra.

– Co to?

– Wygląda na kwarcową płytę. Czekaj...

Zdecydowanym ruchem Michel zanurzył ręce w skrzyni i wyjął przedmiot. Był bardzo ciężki. Nagle, oświetlony ostatnim promieniem popołudniowego słońca, rozblęsnął jasnym blaskiem.

– Na wszystkie świętości! – zagrział ojciec Rogelio, któremu lornetka niemal przyrosła do oczu.

– Co się stało, ojczy?

– Toż to lapsit exillis!

– Co takiego? – Ricard był blady jak ściana.

– Lapsit exillis. To jedna z nazw nadanych świętemu Graalowi w dwunastym wieku, kiedy wymyślono, że coś takiego istnieje. W rzeczywistości – tłumaczył nerwowo ojciec Rogelio – to nazwa, którą

upowszechnił słynny poeta tamtych czasów Chretien de Troyes, a oznacza lapis ex coelis, czyli „kamień z nieba”.

– I cóż to jest?

– Jedna z tablic Hermesa. Jedna z tablic Henocha. Oraz Imhotepa. I Mojżesza. Boska księga!

Temoin ostrożnie rozwijał pergamin. Gdy skończył, przetarł kamień rękawem marynarki. Płytką była zielonkawa, starannie oszlifowana i zdawała się emitować słabe światło. Na jednej stronie ktoś umieścił schemat, równie prosty, co wiele mówiący. Były to dwa okręgi współśrodkowe narysowane wokół kuli. Na jednym z nich znajdowała się inna niewielka kula orbitująca wokół tej większej.

– To wygląda jak ilustracja teorii heliocentrycznej – mruknął Temoin.

– Niemożliwe.

Monnerie gładził się po brodzie, przyglądając się schematowi, ponieważ odnosił wrażenie, że coś się na nim nie zgadza.

– Nie, to nie to, Temoin.

– W takim razie co?

– To schemat atomu wodoru.

– Wodoru?

– Na to wygląda. Wodór to najpospolitszy pierwiastek w kosmosie.

– A co to ma do rzeczy?

– Nie rozumiesz? Mówią nam, gdzie mamy patrzeć, żeby odnaleźć drzwi.

– A promieniowanie, które wykryliśmy?

– Wodór! Emitowali w kosmos wzór wodoru!

Temoinowi natychmiast przypomniała się rozmowa z ojcem Pierre'em. A jeśli to diabeł umieścił tutaj ten kawałek kwarcu, by wysyłać sygnały w przestrzeń? Pomysł był zbyt absurdalny, nie odważył się więc podzielić nim z profesorem Monneriem.

A jeśli...

Kilka metrów niżej, wciąż nie wysiadając z auta, ojciec Rogelio uśmiechnął się. Nie mogąc zmienić biegu spraw, przypomniał sobie mądre zdanie Bernarda z Clairvaux: „Bóg to długość, szerokość, wysokość i głębokość”. Jeśli geniusz Clairvaux odnalazł Najwyższego we współrzędnych geometrycznych, to dlatego, że miał dostęp do tej tablicy i wielu innych, jakie musiały jej towarzyszyć.

Chociaż ci dwaj jeszcze o tym nie wiedzieli, znak został dany.

A raczej wysłany.

– Biedni Cieśle – westchnął – stracili swój monopol.

WYŚŁANNICY

Egipt, klasztor Świętej Katarzyny.

Teodor zgarnął ręką brodę, by się o nią nie potknąć, i przebiegł dziedziniec biblioteczny, żeby zanieść dobrą wiadomość ojcu Bazylemu. Patriarcha nie mógł pozwalać sobie na takie biegi, ale tym razem pokonał schody w tempie, jakim zaimponowałby każdemu nowicjuszowi.

Poprawił wielki srebrny krzyż na szyi i bez pukania wszedł do gabinetu bibliotekarza.

– Wielebny ojcze, co ojciec tu robi?! – wykrzyknął Bazyli.

Akurat czytał akapit w języku koptyjskim z Ewangelii św. Tomasza. Podrapał się po łysej głowie i zaczekał, aż biskup wyrówna oddech.

– Już... już mamy.

Teodor miętosił w rękę plik kartek.

– Właśnie nadeszły wyniki ostatniej sondy ERS-1...

– Proszę się uspokoić, ojcze. Co to? Dane z francuskiego satelity? Chodzi o katedry?

Biskup skinął głową, przełykając ślinę.

– Co z nich wynika?

– W Amiens, około dziewiętnastej trzydzieści czasu lokalnego, rozpoczęła się niekontrolowana emisja mikrofal – przeczytał. – W tym samym czasie ogniska emisji w Chartres, Evreux, Bayeawc i Reims nasiliły swoją częstotliwość. Można odnieść wrażenie, że jest to kontrolowana akcja o niezidentyfikowanym charakterze. Przewiduje się, że inne satelity, poza ERS-1 i ERS-2, zaczną wychwytywać te emisje w niedługim czasie.

Bazyli poczuł strzyknięcie w kręgosłupie.

– Aha... – stęknął. – A Rogelio? Czy o tym wie?

– Naturalnie. Sam widział, jak o tej właśnie porze dwóch inżynierów z CNES wyciąga z zachodniej fasady Amiens jedną z tablic Henocha. Niemożliwe, by był to zbieg okoliczności.

Bazyli chwycił się stołu.

– Matko święta! – wykrzyknął. – Przecież to spowoduje...

– Otwarcie bram, w rzeczy samej. Dokładnie tak, jak ukazało się to Janowi z Jerozolimy. Tak, jak przepowiedziałeś przed paroma dniami.

– Nikt nie usiłował ich powstrzymać?

– To nie jest sprawa Cieśli. Zatrzymaliśmy w Chartres jedną z ich łączniczek, by nie udzielała więcej informacji niewtajemniczonym, nie możemy jednak nadal interweniować.

– Ach – westchnął zrezygnowany Bazyli – ten słynny pakt między aniołami o niewchodzeniu sobie w paradę! Czy zawsze był przestrzegany?

– Tak. Zarówno przez nas, jak i przez Cieśli.

– Co zrobicie z tą kobietą?

– Wypuścimy ją, rzecz jasna.

– No dobrze... Zastanówmy się teraz, co może się stać.

Bibliotekarz sięgnął po egzemplarz Tajemnego protokołu przepowiedni, leżący w zasięgu jego wzroku i otworzył go na ostatniej stronie. Nie spuszczać z oka przygnębionej twarzy patriarchy, przesunął palcem po literach, jakby potrafił odczytać je dotykiem.

– Zawsze sądziliśmy, że bramy otworzą się, byśmy mogli wstąpić przez nie do nieba, prawda, wielbny ojczy?

– Tak – przytaknął Teodor, nie do końca rozumiejąc, co ma na myśli stary Bazyli.

– W rzeczywistości jest inaczej. Za obsesją, by utrzymać bramy zamknięte i pod kontrolą, krył się irracjonalny lęk, który wstrząsał zarówno sługami światła, jak sługami cienia.

– Nigdy o tym nie słyszałem.

– Ponieważ Jan z Jerozolimy tego nie opisał. Zostawił tę myśl zaszyfrowaną w pewnej rycinie, którą umieścił na każdym z oryginalnych egzemplarzy swojego dzieła.

– Nadal niewiele mi to mówi...

– Wielkie bramy, które lada moment mają się otworzyć, poruszą się na swoich niewidzialnych zawiasach nie po to, byśmy przez nie udali się do

góry, ale by niebo zeszło do nas. By powrócili „ci z góry”. My, potomstwo Synów Boga, którzy według Pisma Świętego zmieszaliśmy się z córkami ludzi [Księga Rodzaju 6, 1-3 (przyp. wyd. pol)] zawsze baliśmy się, że ten powrót nastąpi.

Teodor patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Znak wychwycony przez satelity skierowany jest do „tych na górze”.

Nie rozumie ojciec? To wzór matematyczny. Napisany jest w języku Boga, który dobrze rozumiał Bernard z Clairvaux. Jan z Jerozolimy przedstawił to w jasny sposób. Owinął każdy z lapsit exillis w pergamin, na którym napisał komunikat o tym, co ma nastąpić, dla tego, kto potrafi go zrozumieć.

Kiedy na tablicę padło światło dzienne, mechanizm został uruchomiony.

– A rycina, o jakiej wspomnieliście?

– Najlepiej zapytać ojca Rogelia.

– Tak – zgodził się Teodor, przeglądając e-maile. – W tym raporcie wspominają o jakimś pergaminie. Niech no zobaczę... Tu.

Faktycznie, napisane jest, że w pergamin owinięta była płyta, którą inżynierowie znaleźli w Amiens... i przesyła kopię rysunku.

– Chcę ją zobaczyć.

Patriarcha rozłożył przed staruszką odpowiednią kartkę, ten zaś, drżąc, położył obok niej ostatni arkusz rękopisu templariusza.

Motywy na obu były do siebie podobne jak dwie krople wody, skopiowane przez tego samego skrybę, mistrzowską i pewną ręką.

Oczy staruszka zabłysły chytrze.

– Proszę, wystarczy popatrzeć.

– Teraz widzę to samo, co zobaczył Jakub.

– Tak. Powrót. Wkrótce tu będą.

Bazyli i Teodor przeżegnali się pospiesznie.

OSTATNI PRZYPIS OD AUTORA

Proroctwo Hermesa

O powrocie Ludzi Starych Pism pisało wielu i nie jest to fikcja literacka.

Kore Kosmou, jedna z niewielu ksiązek należących do hermetycznych nauk przypisywanych egipskiemu bogowi Totowi – którego Żydzi utożsamiali z Henochem – opisuje poruszającą historię, która rzuca nieco światła na tę kwestię. Jest to, naturalnie, historia ściśle związana z poprzednimi stronicami. Otóż bogini Izyda opowiada w niej swojemu młodemu synowi Horusowi, że Tot, bóg wiedzy, wyjawiał wszystkie sekrety niebios w pewnym zbiorze ksiąg, które ukrył w nieznanym miejscu w Egipcie. Te księgi mają zmienić oblicze ziemi, lecz odkryte zostaną dopiero, gdy nadejdzie czas.

Izyda, bogini nad boginiami, tak tłumaczyła swojej latorośli: Nie jest właściwe, synu mój, by historia ta pozostała bez zakończenia; muszę ci więc opowiedzieć, co Hermes (Tot) powiedział, kiedy składał te książki. Otóż przemówił on tymi słowami: „Te święte księgi, które zapisałem moimi śmiertelnymi rękami, zostały namaszczone eliksirem nieśmiertelności przez Niego, który jest mistrzem wszystkiego i przez wieki pozostaje niezmienny i nieprzekupny, i zostaną one niewidzialne i ukryte dla wzroku wszystkich ludzi, którzy przybędą lub powstaną z równin tej ziemi (Egiptu), aż do chwili, kiedy niebios, już postarzałe, poczną ludzi, którzy będą ich godni”. Odmówiwszy tę modlitwę ponad dziełem swoich rąk, Hermes został przyjęty do sanktuarium wieczności.

Czy stoimy u progu tego czasu?

Ja tak sądzę.

BIBLIOGRAFIA

Historie opowiedziane w Bramach templariuszy tylko częściowo są wytworem mojej wyobraźni. By napisać tę książkę, zajrzałem do wielu dzieł, z których każde stało się cegiełką tej budowli. Dla tych, którzy podobnie jak Michel Temoin mają żyłkę badacza, pozostawiam niezbędne wskazówki bibliograficzne. Przeczytałem więcej książek niż te, które wymieniam, te jednak wystarczą, by ten, kto ma dotrzeć do drzwi... do nich dotarł.

Źródła Ambelain Robert, Los secretos de Israel, Barcelona, Martinez Roca, 1996

Anonim, Księga Henocha Atienza Juan G., La meta secreta de los templarios, Barcelona, Martinez Roca, 1998

Atienza Juan G., La ruta sagrada, Barcelona, Robin Book, 1992

Aveni Anthony Stairways to the Stars, New York, John Wiley & Sons, 1997

Bauval Robert, Gilbert Adrian, Piramidy. Brama do gwiazd, Amber, 1996

Bauval Robert, Hancock Graham, Strażnik tajemnic, Amber, 2003

Bayard Jean-Pierre, El secreto de las catedrales, Gerona, Tikal, 1995

Behar Pierre, Les langues occultes de la Renaissance, Paris, Editions Desjonqueres, 1996

Bernard z Clairvaux, Elogio de la nueva milicia templaria, Madrid, Siruela, 1994

Charpentier Louis El enigma de laatedral de Chartres, Barcelona, Plaza y Janes, 1976

- Charpentier Louis, El misterio de Compostela, Barcelona, Plaza y Janes, 1973
- Charpentier Louis, Tajemnice templariuszy, Czakra, 1992
- Darcheville Patrick, De lapierre aux etoiles, Paris, Guy Tredaniel Editeur, 1992
- D'Ares Jaques (wraz z zespołem redakcyjnym magazynu „Atlantis”), Vezelay et Saint Bernard, Croissy-Beaubours, Dervy Livers, 1985
- Devereaux Paul, La memoria de la Tierra, Barcelona, Martinez Roca, 1993
- Devereaux Paul, Places of Power, London, Blandford, 1990
- Foss Michael, Cruzados, Barcelona, Martinez Roca, 1998
- Gilbert Adrian, Los reyes magos, Barcelona, Ediciones B, 1997
- Halpern Paul, Los agujeros de gusano cósmicos, Barcelona, Ediciones B, 1993
- Hancock Graham, Znak i pieczęć, Prima 1999
- Hancock Graham, Faiia Santha, Zwierciadło nieba, Amber, 2005
- Hani Jean, Symbolika świątyni chrześcijańskiej, Znak, 1994
- Hedsel Mark (z przypisami Davida Ovasona), El celador, Barcelona, Martinez Roca, 1999
- Herrmann Joachim, Atlas de Astronomia, Madrid, Alianza, 1984
- Jan z Jerozolimy Las profecias de los templarios, Gerona, Tikal Ediciones, 1996
- Jaq Christian, Brunier Francois, El mensaje de los constructores de catedrales, Barcelona, Plaza y Janes, 1976
- Lamy Michel La otra historia de los Templarios, Barcelona, Martinez Roca, 1999
- Marcais Pierre, Rey Denise Apercus sur la Geometrie Sacree, Paris, Editions Guy Tredaniel, 1998
- Martos Rubio Alberto, Historia de las Constelaciones (tom 6.), Madrid, Equipo Sirius, 1992
- Maslama Ben Ahmad, Abul-Kasim, Picatrix. El fin del sabio y el mejor de los dos medios para aranzar, Madrid, Editora Nacional, 1982
- Melville Marion, Dzieje templariuszy, PAX, 1991
- Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu Rigby Greg, On Earth as It Is in Heaven, London, Rhadeus, 1996
- Robinson John J., Mazmorra, hoguera y espada, Barcelona, Planeta,

1994

Sinclair Andrew, *Jerusalén, la cruzada interminable*, Madrid, Edaf, 1997

Tarade Guy, *Las venas de la Tierra*, Madrid, Arias Montano Editores, 1991

Teksty gnostyckie (Biblioteka w Nag Hammadi, tom 1. i 2.), Madrid, Trotta, 1997, 1999

Trismegisto Hermes, *Corpus Hermeticum* (edición Walter de Scott), Madrid, Edaf, 1998

Vidler Mark, *The Star Mirror*, London, Thorsons, 1998

Vogade Francois, *Vezelay: symbolisme et esoterisme*, Varennes, Guillaudot, 1998

Vates Frances A. *Giordano Bruno y la Tradición Hermetica*, Barcelona, Ariel, 1983

SPIS TREŚCI

- [PODZIĘKOWANIA](#)
- [WSTĘP](#)
- [UWAGA OD AUTORA](#)
- [OMEN JEROZOLIMA, R 1125](#)
- [SCALA DEI](#)
- [SATELITA](#)
- [ZEUS](#)
- [LOUIS CHARPENTIER](#)
- [ZAWIESZENIE](#)
- [OKOLICE ORLEANU 1128](#)
- [PANNA](#)
- [HIRAM](#)
- [ROGELIO](#)
- [II JAN Z JEROZOLIMY](#)
- [LETYCJA](#)
- [VEZELAY](#)
- [SIŁA](#)
- [ORLEAN](#)
- [VEZELAY](#)
- [WIELKA NIEDŹWIEDZICA](#)
- [GLUK](#)
- [OJCIEC PIERRE](#)
- [ORLEAN](#)
- [PORTYK PÓŁNOCNY](#)
- [POLA ELIZEJSKIE](#)
- [PICATRIX](#)
- [LAPSIT EXILLIS](#)

- [WYŚLANNICY](#)
- [OSTATNI PRZYPIS OD AUTORA](#)
- [BIBLIOGRAFIA](#)